

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/228

1966



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI:

KRYZYSY: SOWIECKI I AMERYKAŃSKI

G. GÖMÖRI:

Z DZIENNIKA NAOCZNEGO ŚWIADKA

W. A. ZBYSZEWSKI:

NOWE POKOLENIE PUKA DO DRZWI

B. MOŻAJEW: **Z ŻYCIA FIEDORA KUŹKINA**

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Kryzysy: sowiecki i amerykański</i>	3
George Gömöri:	<i>Z dziennika naocznego świadka</i>	13
B. Możejew:	<i>Z życia Fiedora Kuźkina</i>	27
WIERSZE		
Kazimierz Wierzyński:	<i>Ruchome piaski</i>	42
" " :	<i>Rzeki</i>	42
" " :	<i>O nieszkodliwym lwie</i>	43
" " :	<i>Szpieg</i>	44
" " :	<i>Stukają z dna</i>	44
" " :	<i>Lekcja konwersacji</i>	44
" " :	<i>Teatr Marcella</i>	45
" " :	<i>Schody</i>	46
J. Gall:	<i>Czy warto</i>	46
" " :	<i>Zielone słońce</i>	47
Irena Leciejewska-Anczarska:	<i>Santa Trinita Dei Monti</i>	48
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	49
SĄSIEDZI		
Borys Lewickij:	<i>Polityka narodowościowa ZSSR</i>	58
K R A J		
Aleksander Hertz:	<i>Rozmowy z rodakami</i>	68
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
—	<i>Odezwa Arcybiskupa B. Kominka do księży</i>	90
KRONIKA KULTURALNA		
Jerzy Gajek:	<i>Muzyka Romana Palestra</i>	93
TRYBUNA W.A.Z.		
W. A. Zbyszewski:	<i>Nowe pokolenie puka do drzwi</i>	107
K S I A Ź K I		
Czesław Miłosz:	<i>Przyziemne</i>	125
Józef Czapski:	<i>Pod pierwszym wrażeniem</i>	132
Adam Czerniawski:	<i>Eliot jako krytyk</i>	135
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	137
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	140
◆		
K. Bieniecki, A. Czerniawski, M. Dayon, A. Estryn, B. J. Jenne, J. Kowalik, Była Miń- ska Peowiaczka, M. K. Paw- likowski, T. Poznański, W. Romanow-Głowacki, J. O. So- kołowski, W. Sukiennicki, W. Weintraub:	<i>Listy do Redakcji</i>	145

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik — Octobre 1966

INSTYTUT



LITERACKI

Ś. † P.

JANUSZ KRUSZYŃSKI

ur. w r. 1898 we Lwowie.

Długoletni przedstawiciel „Kultury” w Afryce Południowej,
zmarł w Johannesburgu 7 września 1966.

REDAKCJA « KULTURY »

WPLĄTY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Lech Krysiwicz, (Montreal (Kanada), po raz czwarty F. 31,50

Jan Bylica, Athis-Mons (S. et O) F. 50,00

DZIĘKUJEMY!

Z powodu niedyspozycji Bogusława Miedzińskiego dokończenie jego artykułu pt. „Wojna i pokój” ukaże się w numerze listopadowym.



79786 Chr. Arch.

Kryzysy : sowiecki i amerykański

Teżą niniejszego artykułu jest pogląd, że przeżywamy światowy kryzys ustrojowy. Wszystkie współczesne ustroje są anachronistyczne i niezdolne do rozwiązania podstawowych zagadnień. Drugą tezą niniejszego artykułu jest pogląd, że organizacja życia międzynarodowego i zabezpieczenie pokoju światowego nie są propozycją realną w obecnym układzie albowiem ustroje, które się przeżyły nie są w stanie wytworzyć nowoczesnych ram organizacyjnych w skali międzynarodowej. W konsekwencji na dalszą metę pokojowi świata nie zagrażają „technikalia” w postaci upowszechnienia się broni atomowych — lecz „wczorajność” ustrojów, które dziewiętnastowieczną aparaturą myślową usiłują rozwiązać problemy przerastające ich możliwości.

Należy podkreślić dwa punkty. Nie ma dla nas powrotu do sytuacji kiedy istniały na ziemi olbrzymie imperia jak np. rzymskie i chińskie — w błogosławionej niewiedzy o swej wzajemnej egzystencji. Naszą planetę przekształciliśmy w wielki „statek kosmiczny”, który, jeżeli nie zapanuje na nim zorganizowany porządek, czeka nieuchronna katastrofa. I punkt drugi. Bezpieczeństwo świata wymaga by kryzysy ustrojowe po obu stronach „żelaznej kurtyny” traktować równorzędnie, gdyż w gruncie rzeczy kryzys w Związku Radzieckim zagraża nie tylko Rosji lecz i Stanom Zjednoczonym. Na marginesie należy dodać, że choć prawdopodobieństwo wojen większe jest w Azji niż w Europie — najmniejszy konflikt zbrojny na naszym kontynencie niesie z sobą daleko większe niebezpieczeństwo niż poważna nawet wojna w Azji. Na Wietnam w Europie nie ma miejsca, ponieważ europejski Wietnam w przeciągu kilkunastu dni przekształciłby się w trzecią wojnę światową.

Gdyby nie było broni nuklearnych — sprawa Niemiec i Berlina doprowadziłaby — być może — do wybuchu wojny. Nie oznacza to jednak, że bronie nuklearne zlikwidowały przyczyny kryzysu. Bronie atomowe nie rozwiązały niczego, podniosły tylko staw-

kę rozwiązania wojennego. Na dalszą metę pacyfikujący charakter broni nuklearnych może spowodować skutki odwrotne od zamierzonych. Trudno sobie wyobrazić by wschodni Niemcy, Polacy, Czechosłowacy, Węgrzy i inne liczne narodowości wchodzące w skład sowieckiego bloku wschodniego zrezygnowały z wszystkich swoich dążeń byle tylko uchronić od katastrofy atomowej Rosję i Stany Zjednoczone. O katastrofie atomowej — jej rozmiarach i skutkach — myślą generałowie w Pentagonie i ich naukowci rzeczoznawcy. Lecz powstańcy węgierscy w roku 1956 z całą pewnością nie myśleli o wielkiej chmurze w kształcie grzyba. Propaganda anty-atomowa i polityka super-mocarstw zmierzająca do ograniczenia upowszechnienia broni atomowej — oparte są w znacznej mierze na hipokryzji. Tylko wówczas można uczciwie głosić: „nigdy więcej wojny!” jeżeli jest się gotowym przyczynić do kryzysu rozładować metodami pokojowymi. Milionom ludzi w europejskim bloku komunistycznym nie można mówić: „gdyby *nie* istniały bronie atomowe moglibyście liczyć, że wywalczycie poprawę bytu i niepodległość. Ponieważ jednak wojna w Europie byłaby wojną światową a wojna światowa przekształciłaby się w wojnę nuklearną — musicie ze wszystkiego zrezygnować”.

Jeżeli ktoś wierzy, że w oparciu o powyżej przytoczone przesłanki można zabezpieczyć pokój światowy — hołduje niebezpiecznym iluzjom. Masy ludzkie, krzywdzone i upokorzone w swym poczuciu narodowym, nigdy nie zachowują się racjonalnie. Chcąc zabezpieczyć pokój trzeba umożliwić ludziom zachowanie się racjonalne.

W państwie niemal stuprocentowo katolickim w którym władze prześladowały kościół byłoby naiwnością tłumaczyć wzburzonym tłumom, że rozruchy mogą zagrozić pokojowi. Oczywiście obrażony w uczuciach religijnych tłum może doprowadzić do rozruchów, które mogą zdetonować pożar w całym kraju. Chcąc uniknąć wybuchu, który może uruchomić łańcuch reakcji trudnych do przewidzenia — musi się usunąć przyczynę konfliktu. Nie wystarczy tłumaczyć ludziom, że muszą pogodzić się kornie ze swym losem — bo każdy przejaw buntu może spowodować rewolucję, która z kolei spowoduje interwencję sowiecką a interwencja sowiecka w Europie doprowadzić może do wybuchu trzeciej wojny światowej.

W epoce rewolucji technologicznej, w epoce wielkoprzestrzennych super-mocarstw, w epoce lotów kosmicznych — nacjonalizm wydaje się przeżytkiem. Nacjonalizm można porównać do chleba. O chlebie nie ma powodu ani mówić ani pisać pod warunkiem, że jest łatwo dostępny. Wiemy jednak, że w stalinowskich łagrach chleb stanowił główny temat rozmów i rozmyślań. Ludzie, których pozbawiono podstawowych praw samostanowienia narodowego — z natury rzeczy są nacjonalistami, tak jak głodny z natury rzeczy myśli o chlebie.

Anglosascy publicyści i pisarze polityczni w swych pracach i książkach uskarżają się często na europejski nacjonalizm jako

bagaż z uprzedniej epoki, który ciąży na nas i hamuje postęp. To jest tylko w części prawdą. Wleczeni za sobą w spadku po XIX wieku nie nacjonalizm — tylko niezłałatwione problemy narodowościowe. Pierwszą wojnę światową ukoronowały punkty Wilsona głoszące prawo samostanowienia narodów. Drugą wojnę światową zakończyła Jałta, która pogrzebała polityczną filozofię Wilsona a wraz z nią niepodległy byt państw wschodnio-europejskich.

Jest rzeczą bardzo trudną zapewnić minimum niezależności i samostanowienia narodom małym i średnim w świecie dominowanym przez dwa nuklearne super-mocarstwa. Nie jest również rzeczą łatwą zapewnić obywatelskie równouprawnienie mniejszościom narodowym — zwłaszcza gdy dana mniejszość przynależy do innej rasy i odróżnia się kolorem skóry. Ustrój, który nie jest w stanie rozwiązać problemu mniejszości narodowych jest złym ustrojem — podobnie system międzynarodowy, który nie jest w stanie zabezpieczyć praw do samostanowienia małym i średnim narodom jest złym systemem międzynarodowym.

Polska niemal od 200 lat nie ma polityki wewnętrznej tylko politykę zagraniczną. Wszystkie nasze myśli ogniskują się wokół problemu niepodległości i bezpieczeństwa granic. Z tych przyczyn polskiemu czytelnikowi nie łatwo przyjdzie zaakceptować pogląd, który zamierzam sformułować. Wchodzimy w epokę w której zagadnienia ustrojowo-społeczne przysłonią problematykę międzynarodową.

W Stanach Zjednoczonych rewolucja scjentyficzna jest tak zaawansowana, że możliwe jest skatalogowanie głównych problemów. Dla ludzi nieobeznanych z tymi zagadnieniami rewolucja scjentyficzna oznacza automację, komputery i statki kosmiczne. W rzeczywistości jednak rewolucja o której mówimy — zmienia całkowicie koncept społeczeństwa znany nam do tej pory. Zmianie ulegnie nie tylko system produkcji lecz zależność konsumpcji od zarobku. W konsekwencji upadnie fetysyzm pracy. Nie tylko zachodniego typu ustroje społeczne lecz cała nasza cywilizacja oparta jest na fetyszyzmie pracy. (Módl się i pracuj). Klasyczny mit amerykański: sprzedawca zapalek własną pracą i inicjatywą przemieniony w milionera — stanowi gloryfikację owego fetysyzmu.

W nowej sytuacji praca twórcza będzie przywilejem zastrzeżonym dla wybitnych jednostek. Dla większości nie praca tylko czas wolny od pracy stanie się głównym zagadnieniem życiowym. Związki zawodowe będą walczyć nie o skrócenie tygodnia pracy lecz przeciwnie będą się opierać redukcji godzin pracy. Dla milionów ludzi zatrze się różnica pomiędzy życiem aktywnym a emeryturą — pomiędzy zajęciem a bezrobociem — pomiędzy zawodem a „hobby”.

Wielu Czytelników wzruszy w tym miejscu ramionami i zauważy: „Może tak będzie za 200 lat — lecz dlaczego my dziś mamy się tym martwić!”

Zagadnienie polega na tym, że rewolucja scjentyficzna postępuje szybciej niż proces przystosowania. Cytowane powyżej fak-

ty nie są fantastyczną wizją przyszłości — lecz rzeczywistością, która rodzi się na naszych oczach. W przypisku do tego artykułu przytaczam kilka pozycji z bogatej literatury przedmiotu na użytek tych Czytelników, którzy chcieliby poszerzyć swą wiedzę na ten temat.

Pomiędzy polityką a socjologią zachodzi taka różnica jak pomiędzy biologią a medycyną. Lekarz musi mieć pewną znajomość biologii — lecz biolog nie musi być lekarzem. Współczesny polityk powinien mieć pewną znajomość socjologii lecz socjolog nie musi być politykiem.

Zagadnienia o których mówimy jawią się przed politykiem w ramach jego zawodowej specjalności. Dlaczego wojna w Wietnamie produkuje w Ameryce „alienacyjne” demonstracje? Gdzie bierze swoje źródło fala gwałtownych starć pomiędzy białymi a czarnymi Amerykanami?

Prof. Zbigniew Brzeziński dopatruje się słusznie w owych demonstracjach psychologiczno-socjalnego kryzysu i zapowiedzi „rzeczy które nadchodzą”. Gdyby nie było wojny w Wietnamie — pisze Brzeziński — alienacja, frustracja, lęk, które cechują współczesną sytuacją społeczną — znalazłyby inną oś krystalizacyjną i inną formę ujścia.

Ludziom, którym rewolucja scjentyficzna wydaje się sprawą odległą, warto przypomnieć, że według obliczeń Stany Zjednoczone produkować będą w roku 1970 — 12 milionów samochodów rocznie. Problemy komunikacyjne, zagadnienie przemysłowego zanieczyszczenia (pollution) rzek i jezior, problem rozrostu miast a przede wszystkim sprawy społeczne z kwestią murzyńską na czele — przemieniają w najbliższych latach „front wewnętrzny” w główny teatr operacyjny polityki amerykańskiej.

Amerykanizm w sensie politycznym tworzył do tej pory jedynie w swoim rodzaju stop pragmatyzmu i idealizmu. Związek pomiędzy idealizmem a pragmatyzmem jest czymś niepomiernie bardziej istotnym i konkretnym niż się wydaje cynikom. Droga postępu wiedzie od idealizmu ku pragmatyzmowi. Pragmatyzm bez idealizmu jest jałowy i nie wytwarza postępu.

Amerykanie wydatkują olbrzymie kwoty na zgraniczną pomoc gospodarczą i humanitarną. Równocześnie jednak pragmatyczny idealizm amerykański w sensie politycznym zaczyna słabnąć. Zaczyna słabnąć w momencie kiedy jest najbardziej potrzebny.

W okresie stalinizmu kiedy cały sowiecki blok wschodni był zamrożony terrorem — mówiono o krucjacie, o *roll back policy* i t.d. Dziś, kiedy w Rosji jest legion Terców i Arszaków — kiedy w Polsce Kuroń i Modzelewski głoszą program rewolucji, kiedy w Jugosławii Džilas w więzieniu znaczy więcej niż Tito w pałacu — dziś Amerykanie przeszli w stosunku do Sowietów na „Realpolitik”.

Napisałem kiedyś na tych łamach, że polityka amerykańska jest sprawą nas wszystkich — bo decyzje Waszyngtonu dotyczą całego świata. Gdyby nastąpił nowy okres izolacjonizmu — był

by to również fragment polityki globalnej o konsekwencjach światowych.

Wielu wybitnych znawców w następujący sposób uszeregowuje czołowe problemy polityki Stanów Zjednoczonych: 1) Front wewnętrzny, 2) Azja, 3) „Trzeci Świat”.

Nie wiem czy dojdzie do nowej ery izolacjonizmu — jestem natomiast pewien, że „front wewnętrzny” z każdym rokiem będzie odgrywał w polityce amerykańskiej coraz większą rolę. Skłonny jestem również przypuszczać, że następny prezydent będzie prezydentem „wewnętrznym” i zmobilizuje talenty, wiedzę, doświadczenie najlepszych mózgów do rozbudowy „wielkiego społeczeństwa”. W tym miejscu jednak moja osobista ocena odbiega od punktacji zadań przytoczonej powyżej.

Nie „trzeci świat” lecz Europa, a w szczególności Europa środkowo-wschodnia, winna zająć czołowe miejsce w agendzie zadań polityki amerykańskiej.

Europa wschodnia z Rosją włącznie, rządzona totalnie przez klasę biurokratów — stanowi enklawę dziewiętnastowiecznego kolonialnego imperializmu. Doświadczenie historyczne poucza nas, że większość wojen wybucha na skutek błędów popełnionych w przeszłości. W europejskim bloku komunistycznym dojrzewa sytuacja potencjalnie rewolucyjna. Ludzie domagają się dziewiętnastowiecznych zdobyczy ustrojowych — niezależności dla związków zawodowych, prawa strajku, swobody dla zrzeszeń politycznych i wolności prasy. Blok sowiecki jest również wylęgarnią dziewiętnastowiecznego nacjonalizmu — ponieważ narody wchodzące w skład Związku Sowieckiego i państwa satelickie rządzone są w sposób super-wiktoriański z imperialnej Moskwy.

Byłoby ironią losu gdyby w epoce komputerów i lotów kosmicznych wypadło nam podjąć trzecią wojnę światową o cele dziewiętnastowieczne, które na Zachodzie są oczywistością.

Bronie atomowe nie zmieniły ani mechaniki procesu historycznego ani naszego podejścia do historii. Bogate doświadczenie dziejowe uczy nas, że „odstraszk” nigdy nie działał niezawodnie, a jego siła odstrasżająca malała w proporcji do upływu czasu. Historia uczy nas również, że dotąd nie było wypadku by wynaleziona broń masowego zniszczenia wcześniej czy później nie została użyta. Bronie atomowe zastosowano wobec Japończyków i nikt nie może zagwarantować, że nie zostaną użyte powtórnie.

Kuroń i Modzelewski w swojej książce wydanej przez „Kulturę” piszą, że rewolucja w Polsce jest nieuchronna ponieważ jest historycznie uwarunkowana. „My nie jesteśmy nad Historią” — stwierdzają — „tylko Historia jest nad nami”.

Marksieści — nawet ci, którzy dążą do radykalnej zmiany obecnego ustroju komunistycznego — wierzą w autonomiczną prawidłowość procesu historycznego. Choć sami nie są nad historią — wierzą, że są w sojuszu z historią.

W mojej ocenie to jest wiara uboga i w drugiej połowie XX wieku niewystarczająca.

Bronie atomowe — zwłaszcza w połączeniu z astronautyką — nieogarnione wręcz perspektywy fundamentalnych przemian, które niesie z sobą rewolucja scjentyficzna — to wszystko wymaga nowego podejścia do historii. Przetrawanie — nie waham się użyć tego słowa — możemy kupić tylko za cenę pełnej kontroli nad procesem historycznym. W świecie ku któremu zmierzamy nie wystarczy być w mitycznym sojuszu z historią. Musi się ją *de facto* skutecznie kontrolować.

Amerykańscy pisarze polityczni i socjologowie pocieszają się zdolnością adaptacji Anglosasów. Adaptacja do zmienionych warunków historycznych — podobnie jak sojusz z historią — nie wystarczy. Nikt nie może zaadaptować się do wojny atomowej ani do radioaktywnych pustyń.

Amerykanie w większości przyjęli pogląd, że europejski blok komunistyczny steruje spokojnie i pewnie ku przystani dobrobytu i demokracji. Natomiast Chiny prezentuje się w prasie amerykańskiej jako hitlerowską Trzecią Rzeszę w wydaniu azjatyckim.

Łańcuch reakcji przyczynowych wiodących do wybuchu światowej wojny atomowej — mogą znacznie łatwiej uruchomić małe Węgry niż gigantyczne Chiny. Niebezpieczeństwo nuklearnej wojny światowej sprowadza się wyłącznie do konfliktu zbrojnego sowiecko-amerykańskiego. Wojna amerykańsko-chińska — choć może byłaby w pewnej mierze wojną atomową — nie byłaby światową wojną nuklearną. W takiej sytuacji Rosja zaoferowałaby Chinom pomoc (głównie propagandową) jednak na pewno Moskwa nie podjęłaby odwetowego atomowego bombardowania miast amerykańskich. Uznać należy za pewne, że Rosjanie w obronie Pekinu nie zaryzykowałiby bezpieczeństwa Moskwy, Leningu i wielkich okręgów przemysłowych.



Podsumujmy nasze dotychczasowe rozważania.

Zarówno Stany Zjednoczone jak i imperium sowieckie znajdują się w przededniu wielkich przemian ustrojowo-społecznych. Rewolucja scjentyficzna w Ameryce jest wysoko zaawansowana i powoduje z jednej strony objawy przejściowego kryzysu — z drugiej strony wzmoczenie tempa poszukiwań nowych rozwiązań. Kryzys jest manifestacją niezdolności starych form do wchłonięcia nowych treści. Cechą rewolucji amerykańskiej jest absolutna jawność.

Kryzys ustrojowy w bloku komunistycznym ma zupełnie inny charakter. Sowieciologowie na ogół nie zdają sobie sprawy z faktu, że gwałtowne uprzemysłowienie nie tylko nie rozładowało nastrojów opozycyjnych, lecz przeciwnie — doprowadziło je do punktu powyżej czerwonej kreski. Jak długo budowano przymysł istniała w masach nadzieja poprawy bytu i awansu społecznego. Szybkie uprzemysłowienie leżało w interesie wszystkich i wszyscy byli gotowi do ofiar.

Dziś przemysł istnieje — lecz dobrobytu nie ma i przy zachowaniu obecnej struktury ustrojowej — nigdy go nie będzie. Celem nie jest produkcja dla produkcji jak piszą Kuroń i Modzelewski — lecz totalna władza. W rezultacie, komuniści stworzyli najbardziej antagonistyczny ustrój społeczny jaki kiedykolwiek istniał. Cel produkcji, tj. totalna władza rządzącej elity — jest sprzeczny z interesem robotników, inteligentów i chłopów. Wszystkie warstwy społeczne pracują w gruncie rzeczy na to — by za minimum egzystencji dostarczyć elicie partyjnej coraz więcej środków do opłacenia i udoskonalenia aparatu przemocy i wyzysku.

Blok sowiecki nie przekształca się w drugą Amerykę. Przeciwnie z każdym miesiącem pogłębia się przepaść pomiędzy ustrojami dwóch supermocarstw atomowych. Im bowiem potężniejszy jest potencjał przemysłowy imperium sowieckiego — tym jego polityczno-socjalny wyznacznik staje się coraz bardziej reakcyjny i wsteczny. Im bogatsza i potężniejsza jest elita partyjna — tym bezwzględniejszy jest wyzysk, który uprawia. Im większa jest zdolność produkcyjna przemysłów w sferze sowieckiej — tym większa jest różnica pomiędzy konsumpcją mas pracujących a produktem globalnym.

Owa rosnąca z każdym miesiącem rozbieżność ustrojowa pomiędzy Ameryką a imperium sowieckim kryje w sobie najgroźniejsze niebezpieczeństwo naszej epoki.

Ewolucja musi oznaczać podstawowe zmiany w strukturze ustroju. Rewolucja jest również ewolucją pod warunkiem, że nie równa wszystkiego z ziemią i dokonuje się bezkruwawo. Leży w bezpośrednim i żywotnym interesie Stanów Zjednoczonych trzeźwe rozpoznanie kryzysu socjalno-politycznego w orbicie sowieckiej i dopomożenie do jego rozładowania. Jest to zadanie niezmiernie trudne. Lecz tak w życiu jak i polityce zadania nie dzielą się na trudne i łatwe tylko na konieczne i niekonieczne.

Amerykanie nie będą mieli możliwości rozwiązania swoich wewnętrznych, niezmiernie zawiłych problemów — jeżeli w najbliższych latach imperium sowieckie stanie w płomieniu rewolucji, wojen domowych i przewrotów. Na wydatnym osłabieniu Rosji jako mocarstwa w Europie zyskaliby Niemcy, a w Azji Chiny. Bogata Syberia byłaby daleko bardziej wartościowym nabytkiem dla Chin niż Wietnam czy południowo-wschodnia Azja.

Byłoby naiwnością z naszej strony konstruować dla Waszyngtonu projekt amerykańskiej polityki w stosunku do wschodniej Europy. Wydaje mi się natomiast, że Amerykanie powinni powołać własną, niezależną organizację do studium tego problemu. Instytucja, którą sugerujemy różniłaby się swoim celem i założeniem zarówno od biur Departamentu Stanu jak i od akademickich instytutów sowietoznawczych. Celem i założeniem proponowanej organizacji musiałoby być wypracowanie konkretnych metod, zmierzających pośrednio do socjalnego unowocześnienia Rosji i jej imperium. Istotnym punktem w rozpracowywaniu tych zagadnień winno być ustalenie listy rzeczy, których *nie* należy

robić — a więc listy amerykańskich posunięć politycznych, które opóźniają proces demokratyzacji w bloku wschodnim.

Mówimy oczywiście o polityce pośredniej pokojowej interwencji. Sowiety interweniują pośrednio różnymi metodami w Ameryce w kwestii Wietnamu. Oba super-mocarstwa interweniują pośrednio i bezpośrednio na całym świecie.

Realistyczna polityka amerykańska stara się utrafić w złoty środek pomiędzy Kosyginem a Siniawskim — pomiędzy obecnym sowieckim *establishment* a siłami naporu i fermentu. Podobnie w stosunku do krajów satelickich oferuje się zainteresowanie i sympatię rewizjonistom i tym, którzy protestują — starając się równocześnie utrzymać poprawne stosunki z rządzącą „nową klasą”, która rewizjonistów wężi i prześladowuje.

W rzeczywistości przejawy buntu intelektualistów czy nieśmiałe reformy gospodarcze podejmowane w sowieckim bloku europejskim — służą sowietologom amerykańskim do podtrzymywania legendy, że ewolucja komunizmu w kierunku demokracji odbywa się samoczynnie i pokojowo nie zagrażając w niczym stosunkom politycznym pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem.

Osobiście jestem przekonany ewolucjonistą — to znaczy jestem zwolennikiem przemian stopniowych na drodze pokojowej. Książka Kuronia i Modzelewskiego umocniła moją opinię, że marksizm uwolniony od dogmatyki zdolny jest do ewolucji. „Gomułkizm” nie ewoluuje, ponieważ odrzucił marksizm a zatrzymał dogmatykę.

Nie jest jednak rzeczą ani możliwą ani pożądaną hołdować sztywnym sądom i opiniom w odniesieniu do sytuacji w bloku wschodnim, ponieważ sytuacja w tym rejonie staje się coraz bardziej dynamiczna i zmienna. Bardzo trudno jest na przykład wycenić autentyczność prawicowych reakcji w zatowiszonym społeczeństwie w którym pozostały tylko symbole religijne i narodowe. Jeżeli w danym kraju jedyną namiastką partii opozycyjnej jest kościół — trudno wycenić potencjał lewicy, która nie ma nawet namiastki partii opozycyjnej. Wówczas wokół symboli narodowo-religijnych skupiają się wszyscy przeciwnicy reżymu bez względu na przekonania polityczne. Z tych przyczyn — w przeciwieństwie do Kuronia i Modzelewskiego — skłaniam się do poglądu, że gdyby dojdło miało w krajach satelickich do wybuchu — nie będzie to rewolucja robotnicza tylko powstanie narodowe.

Stopniowa ewolucja tak w kierunku demokracji jak i państwowej niezależności w europejskim bloku komunistycznym uzależniona jest od pomocy z zewnątrz. Nie mam na myśli ani *roll back policy* ani „wyzwolenia” siłą. Chodzi przede wszystkim o zmianę klimatu i ogólnego nastawienia. Amerykanie winni zamienić się z daleko większą siłą niż dotychczas, że są za demokracją i samostanowieniem nie tylko w południowym Wietnamie lecz również w Polsce, w Czechosłowacji i na Węgrzech. Polityka „budowania mostów” musi oznaczać wspomaganie ciemnych a nie ciemnych. Istnieją tysiące sposobów pośrednich

i bezpośrednich, którymi można wzmacniać opór przeciwko dyktaturze.

Polityka amerykańska w stosunku do wschodniej Europy wychodzi z błędnego założenia i dlatego nie daje rezultatów — kryje natomiast w sobie wielkie ryzyko. Waszyngton ocenia, że *status quo* w Europie wschodniej posiada wszelkie cechy trwałości i wskutek tego należy ograniczyć zaangażowanie po stronie przeciwników *status quo*. W opinii milionów wschodnich Europejczyków *status quo* na daleką metę w jego obecnej formie jest nie do utrzymania i zasadnicza kwestia sprowadza się do pytania: czy „wielka korektura” nastąpi w drodze pokojowej ewolucji czy w drodze przewrotu. Amerykanie winni zrozumieć, że nie rewolucja potrzebuje pomocy z zewnątrz tylko ewolucja. Jeżeli bowiem Amerykanie nie dopomogą Europie wschodniej do unowocześnienia ustroju i gospodarki — wcześniej czy później w imperium sowieckim nastąpi przewrót. Konserwatyści i obrońcy *status quo* wszędzie i zawsze pracowali *de facto* na rzecz przewrotów i rewolucji.

Juliusz MIEROSZEWSKI

P.S.

1. „Tomorrow's Agenda” — Zbigniew Brzeziński, — Foreign Affairs, July 1966.
2. „The Triple Revolution”. The ad hoc Committee on the Triple Revolution, California.
3. „Cybernation: The Silent Conquest”, Donald Michael — Center for the Study of Democratic Institutions — California.
4. „Some Moral And Technical Consequences of Automation” — Norbert Wiener, Science, Vol. 131. No. 3410.

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

\$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.



Tel: FRE. 7888

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

JUŻ WKRÓTCE UKAŻE SIĘ
W BIBLIOTECE « KULTURY »

nowa książka

GEORGE J. FLEMMINGA

pt. :

CZYM TO SIĘ JE ?

CZYLI
DOBRE RADY DLA REEMIGRANTÓW
I TURYSTÓW

KTÓRA NIEWĄTPLIWIE SPOTKA SIĘ Z TAKIM SAMYM
ZAINTERESOWANIEM WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW JAK

POLSKA MAŁO ZNANA

BEST-SELLER BIEŻĄCEGO ROKU

Z dziennika naocznego świadka

(Notatki z Rewolucji Węgierskiej 1956 roku)

22 październik.

Rano poszedłem do Księgarni Uniwersyteckiej. Potem jakoś nie chciało mi się od razu wracać na Wydział Filologiczny: była zbyt piękna pogoda. Kiedy tak stałem przed Księgarnią, zastanawiając się co dalej robić, zobaczyłem jednego z przyjaciół zmierzającego w moją stronę. — „T. i reszta chłopaków czeka na ciebie — powiedział. — Naprzeciwno, na rogu ulicy Kecskéti. Chęć ci coś powiedzieć na temat Polaków”.

Było wiadomo, że w Polsce działo się coś niezwykłego, lecz nikt nie wiedział na pewno o co chodziło. Poprzedniego dnia organ partyjny *Szabad Nep* wydrukował mowę Gomułki, lecz nie każdy mógł ją przeczytać a nawet ci, którym się to udało byli zbici z tropu. Co się wydarzyło w Polsce? Poszedłem więc śpiesznie i wkrótce zobaczyłem T. i jego przyjaciół. Byli to sami studenci. Panował nastrój niezwykłego podniecenia. Przywitałem się z nimi, lecz zanim zdążyłem otworzyć usta, by spytać co się wydarzyło, ktoś powiedział: — „Nie słyszałeś? Sowieckie oddziały otoczyły Warszawę”. — Tę niezwykłą nowinę podała BBC w audycji w języku węgierskim. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że właśnie w tym czasie, to znaczy 22 października, sowieckie czołgi już się zatrzymały, jeśli nie wycofały, na polecenie Chruszczowa. Wiedzieliśmy tylko jedno: Polacy żądali większej swobody, większej niezależności narodowej i dlatego właśnie wybrali Gomułkę. Rosjanie starali się zapobiec tym zmianom. Należało



coś zrobić. „Możemy zorganizować demonstrację” — poddała V. — jedyna dziewczyna w naszej grupie. — „Słyszałam, że Związek Pisarzy ma zamiar zorganizować pochod solidarności z Polakami”. Po krótkiej dyskusji zgodnie postanowiliśmy zmobilizować naszych przyjaciół i znajomych na pokojową demonstrację — żeby poprzeć obleganych Polaków. Zdecydowaliśmy, że demonstracja odbędzie się następnego dnia, 23 października.

Możliwość zorganizowania podobnej demonstracji wydawała się każdemu z nas sama przez się oczywista: wisiała już w powietrzu. Od czasu pamiętnej parodii-pogrzebu Rajka, rehabilitowanego węgierskiego „titoisty”, która miała miejsce 6-go października, Węgry nie były już tym samym krajem. Powietrze było naciągane napięciem, oczekiwaniem, cały kraj wibrował. Studenci Uniwersytetu w Szegedzie utworzyli swą własną organizację, pierwszą od 1948 roku nie komunistyczną organizację studencką. Na Politechnice odbywały się tłumne zebrania, na których studenci domagali się reformy szkolnictwa wyższego i dalszej „demokratyzacji” kraju. Niedawno zagrozili władzom, że są gotowi wyjść na ulicę, jeśli ich żądania nie zostaną spełnione.

Moi przyjaciele i ja zaczęliśmy działać. Demonstracja została wyznaczona na wczesne popołudnie dnia następnego. Miała rozpocząć się na skrzyżowaniu Alei Gorkiego, naprzeciwko Polskiej Ambasady z jednej, a Klubu Pisarzy z drugiej strony ulicy. Zabraliśmy się do rozpowszechniania wiadomości. Bardzo nam w tym pomógł fakt, że wiele wydziałów było w trakcie formowania własnych klubów dyskusyjnych, na wzór słynnego Koła Petőfięgo, a pierwsze zebrania tych klubów były zaplanowane właśnie na popołudnie 22 października. W ten sposób najbardziej aktywni politycznie studenci z naszego fakultetu dowiedzieli się o planie demonstracji tego samego popołudnia, na pierwszym zebraniu „Koła 15-go Marca”. Przypadkiem zebranie to stało się przełomowe. Tylko niewielu spośród nas myślało naprawdę o zrobieniu czegoś dla Polaków, ale wielu studentów czuło (śluszenie czy niesłusznie), że polityczna zmiana na lepsze, oczekiwana parę miesięcy temu po upadku Rakosiego, spełza na niczym. Kierownictwo Partii było ciągle jeszcze w 90% stalinowskie, to znaczy idące na kompromis. Gero, nowy sekretarz Partii, nie mógł być uważany za człowieka bardziej „liberalnego” niż Rákosi.

Zebranie dyskusyjne odbyło się w wielkim hallu, służącym

1. 15 Marca to dzień demokratycznej rewolucji węgierskiej w 1848 r. W tym dniu tak zwany „Pochód młodych”, prowadzony przez Petőfięgo i innych, ogłosił i wydrukował zadania „narodu węgierskiego”.

normalnie do występów teatralnych. Zagaił je Pozsar, sekretarz DISZ-u na Wydziale²:

— Towarzysze — powiedział Pozsar, szczupły młody człowiek o mocnym głosie — chodzą pogłoski na temat demonstracji sympatii dla Polaków, organizowanej rzekomo przez Związek Pisarzy. Telefonowałem właśnie do Związku i ich sekretarz Partii oficjalnie zementował wiadomość. Nie organizują żadnej demonstracji...

Podskoczyłem bez chwili wahania (siedziałem w pierwszym rzędzie) i krzyknąłem odwrócony w stronę audytorium:

— Cokolwiek bądź zrobi Związek Pisarzy, studenci jutro wyjdą na ulicę! — Moje słowa zostały przyjęte burzą oklasków. Byłem zbyt podniecony, by móc się dziwić, lecz Pozsar był widocznie zaskoczony i szybko zmienił pozycję. Odczekał końca owacji i powiedział stanowczym głosem:

— Dobrze, jeśli zdecydowaliście się na demonstrację, będziemy demonstrować; lecz w takim razie DISZ będzie szedł w pierwszych szeregach!

Kiedy zasadnicze pytanie zostało rozwiązane przez *volte-face* Pozsara, zaczęliśmy rozpatrywać szczegóły. Jakich hasel użyjemy podczas demonstracji? Kazano mi wejść na podium i je ogłosić. Nabazgrałem ich kilka tuż przed rozpoczęciem zebrania: były to głównie hasła o przyjaźni polsko-węgierskiej. Jedno z nich, progomułkowskie, zostało jednak odrzucone przez większość studentów. Tylko nieliczna grupa wiedziała, że Gomułka był więziony przez stalinowców i fakt ten wydał się za słabą rekomendacją. Rudy lingwista sugerował znalezienie jakichś „narodowych” hasel, lecz przyciśnięty pytaniem o konkretne propozycje, nie potrafił znaleźć żadnej. Odłożyliśmy ten problem na później i, oczywiście, przed i podczas pochodu solidarności ukuto i zaakceptowano kilka dobrych sloganów.

Pochód miał mieć charakter pacyfistyczny — z tym zgadzali się wszyscy. Obawialiśmy się prowokacji, która, jak chodziły plotki, została przygotowywana w Partii przez zwolenników Rakosiego. Dlatego też odrzuciliśmy możliwość skontaktowania się z młodymi robotnikami i zorganizowania wspólnego z nimi pochodu. Nie; nasz pochód powinien być pozostać demonstracją studentów, pokazaniem naszej siły, a nie pretekstem do prowokacji i represji politycznych. „A jeśli policja zacznie strzelać?” — ktoś zapytał. Było to ryzyko, które musieliśmy podjąć. Lecz zostało jasno postawione, że chcieliśmy zorganizować regularną demonstrację, z „konstruktywnymi sloganami”. Nikt nie przeczuwał jutrzejszego dramatu.

²DISZ — *Dolgozó Ifjuság Szövetsége* — było odpowiednikiem rosyjskiego Komsomolu i polskiego ZMP.

23 październik

Czwartek. Około 9-tej poszedłem na wydział. Ogólne podniecenie, ruch, biegający dookoła ludzie. Wczoraj wieczorem został utworzony Komitet, w skład którego weszli studenci różnych wydziałów i Politechniki i ten Komitet wykonawczy zdecydował o wyborze trasy pochodu. Zgodnie z ich planem mieliśmy się zebrać pod pomnikiem Petöfiego, po pesztańskiej stronie Dunaju i stamtąd przemaszerować pod pomnik gen. Bema w Budzie, po drugiej stronie rzeki.

Pokój Komitetu DISZ jest pełen ludzi. Entuzjazm dla demonstracji zdaje się rozszerzać z szybkością lawiny. Pozsar zwraca się przez mikrofon do różnych wydziałów. Ja usiłuję wydstać skądś parę polskich sztandarów. Szklane drzwi Polskiej Czytelni na ulicy Vaci są zamknięte na klucz, personel zarządzający czytelnią wydaje się przestraszony, gestykuje zza drzwi: idźcie sobie stąd! Jestem w doskonałym nastroju — to mój dzień. Jestem jedynym studentem 4-go roku Polonistyki. Stale śledziłem wszystkie wydarzenia w Polsce — od mojego pobytu tam w 1953 r. Lubię Polaków, zwariowanych i czarujących zarazem. Pobiegłem z powrotem na Wydział i tam dostałem od dziewcząt białoczerwoną kokardę. Wydawało się, że jeszcze raz wznawialiśmy dzień 15 marca.

Tymczasem przybyła już delegacja z Politechniki. Oni chcą urządzić pochód milczenia, my trzymamy się naszych hasel, zaczynamy dyskutować. Studenci inżynierii uważają, że milczący pochód sprawi większe wrażenie. W końcu zgadzamy się na kompromis: oni będą mieć swój milczący pochód na budańskim brzegu Dunaju (bądź co bądź Politechnika znajduje się w Budzie), podczas gdy my z naszą głośną demonstracją, z naszymi ukutymi sloganami, ruszymy spod pomnika Petöfiego.

Nowy gość wpadł do pokoju Komitetu — to wysłannik Koła Petöfiego. „Nie bójcie się, przyjaciele, Koło bierze na siebie koordynację demonstracji!” W tej sytuacji było to nieuniknione. Koło, po raz pierwszy od wiosny, zostało zaskoczony przyspieszonym biegiem wydarzeń — starali się więc nam dorównać. (Nam? Ja sam byłem członkiem Koła Petöfiego). Najwidoczniej każdą organizację partyjną na poszczególnych wydziałach przynaglano do przyłączenia się, do „przejęcia” demonstracji. Aktywiści partyjni, którzy natychmiast odnaleźli swe właściwe powołanie, przeważali licznie; liczni „zwykli” członkowie Partii dołączyli się entuzjastycznie do demonstracji.

W południe, na Wydziale Filologicznym odbyło się inne zebranie. Ogłoszone decyzje Komitetu Partyjnego — większość z

nich była identyczna z postulatami studentów Politechniki. Zostały one zebrane w punkty, odbite na matrycach i rozlepione rankiem po całym Budapeszcie. Tibor Kardos, dziekan naszego wydziału, powiedział na zebraniu, że pracownicy naukowcy również powinni wziąć udział w demonstracji. Propozycja została przyjęta oklaskami, lecz nagle dał się słyszeć okrzyk: „Rosjanie do domu!”.

Przez chwilę zapanowało grobowe milczenie. Ludzie z pierwszych rzędów odwracali się pytając z podnieceniem jeden drugiego: „Kto to był? Co on takiego powiedział?” Kardos uratował sytuację. Uśmiechając się z lekka „przetłumaczył” publiczności: — „Ten towarzysz chciał powiedzieć, że byłoby pożądane, aby na terytorium Węgier stacjonowały jedynie węgierskie jednostki”. — Wszyscy się roześmiali i przyklasnęli. Zebranie miało się już zakończyć, kiedy wiadomość, że Minister Spraw Wewnętrznych wydał zakaz demonstracji, znów dołała oliwy do ognia. Natychmiast wybrano delegację, która miała zażądać zniesienia tego zakazu u kierownictwa partyjnego. Delegacja składała się z około 40 osób, w ich liczbie dziekan, pracownicy naukowcy i paru studentów wraz ze mną. Kiedy ładowaliśmy się do taksówek, polecieliśmy naszym przyjaciołom rozpocząć demonstrację o 3 godzinie, bez względu na to, co by nam się mogło przydarzyć.

Budynek Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej był zatłoczony przedstawicielami rozmaitych instytucji; wszyscy żądali zniesienia zakazu. Tylko niewielu członkom naszej delegacji udało się dostać na audiencję na „górze” — czekaliśmy więc w hallu, rozmawiając szeptem nie bez pewnego zaniepokojenia. Po upływie jakichś 20 minut ktoś krzyknął w hallu: „Zakaz został zniesiony!” Wypadliśmy tłumem na ulicę spiesząc z powrotem na Uniwersytet.

Brakowało jeszcze kwadransa do godziny trzeciej a już wydawało się, że cały Budapeszt wyległ na ulice. Ludzie stali grupkami przy krawężnikach, głośno rozprawiając. Zniesienie zakazu ogłoszono przez radio; tak więc nawet ci, którzy inaczej mogliby nawet nie zwrócić uwagi na demonstrację, wychodzili teraz na ulice, żeby zobaczyć co się dzieje. Plac na tyłach gmachu Wydziału był pełen ludzi, którzy słuchali Sinkovitsa, popularnego aktora, recytującego spod pomnika Petöfiego „Powstańcie Węgrzy”, znany poemat o rewolucji 1848 roku. Był to niezwykle występ teatralny — ludzie odpowiadali na poemat z rzadko spotykanym podnieceniem. Był to przepiękny, spokojny dzień październikowy, sztandary ledwie poruszały się na wietrze, jakby kłaniając się zgodnie w stronę Petöfiego. Ponieważ ciągle napływały nowe grupy ze sztandarami, śpiewem i transparentami, pobiegłem wzdłuż ogonka, który rozciągał się już teraz aż na Vaci Utca.

Włożyłem odznakę „organizatora” i zdjąłem krawat. Niebo było błękitne, ludzie rozmawiali między sobą z leniwym oczekiwaniami, w oddali ktoś grał na trąbce „Boże coś Polskę...”. Była za pięć trzecia. Przyszło o wiele więcej studentów niż spodziewaliśmy się. Mogliśmy wyruszać. Pobiegłem na czoło i pochód ruszył naprzód.

Była to chwila zapierająca dech w piersiach — nie można tego inaczej opisać. Gdy tylko ruszyliśmy, ludzie z okien sąsiednich domów zaczęli klaskać i wiwatować. Po pierwszych, skandowanych chórem sloganach oklaski przybrały na sile. „Wolność, niezależność!” — „Przyjaźń Polsko-Węgierska!” — „Żądamy nowego kierownictwa!” — „Nasza nadzieja w Imre Nagy!” — „Nie zatrzymamy się w pół drogi!” — „Stalinowcy muszą zginąć!”

Śpiewaliśmy Marsylianę i pieśni patriotyczne z 1848-49 roku a nawet niektóre lewicowe pieśni z lat powojennych, kiedy to jeszcze panował na Węgrzech ruch lewicowy z prawdziwego zdarzenia. Wzdłuż ulicy stał tłum wznosząc okrzyki. Tu i ówdzie starzy ludzie płakali.

Kiedy skręciliśmy z ulicy Kossutha w jedną z głównych arterii Budapesztu, niektórzy z widzów usiłowali dołączyć się do pochodu. Z początku my, „organizatorzy”, byliśmy temu przeciwni, lecz wkrótce stało się już niemożliwością zatrzymanie ludzi łączących się z naszymi szeregami. Było wśród nich paru znajomych mi dziennikarzy. Żartobliwie argumentowali: „Tylko studenci mogą maszerować z wami?... ale my rozpoczęliśmy kursy korespondencyjne”. Liczba naszych „eksternistów” ciągle wzrastała.

Pochód doszedł do Dunaju i przeszedł do Budy przez Most Małgorzaty. Pod pomnikiem Bema mieliśmy spotkać „milczący” pochód studentów z Budy. Było to łatwiej powiedzieć niż wykonać. Plac Bema był nabity jak beczka śledzi. Tylko pierwszej setce osób z naszego pochodu udało się dojść do placu, reszta utknęła na przeciwległej ulicy. Panował tu straszliwy hałas, jak na stadionie piłkarskim. Z trudem można było posłyszeć głos pisarza Petera Veresa, który z dachu radiowozu odczytywał decyzje czy żądania Związku Pisarzy. Śpiewaliśmy Hymn Narodowy, kiedy nagle dostrzegłem charakterystyczną twarz Déry'ego przy kole pomnika. Usiłował przemawiać, lecz głos jego utonął w hałasie tłumu — mówcy nie mieli tu żadnych szans. Za Déry'm przeciskał się niski mężczyzna w okularach. Nagle przypomniałem sobie, że to powinien być Ważyk, którego przyjazd do Budapesztu został dziś rano zapowiedziany przez radio. „Dajcie głos Ważykowi!” — wrzasnąłem. Ktoś z tłumu odwrócił głowę w moją stronę. Był to pisarz E. Był podniecony — „Nie dają mu

mówić”. Nie było mowy o złej czy dobrej woli. W tych warunkach nawet sam Lajos Kossuth z trudem tylko mógłby być wysłuchany. Hałas był ogłuszający, nikt nie wiedział co dalej robić.

Za pomnikiem Bema znajdowały się koszary. Kilkudziesięciu żołnierzy bacznie obserwowało tłum przez otwarte okna. Nagle jeden z nich wywiesił węgierską flagę, z dziurą pośrodku. Sowiecki emblemat, którego naród nigdy nie uznawał, został zgrabnie wycięty. Tłum zaszumiał z aprobatą i wkrótce wszystkie flagi zostały w ten sposób przerobione. Tymczasem jednemu chłopcu z Koła Petöfi'ego udało się przekrzyknąć tłum stojący pod pomnikiem: nawoływał aby ścisnięto się wokół niego i pozostawiono wolne przejście do Parlamentu, dla tych, którzy chcieliby przemawiać.

Tłum falując ruszył w stronę Dunaju. Na szczęście wskoczyłem na ciężarówkę, która pędziła z powrotem do Pesztu poprzez jeden z północnych mostów, pierwotnie zwany mostem Arpada³, a potem przechrzczony na most Stalina. Chłopaki z naszej ciężarówki — sądząc z wyglądu przeważnie młodzi robotnicy — skorzystaliby z okazji i zaczęli chórem skandować: „Most Arpada! Most Arpada!”. W tak prosty sposób została przywrócona historia Węgier.

W międzyczasie, kiedy dochodziliśmy do Parlamentu, zaszło już słońce i zaczynało się ściemniać. Ludzie podpalali stosy gazet i w ten sposób oświetlali plac. Tłum był nieprzejrzany — dziesiątki tysięcy ludzi czekających na coś. Na co? Na kogoś, komu można by powierzyć kierowanie masowym ruchem, który rozpoczął się tego popołudnia. Czekali na Imre Nagy, któremu nie udało się przybyć (gdy zjawił się później nie potrafił już zadowolić tłumu). Od czasu do czasu poprzez tłum przechodziła jakby fala i podnosił się wyzywający, tak znany w historii Węgier okrzyk: „TERAZ ALBO NIGDY!” Słyszało się także ludzi krzyczących: „Rosjanie do domu!”.

Robiło się gorąco i nagle poczułem się krańcowo wyczerpany. Po półgodzinnym staniu na Placu Sejmowym poszedłem do domu. Gdy wszedłem do mieszkania, padłem na łóżko i zasnąłem. Ile czasu zdażyło upłynąć? Może z godzina. Natychmiast po przebudzeniu zatelefonowałem do Warszawy. Było to bardzo ważne; uważałem, że prasa polska powinna być należycie poinformowana o naszej demonstracji. Zadzwoeniłem do „Sztandaru Młodych”. Oparłem mój wybór na osobistej znajomości. Gdy byłem w Polsce w 1953 roku, większość z moich znajomych byli to pisarze i literaci, praktycznie nie znałem nikogo wśród dziennikarzy. Zna-

3. Arpad to imię węgierskiego księcia, który wprowadził plemiona węgierskie na teren obecnych Węgier w 896 r. Pierwsi królowie węgierscy, w ich liczbie Św. Stefan i Św. Władysław, pochodzili z rodu Arpada.

łem natomiast Hankę Adamiecką ze „Sztandaru Młodych”. Była to miła, pulchna dziewczyna o miękkim sercu. Spotkałem ją w lecie 1956 roku w Budapeszcie i natychmiast zawarliśmy przyjaźń. Dyskutowaliśmy na wszystkie tematy, od literatury do polityki. Hanka, niegdyś bez wątpienia idealistka ZMPowska sama miała teraz sporo wątpliwości. Opowiadała z oburzeniem o niektórych polskich komunistach, których ściśle kontakty z rosyjskimi sferami rządowymi były w Warszawie publiczną tajemnicą. „Wyobraź sobie, że oni otwarcie zaproponowali program antysemitki na ostatnim Plenum... I ci ludzie mają chęć nazywać siebie komunistami!” Wiedziałem, że jeżeli w Warszawie mogłem na kogoś liczyć, tą osobą była właśnie Hanka.

Niestety, tej nocy jej nie zastałem. Rozmawiałem z mężczyzną, którego nazwiska dokładnie nie rozumiałem, lecz który z chęcią zanotował podawane przeze mnie informacje o demonstracji. Obiecał, że zadzwoni później, po dalsze szczegóły. Zadzwonił około 10-tej, kiedy już na ulicach słychać było odgłosy strzelaniny i posłyszał tylko moje biadania na temat pogarszającej się sytuacji. Powiedziałem mu, że, moim zdaniem, zmierzaliśmy ku węgierskiemu Poznaniowi. Polski dziennikarz zamilkł przez chwilę, po czym powiedział powoli: „Życzę wam żeby to wszystko lepiej wam się udało. Wszystkiego najlepszego!” Zastanawiałem się, czy mógł on posłyszeć odgłosy strzałów przez telefon.

Oto co zaszło w międzyczasie: Około 8-mej radio nadało idiotyczną przemowę Gero. Niedługo potem tajna policja otworzyła ogień na demonstrantów, którzy otoczyli gmach Radia. W rzeczywistości chodziło o delegację studencką, która weszła do budynku z pewnymi żądaniami i już jej potem nie zobaczono — mogli równie dobrze wyjść tylnymi drzwiami. Lecz ponieważ tłum nie widział żeby wychodziła, rozpoczęło się zamieszanie. Bomby łzawiące, zabłąkana kula, potem salwa — i obłężenie Radia trwało. Później rozmawiałem z ludźmi, którzy dostali broń od żołnierzy a nawet z pewnym tajniakiem spośród tłumu: nie chcieli oni strzelać, a nawet oddawali broń ochotnikom. W ciągu nocy przybyły rosyjskie czołgi, zawezwane, nawiasem mówiąc, przez rząd, który ustąpił tej samej nocy.

25 październik

Dzień wczorajszy był dniem niepewności i wahań. Nie dla chłopców strzelających w różnych punktach miasta lecz dla mnie osobiście. Imre Nagy został premierem (lecz Gero jeszcze nie zrezygnował z sekretariatu Partii) i jego obietnice amnestii dla powstańców były nadawane przez radio w ciągu całego dnia. Wszystko na próżno — walka trwała nadal. Można to było do-

skonałe oglądać z naszych okien na 6-tym piętrze. Strzelający bez przerwy czołg pędził w szalonych zygzakach przez opustoszałą Aleję Somogyi Bela. Zaraz za nim nadjechał pancerny samochód, ostrzeliwując z karabinu maszynowego sąsiednie domy. Nie był to widok zbyt radosny.

Mój dylemat był następujący: jeśli komuś ufaliśmy, tym człowiekiem był Imre Nagy. Imre Nagy został premierem i nawoływał do złożenia broni. Dlaczego więc ludzie nadal się bili? Więc chyba narodowe powstanie? A zatem nie ma ziarna prawdy w wypowiedziach radia na temat „kontrewolucyjnych elementów wśród powstańców”? Lecz to *my* rozpoczęliśmy demonstrację, a *oni* — tajna policja — zaczęli strzelać. Wyglądało to na Poznań. Ja wiedziałem tylko jedno — powstanie w Poznaniu nie było kontrewolucją.

25-go poszedłem na Wydział, żeby zobaczyć co się naprawdę wydarzyło. Był to w pewnym sensie najbardziej decydujący dzień dla przebiegu rewolucji. Właśnie tego dnia miała miejsce masakra przed gmachem Sejmu. Wszystko zaczęło się od ogłoszenia zawieszenia broni i bratania się załóg rosyjskich czołgów z Węgrami, którzy wspólnie napierali na Plac Sejmowy. Nagle nierozpoznani „prowokatorzy” otwarli ogień z dachów domów otaczających plac. Była to szalona i bezsensowna prowokacja tajnej policji i stała się przyczyną późniejszego przelewu krwi. Na dodatek zamieszania, sowieckie czołgi nadchodzące z drugiego końca placu, widząc strzelaninę, dołączyły się do niej, zabijając wiele osób, szukających schronienia. Było kilkuset zabitych i rannych. Po tym wszystkim Gero musiał ustąpić, a ludzie zaczęli żądać likwidacji tajnej policji i obalenia monopartyjnego systemu.

Opisuję to wszystko z perspektywy czasu. Wtedy wiadomość o masakrze wywołała zupełnie inną reakcję. Był to wstrząs, który nappełnił ludzi wściekłością i podsycił ich bunt. Wkrótce po strzelaninie przed Sejmem wziąłem udział w innej demonstracji, która szczęśliwie ominęła krzyżowy ogień Rosjan i AVH. Nie mogliśmy jednak dostać się w pobliże gmachu Sejmu. Maszerowaliśmy przez miasto wznosząc gniewne i śmiałe okrzyki: „Radio kłamie! Nie jesteśmy faszystami!”. Byli wśród nas studenci, robotnicy, urzędnicy, ludzie z najróżniejszych klas. Pamiętam dziewczynę przepasaną węgierskim sztandarem. Przed ambasadą jugosłowiańską (Bóg wie dlaczego właśnie tam) zaczęliśmy wraz z przyjaciółmi skandować żądania wolnych wyborów i wielopartyjnego systemu. W drodze powrotnej część tłumu zatrzymała się przed ambasadą amerykańską (symbolicznie mieszczącą się na placu Wolności) głośno żądając utworzenia specjalnego Komitetu ONZ. W tych dniach ludzie prawie po dziecinnie wierzyli w ONZ.

28 października

W ciągu tych ostatnich dni większość czasu spędziłem na Wydziale Filologicznym, wracając do domu tylko żeby coś zjeść w pośpiechu i nieco się przespać. 25-go został utworzony Studencki Komitet Rewolucyjny z Poznaniem jako sekretarzem. Komitet nie został wybrany drogą jakiegos głosowania: utworzył się po prostu z grupy studentów, którzy czuli, że trzeba coś zrobić. Większość członków należała do DISZ-u. Był tam nawet jeden dawniejszy stalinista, P., który przeszedł zdumiewającą metamorfozę po 23 października. Z zapalonego dogmatyka stał się jednym z najbardziej oddanych pracowników Komitetu. Przeszedł do Komitetu i zaoferował swoją współpracę, którą przyjęliśmy. Została utworzona Sekcja Prasowa i kilku spośród nas wyznaczono do redagowania czasopisma.

Wydział wydawał przed rewolucją regularne pismo tygodniowe pod nazwą *Egyetemi Ifjuság* (Młodzież uniwersytecka), który obecnie — zgodnie z życzeniem Komitetu wznowiono jako dziennik. Jak dotąd sytuacja była w najwyższym stopniu niepewna. Przez parę dni Imre Nagy był właściwie więźniem swych kolegów-stalinistów i minęło trochę czasu zanim się od nich uwolnił. Byliśmy w kontakcie z Imre Nagy za pośrednictwem jego przyjaciół i z ulgą przyjęliśmy wiadomość o utworzeniu się nowego rządu w dniu 28-go. Nie był to najlepszy z rządów (parę osób z *ancien régime* usiłowało zatrzymać swe dawne pozycje) lecz obecnie czuliśmy, że Imre Nagy był przy władzy. Uchwały również sporadyczne walki w różnych punktach miasta. Nasi ludzie, poza kilkoma wyjątkami, nie bili się, lecz posiadaliśmy masę broni i byliśmy w pogotowiu na wypadek, gdyby Rosjanie zechcieli przemocą wejść do budynku Uniwersytetu.

28-go wieczorem był prawie gotowy pierwszy numer naszego pisma. Najbardziej podniecający artykuł w tym pierwszym numerze rewolucyjnego *Egyetemi Ifjuság* był napisany przez A. S., który demaskował oszczerstwa, rozsiewane wspólnie przez autentyczną reakcję i źle poinformowanych ludzi z ulicy, jakoby Imre Nagy zażądał interwencji oddziałów sowieckich. Wiedzieliśmy, że było to zwykłe oszczerstwo, lecz ponieważ nie zostało ono oficjalnie zdementowane uważaliśmy za konieczne wyjaśnienie sytuacji.

Ponieważ parę dni wcześniej ogłoszono godzinę policyjną, nie wiedzieliśmy w jaki sposób dostarczyć artykuły do drukarni. Obiecano nam auto pancerne, lecz z obietnicy nic nie wyszło. W końcu, około 11-tej zdecydowaliśmy się pójść piechotą do drukarni *Szikra*, w której zawsze drukował się *Szabad Nep*, znaj-

dującej się w odległości około 2 km. od gmachu Fakultetu. Poszedł ze mną Ladislas Marton, wybitnie zdolny facet, urodzony dziennikarz. Był to mężczyzna niskiego wzrostu, w okularach, z wielkim nosem, gadający aż do ochrypnięcia na temat niesprawiedliwości na świecie w ogóle, a na Węgrzech w szczególności. Miał po temu wszelkie powody. Pochodził z żydowskiej rodziny, rodzice jego zostali zamordowani przez nazistów. Marton wymigrował do Izraela, lecz tam także mu się nie podobało i wrócił na Węgry w latach 50-tych, akurat w okresie anty-syjonistycznej kampanii. Przez pewien okres studiował dziennikarstwo na Uniwersytecie i bez przerwy z kimś się o coś sprzeczał i wskutek tego był nieulubiany przez wielu ludzi.

Na zewnątrz było zupełnie ciemno. Ruszyliśmy w drogę z rękopisami upchanymi po kieszeniach. Na rogu ulicy ktoś skierował mi w pierś automat: „Kuda?” — Był to rosyjski wartownik, z tyłu za nim widać było sylwetkę czołgu. W ostateczności mogę rozmówić się po rosyjsku — w języku zupełnie bezużytecznym przez pięć lat szkoły. „Jesteśmy studentami, idziemy do drukarni, niesiemy do druku materiały do naszego pisma”. — „Nie macie broni?” — „Nie mamy”. Rosjanin skinął przyzwalając swym automatem — możemy iść dalej. Przez chwilę obleciał mnie strach, że mógłby strzelić do nas z tyłu, lecz prawdopodobnie był on równie szczęśliwy jak my, że w ogóle nie musiał strzelać. Aleja Rakoszi jest zupełnie pusta, rdzewieją tylko poszarpane kable linii tramwajowej, zgrzyta nam pod stopami porozbijane na chodniku szkło. Wszędzie panuje już cisza, spokój wymarłego miasta.

W oknach drukarni *Szikra* jarzy się światło, huczą maszyny drukarskie. Partyjny dziennik *Szabad Nep* przestał istnieć. W swym ostatnim numerze powitał rewolucję jako postępowy, demokratyczny narodowy ruch. Obecnie drukowały się tu trzy inne pisma. Przed drukarnią spotkałem kilku znajomych dziennikarzy, jak Kende czy Gimes z leninowską bródką. Linotypista czyta nasz rękopis i wpada w entuzjazm: „To świetna rzecz, chłopaki. Będziemy to drukować nawet jeśli tej nocy nie zmrużymy oka”. Ktoś bierze mnie za rękę, prowadzi przez kilka korytarzy i mówi: „Jest tu wasza przyjaciółka”. Otwiera drzwi. W pustym pokoju, na kupie starych gazet śpi Hanka Adamięcka. Przykryta własnym płaszczem, mruży do światła czerwone ze zmęczenia oczy. Wita mnie zaspianym głosem, lecz nie chce się z powrotem położyć. Idziemy więc na dół do hali drukarskiej. Hanka została wysłana wraz z pierwszą grupą polskich dziennikarzy, mających opisywać wydarzenia. Jest poważna i jednocześnie podekscytowana: „To tragedia, Jerzy... Ale wiesz, ci powstańcy, czyż nie byli wspaniali? Kilku pokazało mi swe legitymacje

partyjne... powiedzieli, że są za socjalizmem, ale najpierw Rosjanie muszą się wynieść”.

Wymieniła mi nazwiska innych dziennikarzy, którzy przylecieli tu z Warszawy. Osobiście znałem tylko W. Wszyscy oni mieszkali w Polskiej Ambasadzie.

Jest godzina wpół do siódmej rano. Pierwszy numer *Egyetemi Ifjuság* jest gotów. Jestem straszliwie zmęczony lecz absolutnie szczęśliwy. Kierowca ciężarówki dobrowolnie podejmuje się odwiedzić Hanke do Ambasady; ona także potrzebuje nieco snu.

3 listopad

30 października Rosjanie wycofali się z Budapesztu a Imre Nagy odzyskał popularność, którą stracił był w pierwszych dniach przez brak zdecydowania czy aktywności. Poprzedni redaktor *Egyetemi Ifjuság*, E., wrócił z powrotem na Uniwersytet i utworzyliśmy wspólnie Komitet Redakcyjny. 31 października udało się nam pojechać w głąb kraju, żeby zobaczyć co się tam dzieje. Uniwersytecki autobus został wysłany na zachodnią granicę po żywność i lekarstwa z Czerwonego Krzyża. Komitet poszukiwał ludzi, którzy mogliby pomóc w ich przywiezieniu. Zgodziłem się chętnie; E. i inni mieli zająć się pismem. Poukładaliśmy w autobusie ostatnie numery *Egyetemi Ifjuság* i trochę ulotek, które nawoływały do zaufania dla Imre Nagy i jego polityki oraz protestowały przeciw obecności jakichkolwiek (rosyjskich czy zachodnich) oddziałów na terytorium Węgier. Mówiło się wiele na temat oddziałów ONZ lecz w tym układzie stosunków uważaliśmy ich obecność za zbyt dużą. Nasz autobus zagłębiając się w zachodnią część kraju, zatrzymywał się w pomniejszych miastach, gdzie natychmiast był otaczany, prawie napastowany przez tłum zgłodniały wiadomości z Budapesztu. Ludzie wyrwali nam z rąk nasze gazety z gorączkowym pragnieniem dowiedzenia się czegoś nowego. Pytali nas o opinię na temat wszystkiego. „Nie wierzymy nikomu, tylko wam. Jesteście studentami, powiedzcie nam co mamy zrobić”. Nigdy dotąd opinia o studentach nie stała wyżej na Węgrzech, niż w ciągu tych dni. Mówiliśmy im, że należy zachować spokój i mieć zaufanie do Imre Nagy.

Spędziliśmy w podróży dwa dni, drugą noc w Hegyeshalom, niedaleko granicy austriackiej. Spotkaliśmy sporo zagranicznych dziennikarzy. Szczególnie zaprzyjaźniliśmy się z pewnym Szwedem z *Aftonbladet*. Spytał mnie (inni nie mówili po angielsku) co myślę o zaatakowaniu Suez przez Anglików i Francuzów. Wzruszyłem ramionami. Wydawał się zmartwiony i powiedział mi: „Sądzę, że Rosjanie nie odstąpią od Budapesztu”. Nie wi-

działem, co te dwie rzeczy miały ze sobą wspólnego, lecz po drodze dowiedzieliśmy się, że jakoby większa ilość oddziałów rosyjskich wkroczyła na teren Węgier. W istocie, wyglądało to podejrzanie.

Po powrocie do Budapesztu nasze obawy zmniejszyły się. Miasto wydaje się prawie spokojne, zaprzestano samowolnego lynczowanie prawdziwych czy podejrzanych tajniaków, co było powszechne przez dwa czy trzy dni. Wszędzie chodzili robotnicy i studenci z odznakami Gwardii Narodowej, sprawdzając dokumenty. Przywrócono porządek a większość fabryk zdecydowała podjąć pracę w poniedziałek 5 listopada. Również w drukarni, gdzie składaliśmy nowy numer *Egyetemi Ifjuság* zapanowało odprężenie, ludzie żartowali. Było prawdą, że Imre Nagy wycofał się z Paktu Warszawskiego, tworząc koalicyjny rząd a oddziały rosyjskie zajęły lotnisko w Budapeszcie, lecz mieliśmy jak najlepsze wieści z Parlamentu, dotyczące rokowań rosyjsko-węgierskich toczących się w Tököl. Nowy minister Obrony, Maléter, przewodniczył delegacji węgierskiej.

Może więc Rosjanie zgodzą się na przyznanie Węgrom „austriackiego” statusu. Wszyscy są optymistycznie nastawieni, ludzie zbywają machnięciem ręki radiowe przemówienie kard. Mindszenty’ego. — „To tylko stary, uparty człowiek”. Około 2 godz. w nocy wracam do domu z E., drugim redaktorem. Robimy projekty; kiedy wszystko wróci do normalnego stanu, zamienimy z powrotem *Egyetemi Ifjuság* na tygodnik — na coś w rodzaju *Po Prostu*, pismo, które zawsze ma odwagę otwarcie wypowiadać przeciwne zdanie.

4 listopad

Bang-bang-bang! Wystrzały armatnie. Moja matka wyskakuje z łóżka mówiąc: „Strzelają”. Odwracam się na drugi bok: „Strzelają? Niech sobie strzelają. Co w tym dziwnego?” — „Ale to strzały armatnie” i nastawia radio. Akurat na czas. Nasze szyby drżą, w radio grają Hymn Narodowy. Głos Imre Nagy donosi o zdradzieckim ataku Rosjan. „Rząd jest na posterunku”.

Wydział znajduje się o dziesięć minut drogi od domu. Jestem tam w trzy minuty. Wielu ludzi ciągle jeszcze śpi w prowizorycznych sypialniach budynku. Przyzwyczajeni do strzelaniny po prostu jej nie posłyszeli. Wkrótce jednak wszyscy są na nogach, na wpół ubrani biegną w kierunku podziemia, gdzie znajdują się składy broni. Radio właśnie przerwało swój ostatni, uroczysty komunikat.

Co będzie? Czy powinniśmy zacząć drukować ulotki nawołu-

jące do ogólnego powstania? Wskakujemy na ciężarówkę i pędzimy do drukarni, ratować ostatnie odbitki naszego pisma. W pobliżu drukarni wznoszą już barykady.

Gdyby teraz znalazł się tu wojskowy dowódca, zdolny do wydawania rozkazów, miasto byłoby gotowe walczyć tak jak Warszawa w 1944 roku. Lecz nie ma nikogo: Rosjanie o północy zaarrestowali Malétera. Kopácsi, Naczelnik Policji w Budapeszcie zniknął bez wieści. Nikt nie wie gdzie znajduje się Imre Nagy. W południe staje się pewne, że Rosjanie zajęli większość punktów strategicznych w mieście.

Toczy się jeszcze walka, lecz nie mamy już żadnych szans. Imre Nagy na próżno apeluje do ONZ. ONZ dyskutuje sprawę Suez i nie może poświęcić najmniejszej uwagi tym, którzy „przywracają porządek” na Węgrzech. Więc to wszystko na próżno? Więc biliśmy się za sprawę, która została pominięta przez historię?

Nie. My tworzymy historię. I nic się nie może powtórzyć.

George GÖMÖRI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Z życia Fiedora Kuźkina

Opowieść

I

Tak się jakoś złożyło, że w dniu świętego Froła Fiedor Fomicz Kuźkin, którego we wsi nazywano Żywym, musiał odejść z kołchozu. Tak już zawsze działo się w tej rodzinie, że wszystkie nieszczęścia musiały wydarzać się akurat w dniu świętego Froła. Czy to któryś z przodków popełnił ciężki grzech tego dnia, czy też ich dom zbudowany był na feralnym miejscu — któż to wie. Dość, że właśnie w tym uroczystym dniu Żywemu najbardziej się nie powodziło. „Ty byś, kochanku, może wioskę zmienił — poradził kiedyś Żywemu dziadek Fiłat. — Wyście są ludzie z innych stron... nie z tej parafii, znaczy się. I Pan Bóg o was tego dnia zapomina. A diabeł podskakuje, zaczyna kręcić w te i wewte, karuzelę swoją odstawia...”

Ale Żywemu ani było w głowie zmieniać wieś. W Prudkach urodził się i tam wyrósł. Z innych stron to był jego dziad. Łapcie pięknie wyplatał, a w okolicy Prudków sitowia — ile zapragniesz. Dziad wyplatał łapcie, babka tkła onuce — sprzedawali. Zaoszczędzili tym sposobem pieniądze, postawili dom z okrągłaków, na siedem łokci długości, a w nim i po dziś dzień Fomicz zamieszkiwał. I nie było żadnej możliwości, żeby Żywy rozstał się z tym domem, z powodu „braku pracowitego entuzjazmu”, jak on sam zwykł mawiać. Dostatku nie posiadał. Ojciec jego i stryj może by stanęli na nogach, gdyby nie ten przeklęty dzień świętego Froła.

A było ich trzech braci: Foma, Nikołaj i Jemiela. Z wiosną szli do miasta, pracowali w szewskim przemyśle. Dobrze zarabiali. Jakoś na świętego Froła zebrali się im na popijanie: po-

wiesili pod sufitem baryłkę wódki i nalewali z niej do glinianych kubków. Podpiwszy, zaczęli się gorączkować. Nikołacha zażądał od Fomy babcinej działki ziemi, którą otrzymała po jakimś bezdzietnym wuju. Nikołacha miał liczną rodzinę, zaś Foma tylko jednego dzieciaka. Ale babcia mieszkała z Fomą, to jemu tę działkę przepisała. „Po co ci cudza ziemia? Ty nawet własnej nie obrabiasz. Oddaj!” No więc, od słowa do słowa, zwarli się ze sobą. A Nikołacha taką miał siłę, że Panie Boże poratuj! Zdarzało się, że jadą na brzeg rzeki, po chrust. Naładują po sam obłąk. Sanie grzezną, Nikołacha odprzęga i powiada: „Niechta koń trochę zmarznie, to lepiej będzie wieźć”. Związuje dyszle rzemieniem i sam się zaprzęga. „Jemiela, rozhuśtaj sanie, bo z miejsca nie wydołę”. Jemiela huśta, a Nikołacha jak się weprze łapiami, to aż dyszle trzeszczą. A jak już raz ruszył z miejsca, ciągnął aż do samych Prudków, a koń szedł sobie z tyłu.

Tak więc zwarli się ze sobą, to znaczy on z Fomą. Nikołacha tylko raz go przycisnął i rozłożył na ławie. A tamten zaraz ucichł. Potem zleął przez jakiś tydzień i pomarł. I w taki sposób Fiedor Fomicz stał się sierotą. Na początku niby Jemiela i matce i jemu trochę pomagał. Ale nie długo.

Nikołacha wydawał zamąż starszą córkę. Wesele wypadło akurat na dzień świętego Froła. I znowu bracia się pogorączkowali: założyli się który więcej wódki wypije. Nikołacha wypił szesnastę szklanek z cienkiego szkła, Jemiela — piętnaście. Przy szesnastej zwałił się pod stół i pomarł.

To były wielkie nieszczęścia. Zdarzały się przecież w dniu świętego Froła także i pomniejsze. W dwudziestym czwartym roku Żywy, wtedy jeszcze wyrostek, zabił swego konia. Dawniej tego dnia prudkowscy chłopcy konie zaprawiali i z tego powodu ogłaszano wyścigi. Nagrody przyznawano: a to antałek wódki, albo barana, albo dwa koła z osi — chłopska gromada stawiała. Ścigano się zaś na wygonie, droga to była niewyjeżdżona, zazwyczaj bydło tamtędy pędzono na pastwiska pod lasem. I tam w owym roku postawili słupy telegraficzne. I nikt się jeszcze do nich nie zdążył przyzwyczać.

Fomicz stanął do wyścigu z parą koni, jeden od sąsiada, ledwie zaprawiony. „Jeden nie wydaży — pomyślał — drugi podciągnie”.

Rozpędził swoją parę koni z miejsca, zapalczywość go opanovała, familijna krew już się w nim pokazała. Chytrze jechał: wyprowadził swoje konie z linii i boczkiem popędził. Że to niby nikt nie przeszkodzi. I wtedy całym pędem. A jak już przed nim ten słup się objawił, tego już w żaden sposób nie potrafił wyjaśnić. Pamiętał tylko jedno — pędzi prościutko na ten słup. I nie ma żadnej możliwości żeby skręcić, bo własny Bułaniec

w lewo ciągnie, a sąsiedzki Piegacz zarywa na prawo... I ten właśnie Piegacz przeciągnął w swoją stronę. Bułaniec trzepnął łbem w słup, zaś Fomicz wywrócił kozła przez głowę. Kiedy przyszedł do zmysłów, Bułaniec leżał pod słupem nieżywy.

Fomicz siedział przy oknie i rozpamiętywał te wszystkie sprawy. W chałupie wbrew zwyczajowi nikogo nie było. Dzieciaki poszły do szkoły, młodsze razem z dziećmi sąsiadów uganiały po ulicy, bose, a poniekądore nawet bez porciat. Jesienny wiaterek pociągał chłodem, a tym wszystko jedno. Przed domem gospodyni przewiewała ziarno hreczki.

Hreczkę przywieźli tego dnia z kołchoźnego gumna — sześćdziesiąt dwa kilogramy. Nic poza tym! Cały zarobek. Na siedem gęb. Jakże je wykarmić przez cały rok?

Wczoraj wieczorem przewodniczący powiedział: „Pszenicy nie oczekujcie — nawet na rozliczenie się z państwem nie wystarczy...” Żyto zwieźli już dawno, ale zostawili na zasiewy. Ziemiaków też się nie spodziewaj — wygniły. Pewnie, kto w polu pracował, ten o sobie nie zapominał. Znowu na łąkach chłopcy siano przykarauliły, a i babom też coś niecoś się dostało. Żywy pracował wtedy jakby w rodzaju ekspedytora kołchozu — zawsze w podróży: worki jakieś wyszukiwał, beczutki, uprząż, czy inne wozy... Czy to jedna potrzeba w gospodarstwie? Zapisywali mu po dwie a czasem nawet po trzy dniówki. Według tych dniówek wypadałoby nawet nienajgorzej — razem z żoną wydusili osiemset czterdzieści kresek. I wyrobił sześćdziesiąt dwa kilogramy hreczki. Jakże tu żyć? „Dziwacznie teraz płacą — myślał Fomicz. — Dawniej przynajmniej po równemu dawali za wyrobioną dniówkę. A teraz brygadier ma tysiąc pensji i więcej, — pieniądze wypłacają, a tym, co w polu pracują, albo jak ja są na posyłkach, tym figę. Jak już ktoś sam się nie wystara...”

Fomicz wcześniej domyślał się, że dniówka to zawracanie głowy, ciągle starał się z ekspedytury wyrwać, żeby jakoś bliżej zboża. Ale nawalił, za długo się wybierał. Teraz za późno — co było, wszystko uprzątnełi. I aż do nowych zbiorów niczym się nie pożywisz.

Pewnie, jak popatrzyś z drugiej strony, widać, nie wzięliby go na żadną bardziej dochodową robotę. Siła potrzebna i zręczność. A jemu po wojnie u prawej dłoni raptem dwa palce zostały. Nie ręka, tylko jakby kleszcze, jak u raka. Rozumie się, można by jakoś dostosować się... Choćby przy zwózce zboża. W obiad można by przynieść za koszulą, a wieczorem w kieszeniach. A teraz jak wyżyć? Z własnej chudoby — jedyna koza. Co robić? Wypada, że jedno jedyne wyjście — odwalić się od kołchozu.

Ciężkie czasy dla Żywego przysły razem ze zjawieniem się nowego przewodniczącego, Guzionkowa. W zeszłym roku połą-

czyli ich kołchoz z sąsiednim, kierownictwo przenieśli do wsi Swistunowo i przystąpił nowego przewodniczącego z rejonu. To był wielki ważniak, szeroko znany w całym rejonie, a i wzrostu był imponującego. Zdaje się, że kolejno Guzionkow stał na czele wszystkich rejonowych instytucji — więc na czele związku spozycia, był kierownikiem ośrodka hodowli bydła, i nawet był dyrektorem kombinatu społecznych usług. Tytułowano go Michałem Michajłowiczem. Wszyscy zapomnieli, że kiedyś w Tichanowie znany był po prostu jako Miszka Monter. A skąd się wziął — nikt nie wiedział.

W trzydziestym drugim roku stary młyn z parową maszyną kopczą w Tichanowie, przerobiono na stację elektryczną. Nic się nie zmieniło w zewnętrznym wyglądzie brudnego gmachu z cegły, podobnego do składu, tyle że blaszany komin nad dachem podwyższył się i pogrubiał. I zamiast popukiwania i ciężkiego sapania maszyny parowej, obsługującej młyn, słychać było urywane, przenikliwe dźwięki: chtiap! chtiap! Jakby ktoś drwa rąbał i ochryple mu się odbijało. A do rytmu owego „chtiap” rozjaśniały się i przygasały na wsi elektryczne żarówki. I wtedy to w Tichanowie objawił się Miszka Monter z ciężką, zbrudzoną czapką na głowie. Wkrótce wysunęli go do rejonowego komitetu Komsomołu jako wyjątkowego w Tichanowie przedstawiciela klasy robotniczej. Wkrótce potem Miszka Monter ulotnił się. Po dwóch latach zamiast stacji elektrycznej znowu zaczęła pracować młynarska maszyna parowa. Zaś Michał Michajłowicz Guzionkow już był mocno utrwalony na linii politycznej.

Przypadek chciał, że Fomicz spotkał się z Guzionkowym zaraz w pierwszych dniach po objęciu przez niego stanowiska przewodniczącego. Naturalnie, całkowicie zawinił Żywy, a mówiąc dokładniej, jego jęzor.

Guzionkow na samym początku postanowił najpierw przyznać w kołchozie stałe pensje wszystkim kierowniczym pracownikom, rachmistrzom, hodowcom bydła... Żeby od razu poczuli dyscyplinę, wzywał jednego po drugim do swego gabinetu i „pokazywał władzę”: siadać nie zapraszał, sam siedział i długo wypytywał.

Ludzie z Prudków przyszedli razem do Swistunowa, kupą wwalili się do gabinetu Guzionkowa. Który rozsiadł się na krześle, który zwyczajnie przykucnął pod ścianą. Za czasów Filki Samoczenkowa przyzwyczaili się do tego. Guzionkow przyglądał się im przez dłuższy czas z ciekawością, aż tu nagle jak trzepnie dłonią o stół.

— Co wyście do chlewu przyszedli, czy do gabinetu przewodniczącego? Wynocha stąd! Przychodzić dokładnie po kolejce... Jak wywołają!

Wychodzili pochmurni i niezadowoleni. I do ludzi zgromadzonych przed gankiem zarządu:

— Sam siedzi, a tobie każe sterczyć niby słup... Władza!

— A czemuż tak? — Żywy rzucił zjadliwą uwagę. — Akademę skończył pod drzwiami. Korytarzem spacerował, a do klasy go nie puścili. W śmietniku pod drzwiami się grzebał i tam rozum nabierał. Dlatego taki sierzdysty.

Ktoś doniósł. Guzionkow rozjuszył się — nie dał Żywemu pensji, zostawił go na dniówce. I ponadto polecił buchalterom, żeby przy każdym wyjeździe dawać na Fomicza osobliwe baczenie i raportować jemu, jako przewodniczącemu. „Widzisz go, diabelskie nasienie! — Fomicza zdjęło do żywego. — Ślepia wypatrzysz, a mnie nie złapiesz!” Przedtem także nie kradł — nauczny. Wiadomo jakie prawa! Komuż by się chciało siedzieć w więzieniu? Pieniądze to nie żyto — jakbyś nie ukrywał i tak dojrzą. Korniejcz księgowy doświadczony — każdy papierek widzi na wylot.

Żywy chciał przejść na fermę w charakterze rachmistrza. Guzionkow go nie puścił: tam swobody więcej i korzystniej — stała pensja! Krótco mówiąc, tak obstarwił przewodniczący Żywego jak dobry szczwacz szaraka. Wyrwij ile chcesz, a i tak koniec wiadomy — stracisz dech i po tobie...

Ale znowu — opuścisz kołchoz i czym się zajmiesz? Odjechać w inne strony, na zarobek — nie dasz rady. A najważniejsze, że nie puszczą. Prosić o robotę na miejscu, za pieniężną niby zapłatę? U kogo? Kto mu da pracę? Jak już wyjdiesz z kołchozu, nie będzie do kogo się zwrócić. A jeżeli zostaniesz, to i tak się wykończysz. No więc wynika, że jak nie kombinuj, zginiesz, mój synu! I znowu wypadło na dzień świętego Froła. „Znaczy się — myślał Żywy — los się na mnie zawziął, chce mnie zamęczyć”.

I postanowił zdecydowanie wyjść z kołchozu. Nieprawda, tu czy tam, jakoś się urządzi! I gdy raz postanowił, trochę mu ulżyło, i nawet jak gdyby poweselał. „Zły los chce nade mną w dniu świętego Froła kropkę postawić, a ja mu przecinek dopiszę i dalej...” Wstał i chciał łapać za bałabajkę, żeby zagrać piosenkę o „zuchwałym Chas-Bułacie...”. Ale przypomniał sobie na czas: sąsiad przyjechał z rejonu. Gotów pójść na pastwiska. Trza by do niego... A nuż ugości, że to przy świętecznym dniu...

II

Poczęstunek wypadł na sto dwa. Gospodarz, Andriej Spirydonowicz Kiryłow, popularnie po prostu Andriusza, ledwie za-

prawił się przed wyjściem na łąki i teraz na progu dopasowywał drewnianą kulę do kikuta. Na stole stała karafka z rżniętego szkła, wypełniona mętnawo niebieskim samogonem, a obok na talerzu pokrajany pieróg z nadzieniem z jagód kaliny.

Po sposobie, jakim Andriusza przysposabiał kulę do kikuta, Żywy od razu zdał sobie sprawę: wybiera się na kośbę. Andriusza miał dwie drewniane kule — jedną z nich nazywał „łożem”, drugą — „piastą”. Łoże było wypolerowaną deską z długą, płaską poręczą, coś jakby deska do prasowania; dochodziła aż po biodro. Andriusza przypinał ją do biodra dwoma rzemieniami i z pychą opierał się o poręcz ręką. Używał jej przy zwykłej pracy, albo gdy wychodził na spacer. Teraz „łożę” stało koło drzwi, zaś Andriusza przypinał „piastę” — kulę zupełnie krótką, zakończoną miedzianym pierścieniem. Na tej piastce Andriusza mógł kosić i orać, i nawet puszczać się w tany.

Andriusza mieszkał i pracował w rejonie, a do matki przyjeżdżał, żeby pomagać przy gospodarstwie. Za to, że dostarczał cielaka, wydzielono jej z kolchozu hektar i ćwierć łąki. Co prawda, wydawano za cielęta co zostało po sianozęci. A i to dobrze. Bo jak nie, to wypędzaj bydło z obory.

— Co to, Andrzej Spirodonowiczu — zapytał współczująco Fomicz po przywitaniu — na kośbę wybieracie się?

— Zgadłeś. A ty dlaczego nie przy pracy?

— Jużem się napracował do reszty... To jest machnąłem ręką na społeczne zajęcie.

— Chodź do stołu, sąsiedzie — zapraszała go ciotka Matriona, przygarbiona, ale jeszcze krzepka starucha, matka Andriuszy. — Napij się z racji święta.

— Za wasze najlepsze zdrowie, jak to się mówi.

Żywy podszedł do stołu, nalał pełną szklanekę, wypił, odłamał kawałek pieroga, powąchał i zaczął jeść.

Pieróg był dość gorzkawy, widać, pośpieszyła się ciotka Matriona z tą kaliną. A znowu od samogonu niesło spaloną gumą. Ale Fomicz wypił z przyjemnością i wcinał aż się uszy trzęsły, nie przestając opowiadać, jak to on machnął ręką na społeczne zajęcie.

Wreszcie Andriusza przymocował swoją drewnianą kulę, przypnął niby butem i jeszcze żarcik odstawił:

— Kto kulawcem został tera, tego dola jest najśłodsza: nogawica się nie zdziera, a i buta mu nie potraza.

Andriusza miał ciężkie ciało, a gdy stapał, deski podłogi załośnie skrzypiały. „A cóż, temu rzeczywiście dobrze się powodzi” — myślał Żywy, przyglądając się czerwonemu karkowi Andriuszy, całej jego potężnej postaci, przepasanej na brzuchu szerokim rzemieniem wojskowego dowódcy.

— A ty nie boisz się, że cię wezmą do galopu? — zapytał Andriusza, przysiadłszy się do stołu.

— Co tam ze mnie wezmą? Tych trochę łachmanów?! — Fomicz poruszył się na stołku i zachichotał. — Także samo nie słysząc, żeby teraz za bardzo brali do galopu.

— A jeżeli cię ześlą?

— Sowiecka władza tam jest?

— Jest komendantura.

— No, to zostanie pomocnikiem komendanta...

— Czegoż ty właściwie chcesz?

— A ot, żeby jakąś robotkę otrzymać, taką jak twoja. Usycham na ciele, chciałoby się wydobrzcć. Coś tak jak ty...

Andriusza roześmiał się, aż mu się pierś zatrzęsła.

— Nie dasz rady! Przypatrz się tylko sobie...

Żywy w porównaniu z Andriuszą wyglądał jak stary wałach w zestawieniu z perszeronem. Andriusza miał dużą, białoróżową twarz i szeroką, błyszczącą łysinę. Zaś Fomicz miał chorobliwą żółtą cerę, zapadnięte policzki, kościsty, czarnowłosy i z czarnymi wąsami, przez co wydawał się jeszcze chudszy. Rzeczywiście wyglądał na chabętę, zdychającą od nadmiernej pracy. Na ramionach i na plecach widniały jakieś nabrzmienia, właśnie jak u konia. I tylko piwne oczy patrzyły zuchowato, młodo i uderzały swoją nieudaną żywością.

— Ja jestem inwalidą z wojny domowej, a ty z ojczyznianej. Różnica! — mówił z uśmiechem Andriusza. — Urządzałem się jeszcze przed wojną. Wtedy pod względem inwalidów deficyt był. Na takich jak ja — drożyzna.

Andriusza nalał resztę samogonu do szklanek. Wypili.

— Więc co zamierujesz robić? — spytał Andriusza Fomicza.

— Ano, siadłem se dziś i ruszyłem pomyślunkiem. Jak nie kombinuj, zginiesz, mój synu! Ziarna nie ma. Przyodziewek i obuwie u dzieciarni znoszone na nice. Żeby kupić — nie ma pieniędzy... Jak tu żyć? Wypada, że jedno tylko wyjście: położyć się żywcem do mogiły, jak to w piosence śpiewają. Nie — powiadam — nima tak! Jest wyjście! Przyjdzie targowy dzień, pójdę, krowę kupię i pieniędzy pożyczę na rewers. Na mleko jaka dzisiaj cena? Trzy ruble za litr. Jeżeli sprzedawać dziennie sześć litrów, to po pięciu miesiącach już krowa spłacona. Znaczą się, pieniądze zwrócę w całości. A na krowy to ja oko mam nadzwyczajne. Nasamprzód przyjrzeć się trza, jak u niej sierść się kręci. Jeśli na ten przykład zaczyna się wicherzyć od samego łba, to znaczą, że od mleka do mleka chodzi nie dłużej niż cztery niedziele. A jeżeli wicherzy się dopiero na grzbiecie, to się więcej niż siedem niedziel wałkoni przed ocieceniem. Czyli krowa nic nie warta, próżniaczka! Znowuj pomagać ją trzeba między cynamami

i bandziochem, gdzie żyła, znaczy, się kończy. Jeżeli kciuk wchodzi aż po stawy — pud mleka będzie dawać co dnia. Także samo jeszcze na ogon popatrzę — dmuchnij w sierść na samym końcu: jeżeli jaśniejsza niż na wierzchu, krowa tłusto się doi! Postawisz mleko na całą dobę — kładź miedzianego pięciogroszaka, nie utopi się. Taką oto krowinę sobie dobiorę!

— No, to za czym zatrzymanie? — uśmiechał się Andriusza.

— A za tym, że jednego drobiazgu brakuje. Teraz pieniędzy muszę prosić na pożyczkę, ze trzy tysiące. Takem postanowił, że zacznę od sąsiadów, na ten przykład od ciebie. Daj mi tysiąc do zwrotu za pół roku. A ja ci rewers dam... Prawdźliwio wszystko załatwie.

Andriusza wybuchnął grzmiącym śmiechem.

— Nie byle jaka matka ciebie poczęła! To z ciebie, Żywy, prawdziwy diabeł! Aleś to do śmichu powiedział! A ja w pierwszej chwili nawet uszy nastawiłem...

— Nie macie do mnie żadnego zrozumienia — Żywy westchnął z głębokim żalem.

— Wiesz co — jazda ze mną siano kosić! Od każdej setki dam rubla... Chciałeś zarobku — masz. A jeszcze dodam pud wymłóconego prosa. Matka, zgadzacie się? — Andriusza zwrócił się do starej.

— A cóż, bardzo pięknie wymyślone! — odezwała się spod pieca ciotka Matriona. — Jużem sama miarkowała: zgodzić żeby kogo. A ty wracaj do rejonu. Własnych spraw masz aż potąd.

Obydwo, Andriuszy i Żywemu, umowa przypadła do gustu. Przybili ręce i poszli razem na łąki. Oprócz kos i osełek Andriusza wziął ze sobą pół litra wódki, a Fomicz strzelbę.

— Wieczorkiem pod tę pracę — powiedział Andriusza — wypijmy na sianożęci.

Łąki znajdowały się daleko. Kołchoz przydziałał pokosy za zdawanie cieląt za Łuką — bardzo wydłużonym, kapryśnie powyginanym starożytnym jeziorem. Kiedyś były tam najlepsze pastwiska, i nie raz, nie dwa chłopci z Prudków bijali się o prawo do wypasania z brechowskimi chłopami zza rzeki. A teraz łąki zarosły wiklinowym chróśniakiem i kaliną gdzie powyżej, olszyną gdzie niżej. Tam, gdzie została trawa, stały porozzucane pojedynczo dębczaki. Traktor tam nie pójdzie — noże u kosiarki połamie. A znowu na ręczne koszenie kołchoźnicy nie mieli czasu. No, więc oddawano te łąki w zamian za dostarczone cielęta.

Droga tam wiodła wzdłuż rzeki Poroszy, wijącej się wymyślnie to tu to tam, jakby dla swawoli. Płaskie, piaszczyste brzegi, zarośnięte na zboczach krasnotąłem, głogami i czarnymi porzeczkami, coraz to ustępowały miejsca stromym, niezarośnię-

tym jarom, święcącym szaroniebieską gliną i podobnym z dala do nierówno ukrajanych konopianych makuchów.

Przy Kuziakowym Jarze Andriusza i Żywy siedli na odpoczynek. Słońce przypiekało. Chłodny poranny wiaterek uspokoił się całkowicie i gęste, jeszcze po letniemu rozjarzone powietrze kołysało się nad zalewami rzeki, nad świeżą soczystą zielenią otaw, nad przysadzistymi, burożółtymi stogami. Stąd, z wysokiego brzegu stogi stojące za rzeką wydawały się nienaturalnie małymi kępkami. Szerokie rzeczne nurty, takie świetliste, jakby wystawione na pokaz, zdało się, rozlały się jeszcze szerzej. Rozległa równina, przystrojona jaskrawą zielenią, odsunęła się jak gdyby jeszcze dalej aż do siniejącego brzeżka lasu, strop nieba o zimno zielonkawym tonie podniósł się jeszcze wyżej, wszystkie tchnęło jakąś szczodrobliwością i potęgą. Ale bure, schłostane deszczami stogi wywoływały smutne uczucia. A może niewesoło było także i dlatego, że w całej przestrzeni nieba wisiał jeden jedyny sęp i pogwizdywał, modulując przeciągłe: „Fju-jutji-i-i-i r-ulrlu, rlu!” Wyglądało na to, że sęp z kogoś naśmiewał się i przedrzeźniał.

— Ech, matko-przyrudo! — westchnął Żywy. — A ty mi taką rzecz powiedz: dlaczego ziemia jest dobra, a człowiek taki chciwiec?

— Ty to do czego przykładasz? — Andriusza siedział nad samym urwiskiem, zwiesiwszy swoją piastę, i rzucał gliniane grudy do wody.

— A choćby do tego Kuziakowego Jaru. Wiesz ty, jakie tu sumy zamieszkuje? Aż strach! A żeby którego złowić — nie złowisz. Jeden był tylko człowiek, który umiał ich brać — Kuziak. To i ten pomarł. I takiej już chciwości był człowiek — umierał, a z sekretu swego się nie zwierzył. Tak zabrał ze sobą do grobu, żeby mu ziemia była nielekka!

— Próbowałeś to, wypytywałeś go?

— Bo to jeden raz! Pary z gęby nie puścił... Żeby to przede mną?! Rodzonemu synowi z sekretu się nie zwierzył! Już ja mu więcierze reperowałem i samogon stawiałem... Ani-ani! A stawiam pytanie, czego zaś pożalował? Już choćby z szacunku dla mnie, zem tyle dzieciaków zrodził, powinien był odkryć się. Żeby to znał jego sekret. Ocho! Tera bym żadnego kołchozu się nie bojał. Złowiłbym suma ze cztery pudy wagi — żyj, bracie, bez żadnego zmartwienia.

— A ja — powiedział Andriusza — jednym razem łowiłem sumy z Kuziakiem.

— Co ty powiesz! I z jakiejż to racji wziął cię ze sobą?

— Poszedłem mu na rękę na konto podatkowej sprawy — wykrętnie odpowiedział Andriusza i chytrze przymrużył oczy. — Wiesz jak przynętę nasadzać na hak?

— Jakżeby! Nawet w książce o tym czytałem... Wszystko sobie wyjaśniłem dokumentnie.

— A na czym żabie mięso smażysz?

— Na oleju.

— A jaką nitką wabika przewiązujesz?

— Zwyczajną... — Fomicz pomyślał i dodał: — Wełnianą.

— Zapamiętaj sobie! Nitka powinna być czysto lniana.

— Ki diabeł?! To on ci tak powiedział?

— Tak.

— I co dalej? — Żywy wbił chciwe spojrzenie w Andriuszę.

— Poruszyliście sumy?

— Poruszyliśmy... Z samego dna się podniosły. Jak poszły dokoła łódki! Jeden to się nawet na wiosła położył.

— Wielgachny był?

— Łeb miał jak ten szaflik...

— Diabli! A jakże on suma brał? Powiedz mi, jak przynęte podrzucał. O tym w żadnej książce ani słowa.

— Rękę wsadził do wody do łokcia. Potrzymał trochę, a potem powiada: Sum — mówi — nazarty... Zamiast brać, wypluwa.

— A niech cię wciorności! — Żywy gniewnie trzepnął się po kolanach. — To on ci ślepią zamydlił. Nie! Już tam Kuziak nikomu by nie powiedział. To był drzewny pień, a nie człowiek!

Kaczki wyleciały zza zakrętu całkiem niespodziewanie; uciekając przed sępem, trzymały się blisko powierzchni wody, tak że Żywy bił po nich prawie całkiem z góry. Dwie kaczki wywinęły koziółka i spadły prosto do wody, a trzecia pociągnęła od stada w stronę drugiego brzegu. Nagle zakwakała przejmująco i natychmiast spadł na nią sęp, jakby rozległ się trzask suchego kija — tak mocno ją trzasnął, że aż pióra się posypały... I poniosł w niskim locie, zniknął za podmokłymi zaroślami, jakby skręcił za róg domu.

— A to ci ścierwo — powiedział mu Żywy w ślad. — Ot, tacy w taki sposób i żyją. Widziałeś jak ją wziął? I jak gdyby wszystko było w porządku... Właśnie dla niego się starałem i kaczkę podstrzeliłem. — Z wyciągniętą szyją Fomicz wpatrywał się w tamtą stronę. — Ech, niedaleczko nawet, a przepłynąć nie ma czym! Już jakbym mu pokazał, co to znaczy na cudze się łakomić.

Po wydostaniu kaczek, Żywy zaczął się niepokoić.

— A może nie będziemy odkładać do wieczora, co? Jeszcze nam kaczki się stracą?! Wiesz, to już lepiej ugotujemy je i tego... wypijemy! Tak czy owak dziś świętego Froła. A co do košby, to ja sam wykoszę.

Andriusza pocertował się tylko dla przyzwoitości, bo już go rozbierał wypity uprzednio samogon.

— No, cóż — zgodził się — dorzucę ci jeszcze trzydziestkę.

— Kaczki mamy dwie, a buteleczka tylko jedna. Widzisz, co z tego wynika? Zagrychy dużo, a wódki zabraknie. Daj mi tę trzydziestkę od razu. To już tak jakby ja sam postawię, ugoszczę cię. Niby poczęstunek na oblanie interesu, che-che...

— Jak chcesz — Andriusza wyjął z kieszeni portfel i wręczył Żywemu kolorowy banknot.

— Póki co, rozpal ognisko. Piorunem obróć. Tu nie więcej od trzech kilometrów, do Prudków, znaczy się. Nie więcej. A co do łąki, nic się nie boją. Tak trawę skoszę, że dychę na dziesięć kroków dostrzeżesz. Ale się okazja przytrafiła! Wypada, że po raz pierwszy mi poszczęściło na świętego Froła.

I Żywy radośnie podreptał do Prudków.

III

Wiadomość, że w Prudkach zjawił się wolny kosiarz, w mgnieniu oka rozeszła się po wsi. Zdarzało się, że dojarki, zavalone robotą na fermie, wynajmowały obcych kosiarzy — a to zdemobilizowanych żołnierzy, a to wędrownych chłopów. A tu miejscowi się zgłasza. Rzucono się do Fomicza z zamówieniami, głównie dojarki — wdowy nieszczęsne. Kto nie miał kaszy, obiecywał dać kartofle albo żyto — Fomicz zgadzał się na wszystko. Najpierw brał zadatek, po czym, żeby nikt inny roboty mu nie poderwał, znakował działkę zamawiającego, pociągał kosą po skraju, jakby sierść na owcy wystrzygał — zostawiał swój karb i szedł dalej. „Teraz — rozumował Fomicz — gdyby się który wynajął, ze mną będzie mieć sprawę. Tak dużo bezpieczniej”.

A jednak znaleźli się rywale. Pierwszy przywłókł się dziadek Fiłat. Wczesnym rankiem, gdy jeszcze rosa dymiła wśród zarośli i nie zdążyła dobrze opaść na trawę, Fomicz spotkał go na działce Mariszki Britej. Dziad siedział na wiązce siana, tuż obok skoszonej przez Fomicza smugi. Zza cholewy nędznego buta sterczała rączka brusa, zwanego „smolanką”. Nad głową, na dębowym sęku wisała kosa.

— Ty co, dziadku — zapytał Fomicz — nocowałeś tu, czy jak?

— A choćby ta i nocował... Wiesz, Fiedia, mnie już sen się nie ima. Mnie czy noc, czy dzień — wszystko za jedno.

— Lepiej byś wylegiwał się na piecu. Po kiego żeś tu przylał?

— Działka mojej siostrzanej, Maryszki, nie?

— To i co?

— Jakto co! Na kośćbę żem przyszedł.

— Coś ty, rozcmychał się dopiero? Toż ona mnie robotę przydzieliła. Gdzieżeś się pierwej podziewał?

— Nie twój rozum kajżem był! Ty mnie, Fiedka, pytaniami nie torturuj. Za młody na to. Kosić będziewa wspólnie. Pieniądze podzielimy. To już i portek nie mam czym łątać. Jakiś kaftan trza by sprawić, zanim zimna nadejdą.

— A ty, dziadku — roześmiał się Żywy — chyba na czworakach pójdziesz z kosą.

— Szczun! — twarz dziada Fiłata zrobiła się purpurowa. — Idź przodem, to ci piętę podetnę.

Dziad był wyschnięty, pochylony, miał rzadką, strzępiastą brodkę i drobne piegi rozsypane na pomarszczonej i bladej jak prześcieradło twarzy. Kiedy śmiał się albo gniewał, zawsze tak samo rozciągał wargi i niesamowicie szczyrzył zęby. Kto go tak po raz pierwszy zobaczył, temu wydawało się, że dziadek Fiłat płacze, nie wydając głosu. Mieszkał samotnie, dwaj synowie zginęli na wojnie, potem pochował swoją starą... Emerytury nie otrzymywał, że to kołchoźnik, a i synowie jego także byli kiedyś kołchoźnikami. Z wielką biedą dawał sobie radę: w ziemie majstrował saneczki, w lecie plótł kosze i sieci, przeważnie o jednym skrzydle, które w Prudkach nazywano „kulikami”. Sznury do sieci garbował sokiem specjalnej trawy.

— Te wasze kapronowe — zwykł mawiać dziadek Fiłat — przy moich sieciach to jak sitowie przy wiklinie. Każdy kij zbutwieje pierwej, a moje sieci wytrzymają.

Tego kapronu dziadek Fiłat nigdy nie widział, słyszał tylko o nim, ale istotnie, jego sieci wytrzymywały porównanie z najlepszymi i miały łatwy zbyt.

Tego lata jednak prowadzono walkę z kłusownikami i łazikami. Każda wieś ujawniała swoich bumelantów. Zwalili się także do dziadka Fiłata. Przyjechała podwoda z rejonu z dwoma przedstawicielami. Przeprowadził ich swój, miejscowy — Paszka Woronin, brygadier z Prudków. Naładowali cały wóz tych sieci. Nici i sznury też zabrali co do jednego.

— W kołchozie, dziadku, należy pracować, a nie darmożada odstawiać — mówił do Fiłata pouczającym tonem nieznanemu mu przedstawiciel w urzędowej czapce z dębowymi liśćmi.

Dziadek kręcił się usłużnie koło wozu, pomagał uwiązywać sieci.

— Paszka, mniej ino baczenie, żeby na wybojach nie trząchało; wpadnie więcierz między szprychy — połamię... — przykazywał brygadierowi.

— Cudak! — śmiał się naczelnik w kaszkiecie z dębowymi

liśćmi. — Cóż to, kupujemy u ciebie te sieci, czy jak? Czy na przechowanie wieziemy? Myśmy skonfiskowali... Rozumiesz?

— Jakżeby nie rozumieć! Weźcie, zabierajcie — mruzczał dziad drewnianym głosem i długo patrzył za wozem, osłoniwszy oczy dłonią — i nie wiadomo było czy płacze, czy też śmieje się.

Fomicz rozumiał, że dziadek Fiłat znalazł się w trudnej sytuacji, i ciężko zamyślił się. Niby tak, po ludzku biorąc, należałoby z dziadem podzielić się. Ale i samego siebie trzeba pożałować. Tyle gąb w chacie, codziennie rano rozdziawiają się — daj! A jemu, Fomiczowi, kto da? Usiadł obok dziada, zakurzył.

— Dziadku, widzę, że masz „smolankę”, co, z czasów prywatnej własności zachowała się? — Żywy wyciągnął przepojoną smołą deszczułkę z cholewy Fiłatowego buta. — Takich już chyba od dwudziestu lat nie sprzedają?

Smolanka była czarna, nienaruszona, wyglądała na nowiućką.

— Przed wojną starszy synal przywiózł mi dwie takie skądś — powiedział dziadek Fiłat. — Jedną tom już wypotrzebowałem na całego.

— Ano, spróbuję! — Żywy wparł w koniec tak samo zniszczonego, nędzarskiego buta ostrze kosy i zaczął pociągać deszczułką po nierównej stali.

Wżju-wżju-wżju... — dźwięcznie odezwało się na przeciwnym brzegu jeziora. Potem Fomicz postawił kosę sztorcem i, zadzierając głowę do góry, naostrzył koniec.

— To ci pycha! Mów co chcesz, a osekłą ostrzyć nieporęcznie. Moja kosa to prawdziwa zaraza: dwa razy nią machniesz i już się stępiła. A ta twoja to chyba jeszcze wiedeńska?

Fomicz patrzył z zazdrością na wyostrzoną, wąziutką jak zmijka kosę dziada Fiłata.

— Dwa stempele na sobie nosi! — powiedział z najwyższą powagą dziadek Fiłat.

Milczeli przez chwilę, patrzyli na jezioro i na stogi poczerniałe od deszczu.

— Ale też lato wypadło! — powiedział Fomicz. — Siano gnije w stogach.

— Jakie tam stogi! Nawalili siano na kupę — i tyle! Przykryć potrójnie, a dobrze — i masz stóg. A tu deszczem ich przebija na wskroś. Po wierzchu butwieją i z dołu także samo zalewa. Stawiają nynie tu, jutro tam... Tfu, do diabła! — Dziad splunął, rzucił niedopałek i przydeptał go butem. — Wszystkie łąki zapaskudzili. Łońskimi laty, patrzysz, postawimy stóg — na dziesięciu wozach nie zabierzesz. Takie to stogi stały... Wyżej od dębów! A zawdy na tym samym miejscu.

— Prawdziwie — przyświadczył Fomicz. — Najpierwej w

kołchozie, w naszej brygadzie, znaczy się, zawsze mnie brali, żeby stogi od szczytu wykańczać.

— Jaki tam z ciebie wykończyciel! Smarkiem jeszcze byłeś. U nas w Prudkach nikt lepiej stosów nie szczytował od popa Wasyla. Wszystko sam czynił. Snopy jakże układał na sztorc! Zdarzało się, wyprowadzi stertę za stertą — stoją jakobyś jęzorem wylizał. Rok cały stoją i nic się im nie dzieje. Majster był!

— To tak... Myśmy go razem z Woronkiem zabierali. Woronek był wtedy przewodniczącym komitetu biedoty, a ja — sekretarz wiejskiej rady. „Władza — powiada do popadji — przysła. Zbieraj się!” „Nie — powiadamy — to tylko tobie, ojcze Wasylu, wypada zbierać się do wiejskiej rady”. „Tam już czekają na nas obojga” — odpowiada pop. I rzeczywiście. Tam już pełnomocnicy na niego czekali, przyjechali z rejonu. Wszystko wiedział. Przenikliwego rozumu był człowiek.

— Przenikliwość, ano tak — zgodził się dziadek Fiłat. — No, cóż, posiedzieliśmy, Fiedia, starczy nam...

Dziad wstał, zrzucił z siebie podarty kaftan, zdjął kosę z gałęzi.

— Znaczy się, przodkiem pójdę, jakeśmy się umówili...

— A kiedyż to myśmy się umawiali? — Żywy aż gębę otworzył ze zdumienia.

Dziad udał, że nie słyszy... Krótkim zamachem zaciął kosą dwa razy, położył trawę i poszedł wzdłuż granicy działki.

Kosił z niespodziewaną łatwością, z przysiadu i dokładnie kładł ściętą trawę.

„Zjawić się musiał nieproszony współnik — myślał Fomicz. — Cóż tu z nim porobisz?! Za portki go nie odciągnąć. Cóż, jemu przecież także żyć się chce”.

Żywy ruszył żwawo za dziadem, ale jakby na umyślnie, po jego stronie porastała gęsta jarzębina i sterczały zrudziałe pręty. Trawa już była przejrzała, zaś korzenie jarzębiny niczym druty, aż kosa na nich dzwoniła. Zagapisz się — już po kosie. Machniesz z dziesięć razy, a tu już kosa nie bierze, trawę wicherzy — nic nie poradzisz. Fomicz zatrzymywał się co chwilę, wyjmował osekę i ostrzył kosę. Zaś dziadek Fiłat nic tylko naparza i naparza, aż mu koszula wzdęła się na plecach — patrz, dokąd zawędrował!

„Ależ ma kosę! — myślał Fomicz. — Nie kosa, ino żmija. A dziadek jeszcze przy sile, żylasty! Tak tylko z pozoru — chuchniesz, przewróci się. A tu patrz jak zaiwania! Może to i dobrze wyszło, że się znalazł pomocnik. Wczoraj wykosił działkę Andriuszki, czas by grabić i w stogi układać, a z kim? Duni na stóg nie wsadzisz — wiązać nie umie. Samemu wypadłoby stawiać, udeptywać i wiązać. Zacznieś łążęgować od jednego stogu do drugiego — jęzor na wierzch wywalisz. A dziadka posadzę — i hulaj du-

sza! Widły też nie bylejakie posiada — czterozębne, sprawne do stawiania stogów. Takich dziś nigdzie nie kupić”.

Kiedy Fomicz kończył swoje, dziadek Fiłat zdążył już dobrze wysapać się.

— No, i cóż Fiedka, niech cię kury w piasku zagrzebią! A pedalem ci, pięty podetnę. — Dziadek siedział z otwartymi ustami niczym gąsiatko w upalne południe; na piersi i na plecach niebieska, wyblakła koszula ciemna była od potu.

— Kosa u ciebie jak złoto — mówił Fomicz, ocierając rękawem pot. — Na całym zagonie ani jednego zacięcia. Bogu przysięgam, jakby mi kto powiedział, nie uwierzyłbym.

— Łońskimi laty to ja z tą kosą pół Rosji kosząc schodziłem. I na Don chodziłem i na Kubań, aż do samych Kapkaskich gór. Nasi riazzańscy kosiarze w wysokiej byli cenie. Zdarzało się, przyjdę na chochłacki targ, gdzie kosiarzy godzili, napiszę na łapciu: pięćdziesiąt kopiejek — i spać się kładę. Komu potrza — niech wynajmuje. I ani grosza mniej. Nie ma mojej zgody — i kropka!

Kosili długo, czasem odpoczywając, aż słońce schyliło się ku zachodowi. I dopiero wtedy, zanim poszli do domu, dziadek Fiłat wyznał całą prawdę.

— Ja żem, Fiedka, na przechwycenie roboty przyszedł.

— A który jeszcze chciał? — Fomicz cały się zjeżył.

— Spiriak Woronok...

— A temu czegoś jeszcze brakuje? — nachmurzył się Fomicz.

— Zawdy szuka okazji, żeby ino coś urwać.

— Wczoraj zaglądałem do obór. A ten wierci się jakby na kulasy ochromiał. Słepiami do mnie mruga: „Późdzwa — peda do mnie — we dwóch dzielić się z Fomiczem zarobkiem z kośby”.

— Ja mu podzielię! — złościł się Fomicz. — Kosą po zębach!

— A jeżeli — pedam — na ten przykład, Fiedka zgody nie wyrazi? Wtedy jak? Wtedy — peda tamten — przewodniczącemu doniosę. Ani dla mnie nie będzie, ani dla niego.

— Już mnie przewodniczącym nastraszył!

— Bacz dobrze, nie później jak dziś wieczór do ciebie się zwali.

— A ja tego wyjadacza z garnków — odpowiedział Fomicz — nawet za próg nie puszczę.

(c.d.n.)

(Przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

B. MOŻAJEW

Wiersze

RUCHOME PIASKI

Piasek biegnie na drobnych, mrówczych nóżkach,
Kładzie się na równinie pomarszczoną morą,
Tam w diunach leżą nagie, ciepłe kobiety,
Opalają piersi i spody brzucha,
Smarują oliwą nagrzaną ciało,
Ale nie rozgrzebujcie tego piasku,
Okaze się że to Sahara,
Pod morą leży biały szkielet,
Zapomniany Anglik, Niemiec, Włoch
Albo i Polak, żołnierz z Tobruku,
Piaski go pochowały,
Piaski go przechowały,
Ruchome piaski, które przebiegają
Długą drogę od miłości do śmierci.

RZEKI

Ustały rzeki,
Wyszły na brzeg,
Wyciągają spuchnięte nogi,
Ryby na suchym dnie jeszcze dyszą,
Ptaki je porwą, pokrajają dziobami,
Pustym korytem pobiegną szczury
I nawet zgoniony
Uciekinier z więzienia
Na próżno będzie przyklekał

Aby kropelkę wody
Zlizać z chropowatego
Kamienia.

Susza.
Wyschną ludzie.
Nikt nic nie zrozumie:
Zwołają walne zebranie,
Podpiszą protest do prezydenta,
Pociągną pod parlament,
Szczerniąte mumie.

Tylko my, którzy wiemy
Że nie ma na to sposobu,
Potożymy się u wystygłych źródeł,
Twarzą do chmur,
Pod pustką obłoczną
I weźmiemy zmęczone rzeki
Ze sobą do grobu.

Niech przy nas odpoczną
Do następnego potopu.

O NIESZKODLIWYM LWIE

To napisały za mnie góry i drzewa,
Tamto Chatubińscy w haftowanych serdakach,
Zakurzony głóg przy drodze, bandosi
Którzy wywedrowali ze wsi do miast,
A ja obchodzę cały ten kraj dokoła
Jak głodny lew na pustyni,
Upartem się przy moich piaskach,
Jedną łapą mógłbym złamać ludzki kregostup,
Jednym pazurem popuć wetniany kłębek żył,
A jednak nic nie umiem rozszarpać
Ani obalić skoczywszy z nienacka,
I tylko upieram się przy mojej pustyni
I ciągle zapominam że jestem
Jak wyleniały, nieszkodliwy lew
I że krążę po małym
Ogrodzie zoologicznym.

SZPIEG

Tam na tej wieży siedzi obserwator artyleryjski,
 Patrzy przez lunetę
 Jak sypiemy szańce,
 Jak spiesza się kawaleria,
 Jak piechociarze myją menażki w piasku nad rzeką,
 Jak w taborach idzie handel żelaznymi porcjami konserw,
 I jak krępy, wągrowaty sierżant
 (Od dawna podejrzany, nazywamy go Judasz)
 Lusterkiem pod słońce daje mu znaki
 Gdzie ustawiły się nasze haubice.

Zaraz uderzy salwa i zacznie się szturm,
 Schrony wylecą w górę z furkotem
 Jak włoska bielizna na sznurze zerwanym przez wiatr,
 A przy sierżancie leżeć będzie koszula,
 Której nie miał czasu wystawić nad okop,
 Aby się poddać.

Nic nie szkodzi.
 Judasz powiesiłby się i tak.

STUKAJĄ Z DNA

Stukają z dna,
 Z podwodnej łodzi,
 Jeszcze ich słyszać,
 Na Boga, śpieszcie się,
 Nie ma czasu,
 Nie będą mieli czym oddychać,
 Dajcie im znać że wszystko w ruchu,
 Puście mnie, ja odstukam,
 Żaden nurek lepiej tego nie zrobi:
 Jestem doświadczonego topielcem
 W podwodnym zaduchu.

LEKCJA KONWERSACJI

Nie mów o Polakach i Żydach,
 To pole minowe.

Nie mów o Polakach i Ukraińcach,
 To pole minowe.
 Nie mów o Polakach i Czechach,
 To pole minowe.
 Nie mów o Polakach i Litwinach,
 To pole minowe.

Nie wstępuj na pole minowe,
 Wylecisz w powietrze.
 Są jeszcze inne,
 Na które wstąpiliśmy przedtem
 I także nie ma o czym gadać.

TEATR MARCELLA

Nie grają już Plauta,
 Terencjusza, Seneki.
 Jak orzech rozgryzły ten teatr
 Zębatym pyskiem
 Ospałe aligatory,
 Wieki.

Nie grają nic.
 Na czarnych kolumnach
 Wyżłobione białe strugi od deszczu,
 Nie powiem od łez, bo nikt tu nie płacze,
 Pustka po zmarłych, wejścia zabite od setek lat,
 Stragany spod arkad wyrzucił dopiero Mussolini,
 Zostały koty
 (Nawet nie miauczają)
 I chłód od murów
 Pośród spiekoty.

Gdy odejdą stąd ostatni Amerykanie i Niemcy,
 Ja tu przychodzę nocą,
 Staję pod murami i gram
 Moje własne komedie i dramaty,
 Jedyne autor,
 Jedyne aktor
 I do tego jeszcze publiczność.

SCHODY

Wszędzie schody.
 Winnice schody,
 Piazza di Spagna schody,
 Campidoglio schody,
 Ogrody w tarasach schody,
 W każdym miasteczku
 Po całym kraju
 Schody pochodzą.
 Dlaczego?
 Może dlatego że tak się wzdymały wulkany
 A po lawie dobry urodzaj,
 Ze im wyżej tym łatwiej się bronić na wojnie,
 Ze im dalej od dołów tym dalej od malarii,
 Ze tam najwięcej słońca,
 Nie ma cienia
 Chyba od obłoku.

A może dlatego że im wyżej
 Tym bliżej,
 Do ostatecznego westchnienia,
 Do ostatecznego widoku.

Kazimierz WIERZYŃSKI

CZY WARTO

Czy warto dalej budować wznosić
 patrząc z pogardą
 na prawa ludzkości
 prawa ciężenia
 prawa pionów
 poziomów
 by znów
 błędzić w pustyniach
 niedorzeczności
 narzuconych
 zasad
 i obcych
 prawd.

Czy warto stać na głowie
 by sztuki takie podziwiał świat
 kończyć sprawy zawsze postawiam
 rozpoczynać przedmową fikcyjnych prawd.

A przecież tyle gór wznosić można
 bez walki z naturą ludzką
 bez przymusu i burz
 wykorzystywać
 prawa natury
 prawo ciężenia
 prawo pionu
 prawa poziomemu mórz.

Nie trzeba sztucznych hasel i mitów
 ażeby pianą płynąć pod wiatr
 tylko po prostu budzić marzenia
 w prawach natury
 w zielonym słońcu
 w słońcu wolności
 co świecić może
 od morza do Tatr.

ZIELONE SŁOŃCE

O marzeniach i smutku
 o życiu codziennym
 wśród trosk
 o słońcu zielonym
 o słońcu wolności
 jedynie pod którym
 może wyłocić
 się ktoś.

Zostały mi jednak
 cztery gołe ściany
 o które głową tłuc
 by było cicho
 cicho
 abym w tej ciszy
 mógł tylko krzyczeć
 całą siłą płuc.

*Może echo rozniesie
kiedyś i gdzieś
a może doniesie
temu
co stawiał je.*

J. GALL

SANTA TRINITA DEI MONTI

*Mały zamknięty plac
studnia żaru
dno milczenia
ciszące
głos fontanny głos lęku
wprost w żyły roztapiany
asfalt słońca
nagłą biel piją wargi
cbitodne
hausty schodów
smak mlecznych lilii
fioletowy miód irysów
skrzepnięta kantata
gołębica lecąca
ku górze*

Irena LECIEJEWSKA-ANCZARSKA

Kronika angielska

DYSKUSJA Z KURONIEM I MODZELEWSKIM

Dwa lata temu na tych łamach napisałem, że trudno uwierzyć by trzydziesto-milionowy naród przez 20 lat nie wyprodukował choćby jednej książki zawierającej krytyczną analizę systemu komunistycznego oraz zarysu programu alternatywnego. Jako tłumacz „Nowej Klasy” zazdrościłem Jugosłowianom Džilasa, chociaż nie pod wszystkim co głosi Džilas mógłbym się podpisać. „List Otwarty do Partii” Kuronia i Modzelewskiego wydany przez „Kulturę” w serii „Dokumentów” zapełnia tę kompromitującą lukę i rehabilituje polski marksizm. Ukazanie się tej pracy potwierdza również naszą tezę, że marksizm wyzwolony z dogmatyki jest zdolny do ewolucji.

Na dobro książki Kuronia i Modzelewskiego należy również zapisać brak „drętwej mowy”, zwartość i absolutną uczciwość intelektualną. Autorzy nie kokietują nikogo — ani Rosjan, ani Amerykanów, ani demokratów, ani niezależnej lewicy na Zachodzie. Formułują swoje przekonania z nieugiętą odwagą i z pogardą dla oczywistych konsekwencji, których w policyjnym państwie nie mogli uniknąć. Należy przed tym pochylić czoła ponieważ odwaga cywilna i nieprzekupność intelektualna są równie rzadkie na Wschodzie jak i na Zachodzie.

Jako analityczni socjologowie „nowej klasy”, którą przechrzcili na „centralną polityczną biurokrację” — autorzy „Listu Otwartego” górują nad Džilasem. Trzeba jednak dodać, że Džilas dysponował uboższym materiałem historycznym. Kuroń i Modzelewski mają do dyspozycji okres 20-tu lat „budowy socjalizmu” w PRL oraz bogaty materiał porównawczy.

O klasie komunistycznych biurokratów jako zbiorowym właścicielu wszystkich środków produkcji — trudno jest dziś powiedzieć coś nowego. Nowością jest natomiast zastosowanie marksistowskiej teorii „wartości dodatkowej” w odniesieniu do sytuacji robotników w państwie rzekomo socjalistycznym. Według Lenina teoria „wartości dodatkowej” stanowi podstawę „socjalizmu naukowego”. Lenin sądził, że przy pomocy tej teorii Marks wykazał, że ustrój kapitalistyczny różni się zasadniczo od poprzednich formacji społecznych formą wyzysku. Natomiast ani Marks ani Lenin nie przy-

puszczali zapewne, że dwóch młodych polskich marksistów wykaże czarno na białym, że robotnik w ustroju komunistycznym obrabowany został z „produktu dodatkowego”. W rezultacie wyzysk w systemie „dyktatury proletariatu” osiągnął nienotowaną w dziejach doskonałość.

Jak to wygląda w praktyce? W roku 1952 pracownik produkcyjny przemysłu wytwarzał przeciętnie produkt czysty wartości 51 tysięcy złotych. Natomiast w formie płacy roboczej otrzymywał przeciętnie 22.932 zł rocznie. Inaczej mówiąc, jedną trzecią dnia roboczego robotnik wytwarza minimum egzystencji dla siebie a przez pozostałe dwie trzecie dnia roboczego wytwarza „produkt dodatkowy”.

Na jakie cele przeznaczony jest produkt dodatkowy? Cytuję z pewnymi skrótami: Po pierwsze na akumulację, czyli na rozszerzenie produkcji. Po drugie na utrzymanie aparatu przemocy — wojska, policji politycznej, prokuratury, sądów, więzień. Temu samemu celowi służą wydatki na partię i kierowane przez nią organizacje, które dezorganizują wszelkie próby oporu i opozycji ze strony klasy robotniczej.

W oparciu o powyższą analizę autorzy dochodzą do następującego wniosku: w istniejącym systemie robotnik otrzymuje w formie płacy, usług i świadczeń tylko minimum egzystencji. „Produkt dodatkowy” jest mu odbierany przemocą. Oznacza to, że robotnik jest wyzyskiwany. Produkuje on minimum egzystencji dla siebie i całą potęgę państwa przeciwko sobie. Produkt jego własnej pracy przeciwstawia mu się jako siła obca i wroga.

Na równie gorzkie słowa zdobył się tylko Engels w swoim dziele „Położenie Klasy Robotniczej w Anglii” — lecz to był rok 1845.

Kuroń i Modzelewski reprezentują klasyczny pogląd marksistowski, że dochód narodowy wytwarzają wyłącznie pracownicy produkcyjni. Tu bierze swe źródło ich uraz do technokratów. W rzeczywistości jednak w ustroju prawidłowo funkcjonującym dochód narodowy wytwarzają wszyscy ludzie pracy a nie tylko robotnicy i chłopi. Czy lekarz, którego fachowej opiece robotnik zawdzięcza zdrowie i zdolność do pracy — nie jest współtwórcą dochodu narodowego?

W zautomatyzowanych zakładach przemysłowych w Stanach Zjednoczonych — zatrudnionych bywa więcej wysoko kwalifikowanych technologów niż klasycznych robotników. Wówczas sytuacja odwraca się ponieważ w tego typu zakładzie przemysłowym pracownikami produkcyjnymi w sensie marksistowskim są w znacznie większej mierze technologowie i naukowcy-specjaliści niż robotnicy.

Gdy Marks i Engels formułowali swoje teorie — panowie w białych kołnierzykach — inżynierowie, dyrektorzy i tp. — organizowali i nadzorowali najemną siłę robotniczą nie biorąc bezpośrednio udziału w procesie produkcji. Od tych czasów w krajach wysoko uprzemysłowionych zaszły jednak wielkie zmiany.

Też centralną „Listu Otwartego” jest pogląd, że w obecnym państwie komunistycznym istnieje antagonizm sprzeczność pomiędzy klasowo pojętym celem produkcji robotników a klasowo pojętym celem produkcji biurokratów. Klasowym celem produkcji robotników jest konsumpcja. Innymi słowy, dobrobyt klasy robotniczej. Rządząca biurokracja, której oczywiście nie zbywa na niczym — uważa konsumpcję klasy robotniczej za zło konieczne. Dla tych panów jest to po prostu składnik kosztów produkcji. Robotnik musi mieszkać i jeść lecz tylko po to, by mógł pracować i reprodukować

wać swoją klasę społeczną tzn. dostarczać panującej biurokracji nowych pokoleń robotników.

Aparat administracyjny i partyjny ma na celu zapewnienie sprawnego funkcjonowania powyższego systemu. Partia organizuje posłuch i dyscyplinę i równocześnie dezorganizuje każdy przejaw opozycji czy buntu.

W ocenie autorów „Listu Otwartego” zniesienie wyzysku oznacza stworzenie takiego systemu, w którym klasa robotnicza będzie panować nad swoją pracą i jej produktem. Robotnicy zatem mają wyznaczać cele produkcji społecznej, decydować o podziale i wykorzystaniu dochodu narodowego, określać rozmiar i kierunki inwestycji i td. W sumie robotnicy sprawować będą władzę ekonomiczną, społeczną i polityczną.

W każdym państwie musi istnieć aparat władzy. Jak będzie funkcjonował aparat administracyjno-polityczny w proponowanej przez Kurońa i Modzelewskiego „demokracji robotniczej”? Pierwszym i podstawowym ogniwem maszyny administracyjnej będą Rady Robotnicze. Dyrektor i dyrekcja w każdym przedsiębiorstwie zostaną podporządkowani Radom Robotniczym. Samorząd robotniczy ograniczony do szczebla fabryki czy zakładu przemysłowego stałby się nieuchronnie fikcją i dlatego — w opinii autorów „Listu Otwartego” — konieczne jest aby klasa robotnicza poza radami w zakładach przemysłowych zorganizowała się w przedstawicielstwa załóg fabrycznych, tj. w system Rad Delegatów Robotniczych z Centralną Radą Delegatów Robotniczych na czele.

Przedstawiony schemat stanowi kościec modelu „Demokracji Robotniczej”. Jak w takiej sytuacji uniknąć monopartii i dyktatury robotników, która z reguły wyrodnieje w dyktaturę nad robotnikami? Kuroń i Modzelewski odpowiadają: klasa robotnicza musi się zorganizować na zasadzie wielopartyjności. Co oznacza wielopartyjność robotnicza w praktyce? Prawo każdej grupy politycznej posiadającej oparcie w środowisku robotniczym do głoszenia swego programu. Dobrze — lecz co mają robić grupy polityczne, które nie mają oparcia w środowisku robotniczym? Ugrupowania prawicowo-narodowe, których osobiście nie jestem sympatykiem — w demokracji robotniczej znalazłyby się prawdopodobnie poza nawiasem życia społecznego. Na powyższy zarzut Kuroń i Modzelewski odpowiadają: nie mówimy o państwie ponad klasowym lecz o klasowej demokracji robotniczej.

Autorzy „Listu Otwartego” wyzwolili się z dogmatyki lecz nie z utopijności pewnych koncepcji marksistowskich. Rady Robotnicze w fabrykach są niewątpliwie znakomitym pomysłem. Sytuacja ulega jednak radykalnej zmianie gdy robotnika odrywa się od jego warsztatu pracy i przekształca się go w członka Centralnej Rady Delegatów stanowiącej organ najwyższej władzy w państwie. W takim układzie robotnik przestaje być robotnikiem i staje się pół-inteligentem. Kuroń i Modzelewski sądzą, że organizując specjalne kursy z zakresu ekonomii i nauk politycznych można robotników przygotować do roli zarządców gospodarki w skali państwowej. To jest naiwna i bardzo niebezpieczna utopia. Historyczny schemat rewolucji rosyjskiej stanowi w tej sprawie klasyczny przykład. Robotnicy zdobywają władzę, ponieważ jednak do sprawowania władzy nie są fachowo przygotowani w niezmiernie krótkim czasie wydają sami siebie w ręce biurokratów. Biurokraci, którzy rządzą rzekomo w imieniu robotników przekształcają się z kolei w nową klasę wyzyskiwaczy. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w projektowanej „demokracji robotniczej” sprawy potoczyłyby się identycznie. Wokół

robotników zasiadających w Centralnej Radzie Delegatów narodziłoby bardzo szybko nowy aparat biurokratyczny, który górując nad delegatami przygotowaniem fachowym — uzależniłby ich od siebie.

Jeżeli przyjmiemy za Kuroń i Modzelewskim, że likwidacja wyzysku musi oznaczać pełnię władzy robotniczej tak w sferze gospodarczej jak społecznej i politycznej — to należy stwierdzić, że w ogóle nie ma możliwości zniesienia wyzysku robotników. Robotnicy nigdzie bowiem na świecie nie rządzą i nigdy rządzić nie będą. Wszędzie rządzą fachowcy i specjaliści, którzy tworzą aparat administracyjny. W ustrojach demokratycznych ów aparat w pewnej mierze odpowiedzialny jest przed parlamentem — w ustrojach komunistycznych aparat władzy nie jest odpowiedzialny przed nikim.

Historyczna ironia rewolucji komunistycznych polega na tym że przywódcy przewrotu przy pełnym poparciu klasy robotniczej likwidują instytucje demokratyczne, które choć zazwyczaj dalekie od doskonałości — bardziej potrzebne są klasie robotniczej niż jakiegokolwiek innej warstwie społecznej. W chwili gdy przywódcy siedzą pewnie w siodle i klasę robotniczą trzymają już mocno w ryzach — okazuje się, że związki zawodowe są fikcją a strajk jest zdradą stanu. Robotnicy stają się bezbronni jak w żadnym innym ustroju a wytworzona sytuacja jest po prostu zaproszeniem do wyzysku.

Gdzie leży błąd? Nim odpowiemy na to pytanie spójrzmy na sytuację w Anglii. Związki zawodowe stały się w tym kraju częściowo instrumentami rządzenia. Premier Wilson jest brytyjskim socjalistą, lecz stojąc na czele rządu reprezentuje nie interesy klasy robotniczej tylko interesy Wielkiej Brytanii. I w tym charakterze domaga się od robotników i ich związków zawodowych by przyjęli bez sprzeciwu jego politykę czasowego zamrożenia płac robotniczych. Ceną za współudział choćby pośredni w zarządzaniu gospodarką narodową musi być zaakceptowanie przez związki zawodowe ogólnonarodowego a nie klasowego punktu widzenia.

W „demokracji robotniczej” zakładając, że nie doszłoby do dyktatury biurokracji — Centralna Rada Delegatów Robotniczych nie mogłaby reprezentować interesów klasy robotniczej, musiałaby bowiem reprezentować interesy całego społeczeństwa i państwa. Kuroń i Modzelewski zauważyliby w tym miejscu, że nie planują ustroju ponad klasowego lecz mówią wyłącznie o klasowej demokracji robotniczej. Państwo klasowe nie może być państwem demokratycznym gdyż identyfikację interesów ogólnonarodowych z interesami klasy panującej zapewnić można tylko policją jak w PRL.

Łatwo sobie wyobrazić sytuację gospodarczą w modelu ustrojowym proponowanym przez Kuroń i Modzelewskiego, w której interes państwowy nakazywałby zamrożenie płac robotniczych — co zawsze i wszędzie jest sprzeczne z ściśle klasowo pojmowanym interesem robotników.

Do czego zmierzają te rozważania? Chciałem wykazać, że robotnik, który porzuca fabrykę i zasiada za biurkiem ministerialnym — przestaje być wyłącznie reprezentantem interesów klasy robotniczej i staje się funkcjonariuszem państwowym. Państwo demokratyczne jest formułą kompromisową interesów wszystkich warstw społecznych. Podporządkowanie państwa jednej klasie społecznej — czyli urzeczywistnienie modelu klasowej „demokracji robotniczej” — byłoby do osiągnięcia tylko na drodze przymusu i całkowitego zrezygnowania z demokracji.

I jeszcze jeden punkt. W okresie „wiosny w październiku” — odwiedził mnie pewien znany dziennikarz warszawski, który w rozmowie dwukrotnie

podkreślił, że pochodzi z klasy robotniczej. W jego ustach brzmiało to równie snobistycznie jak uwaga praktykanta przedwojennego MSZ-u, że jest spokrewniony z Zamoyskimi.

Moim ostatnim obozem wojskowym był Calveley, gdzie po przybyciu z Włoch czekaliśmy na demobilizację. Celem wypróbowania mojej w owym czasie wielce wątpliwej angielszczyzny — zbliżyłem się z kilku robotnikami, którzy pracowali w Calveley przy rozbiórce baraków i hangarów. Któregoś dnia w rozmowie zauważyłem uprzejmie, że klasa robotnicza w Anglii wywalczyła sobie wyjątkową pozycję. Jeden z robotników spojrział na mnie i powiedział: „kto na Boga chce być w klasie robotniczej?”

Robotnicy wykwalifikowani w Anglii, którzy stanowią większość — skalą zarobków i stylem życia przynależą do *lower middle-class* a nie do klasy robotniczej. Ci zaś, którzy jeszcze nie są w *lower middle-class* pragną się niej dostać. W demokracjach sterlingowych i dolarowych — o awansie społecznym decyduje skala zarobków (*income bracket*). W rezultacie, robotnik ceni wyżej możliwości zwiększenia swych dochodów niż solidarność z klasą robotniczą, którą stara się porzucić.

Marksistowska mistyka proletariatu zakłada, że robotnicy są „solą ziemi” i w perspektywie światowej rewolucji stanowią nowe wydanie „narodu wybranego”. Można zrozumieć genezę tej koncepcji zapoznając się z sytuacją społeczno-gospodarczą z pierwszej połowy XIX wieku. Lecz dziś w zachodnich krajach wysoko uprzemysłowionych klasyczna „klasa robotnicza” zanika a w jej miejsce powstaje inteligencja i semi-inteligencja techniczna, która socjalnie i finansowo przynależy do *lower middle-class*.

W europejskim bloku komunistycznym nowa klasa wyzyskiwaczy przywróciła sytuację sprzed stu laty. Polska klasa robotnicza nim zdobędzie możliwości przekształcenia się w inteligencję i semi-inteligencję techniczną, musi wprawdzie odzyskać podstawowe prawa, które jej odebrano. Z chwilą jednak gdy robotnicy w Polsce zdobędą uprawnienia przysługujące robotnikom na Zachodzie — nie zadowolą się marksistowskim statusem „soli ziemi” tylko domagać się będą dobrobytu materialnego i awansu społecznego.

Kuroń i Modzelewski piszą, że klasowym celem produkcji z punktu widzenia robotnika jest konsumpcja. Ponieważ w Polsce konsumpcja klasy robotniczej nigdy nie oznaczała dobrobytu w rozumieniu zachodnim — autorzy „Listu Otwartego” nie zdają sobie sprawy z faktu, że dobrobyt niesie z sobą nieuchronnie uburzuazynienie klasy robotniczej.

Lecz to są wszystko uwagi na marginesie i materiał do dyskusji. Wartość książki Kuroń i Modzelewskiego sprowadza się do dwóch punktów. Po pierwsze autorzy dają wnikliwą i obiektywną ocenę sytuacji w PRL i po drugie wysuwają śmiało hasło rewolucji. Panowanie „nowej klasy” musi być obalone albo na drodze pokojowej albo w drodze przewrotu. Natomiast o przyszłym modelu ustrojowym decydować nie będą ani Kuroń i Modzelewski ani my — tylko cały naród, gdy odzyska prawo stanowienia o swoim losie.

LWY, STRUSIE I SNOBIZM

W sienkiewiczowskiej Trylogii, której jestem wiernym czytelnikiem, rozum i inteligencję reprezentuje Zagłoba — w gruncie rzeczy tehórz i pija-

nica. Zagłoba jest człowiekiem niepewnego pochodzenia i nie jest wyłączone, że ciężą na nim poważne kondemnatki.

Wzorem rycerza chrześcijańskiego jest Jan Skrzetuski, który miał „duszę rzymską” lecz inteligencję tuzinkową i konwencjonalną. Wołodyjowski, drugi z kolei wzorzec rycerza chrześcijańskiego — w najważniejszych momentach życiowych rusza wąsikami a jego „dowcip” jest stanowczo poniżej przeciętnej normy.

Intelekt był potrzebny tylko tym, którzy z takich czy innych przyczyn nie mogli przybliżyć się do ideału rycerza chrześcijańskiego. Gdy Zagłoba na koniu Rocha Kowalskiego, w jego hełmie i opończy zniknął z wozu w oczywistym zamiarze uratowania siebie i swoich towarzyszy — stary Stankiewicz zapytał Wołodyjowskiego czy Zagłoba w potrzebie „i szablą potrafi się zastawić”. Fortel Zagłoby, który wskazywał na nieprzeciętną inteligencję — wzbudził w rycerzach chrześcijańskich podziw, bo Zagłoba obmyślił ratunek, równocześnie jednak wzbudził również nieufność, ponieważ rycerzowi nie przystoi być zbyt inteligentnym i zbyt sprytnym. Owej nieufności dał wyraz Stankiewicz, który nie był pewien czy Zagłoba braku cnót rycerskich nie wyrównuje sprytem.

Inteligencja, rozum, fachowość — nie harmonizowały z ideałem rycerza chrześcijańskiego, który stanowił stop cnót charakteru. Longinusa Podbiępię cechowała wspaniała budowa fizyczna, niezłomny charakter, świątobliwość i naiwna mózgownica dwunastoletniego chłopca.

Gdy Olbromski i Cedro odwiedzają w Stokłosach Trepkę w jego pokoju — starzec „zaczął pokazywać fuzje i rzemienie, żeby odwrócić uwagę obecnych od książek, tak niemiłych szlacheckiemu oku”. A u Mickiewicza: „Tadeusz się od przodków swoich nie odrodził, dobrze na koniu jeździł, pieczo dzielnie chodził, lecz mało w naukach postąpił...”.

Nieufność i często pogarda dla wiedzy książkowej przerodziła się w warstwę szlacheckiej w kult amatorstwa. Uważano powszechnie, że szlachcic z charakterem i z szablą w ręku sprostą każdej sytuacji. Tę tradycję z całym bagażem poszlacheckim przejął w okresie dwudziestolecia obóz legionowy. Major czy pułkownik, który wykazał dzielność czy charakter na polu bitwy — był oczywistym kandydatem na stanowisko dyrektora banku czy ministra komunikacji.

Z biegiem czasu cnoty rycerza chrześcijańskiego nieco zwietrzały lecz rytuał przetrwał. Ziemianin-szlachcic, siedzący na swoim majątku jeszcze za czasów drugiej Rzeczypospolitej uważał, że fach, zawód — są koniecznością życiową dla ludzi późniejszego pochodzenia. Fachowcem musiał być rządcą czy administrator lecz nie pan dziedzic, czy pan hrabia, który mieszkał w pałacu. Inteligencja zawodowa — lekarze, adwokaci, inżynierowie — to był tzw. stan średni. Ziemianstwo jako arystokracja rodowa stanowiło warstwę najwyższą.

Każdy polski ziemianin uważał się za arystokratę. Sienkiewiczowski pan Bilewicz głosił, że „początków jego domu w starożytnym Rzymie szukać należy”. Zagłoba wywodził swój ród „od pewnego króla Masagetów” — a Wacław Zbyszewski nieodżałowanej pamięci Cata-Mackiewicza wywiódł od Mendoga.

Kult niefachowości brał swe źródło w przekonaniu, że charakter i cnota liczą się więcej niż fach i wiedza książkowa. Rycerski kodeks postępowania opierał się w całości na elementach charakterologicznych. Hasło: „Honor

i Ojezyna” odnosi się wyłącznie do postawy moralnej — nie intelektualnej.

Ponieważ daleko łatwiej jest nie mieć określonego fachu niż mieć charakter — ziemianstwo polskie choć nie zawsze stanowiło wcielenie cnót rycerskich — w pogardzie dla fachowości wytrwało do końca.

Szlachcic był „żołnierzem rezerwy” nie z fachu tylko z tytułu urodzenia. Dla niego również zawarowane były służby publiczne i wszystkie tytuły.

W pierwszym okresie porozbiorowym kiedy tytuły baronowskie i hrabiowskie nie były jeszcze do kupienia za gotówkę — szlachta polska stworzyła instytucję polskich tytułów honorowych. Mianowano powszechnie szanowanego obywatela ziemskiego podkomorzym czy stolnikiem i z biegiem czasu tytuł „przyklejał się” do danej osoby.

Owa tradycja w zmienionej formie przetrwała do końca drugiej Rzeczypospolitej. W Anglii tytuły szlacheckie są chronione prawem. Nikt nie może używać tytułu „Lorda” czy „Sir’a” nie mając po temu legalnej podstawy. W Polsce przed wojną chronione prawnie były tylko tytuły naukowe i funkcyjne. Każdy mógł używać tytułu hrabiowskiego najzupełniej bezkarnie. Owa koniunktura była w pełni wykorzystana i w drugiej Rzeczypospolitej rodo się od fałszywych hrabiów. Należy jednak podkreślić, że w gruncie rzeczy nie było żadnej istotnej różnicy pomiędzy fałszywymi a nie fałszywymi hrabiami. Konstytucja odrodzonego Państwa Polskiego zniósła bowiem wszystkie tytuły i przywileje szlacheckie. Żaden obywatel polski z mocy konstytucji nie mógł być hrabią. W Polsce mieliśmy więc legion fałszywych hrabiów i garść byłych autentycznych hrabiów.

Niniejsza notatka jest wynikiem skojarzenia wrażeń z lektury dwóch artykułów. Pierwszy — w prasie krajowej dotyczy „Roku Sienkiewiczowskiego” — drugi w prasie angielskiej poświęcony jest „społecznej patologii Wielkiej Brytanii”.

Czytając pracę prof. J.O. Wisdom pt. „The Social Pathology of Great Britain” — uderzyły mnie analogie pomiędzy angielskim dżentelmanem a polskim szlachcicem i zainteresowałem się podobieństwami kompleksów społecznych, które narosły wokół tych tradycyjnych wzorców.

Z powyższym wiąże się kompleks „lwa i strusia”. Ci sami ludzie, którzy w czasie bitwy o Wielką Brytanię walczyli jak lwy — w okresie Monachium chowali głowy w piasek. Polska tradycja szlachecka i po-szlachecka obarczona jest również kompleksem „lwa i strusia”. Szlachta w polu stawała mężnie, lecz natychmiast po bitwie rozjeżdżała się do domu, wskutek czego żadnego zwycięstwa nie można było politycznie wykorzystać. Ci sami ludzie, którzy na barykadach warszawskiego powstania walczyli jak lwy — w październiku 1956 r. przyjęli postawę strusi. Dziś wiemy, że w październiku 1956 r można było przemyślaną akcją uzyskać daleko więcej niż powstaniem warszawskim.

Formacje społeczne szlacheckie i po-szlacheckie są znakomite w czasie wielkich okazji (bitwa o Anglię, Powstanie Warszawskie) natomiast są niepomierne mniej efektywne w okresach pokoju.

Imperium brytyjskim rządili dżentelmeni przeważnie o wykształceniu klasycznym. Fachowiec-specjalista w opinii dżentelmena posiada mózgownicę ciasną i nastawioną na jeden tok myślowy. W konsekwencji, ekspert-specjalista jest niezdolny do improwizacji a w sytuacji wyjątkowej, kryzysowej — traci głowę. Tu leżą źródła angielskiego kultu amatorstwa.

Prof. Wisdom słusznie podkreśla, że amatorstwa jako postawy nie można

potępiać w czambuł. Wszelka twórczość jest amatorstwem. Einstein był znakomitym fizykiem i matematykiem lecz w dziedzinie atomowej był amatorem ponieważ nie było ekspertów w tym zakresie.

Lecz wróćmy jeszcze na chwilę do polskich ziemian, którzy zniknęli z polskiej — przesadnie obrotowej sceny w roku 1945. Dopóki ziemianie istnieli wszyscy z nich się śmiali — i wszyscy ich naśladowali. Niejaki p. Kamyczek w „Przekroju” redagował stale rubrykę ludowego „savoir vivre” — w pierwszych latach Polski Ludowej.

Odrzuciwszy kościół i religię bardzo trudno jest ustalić obiektywne normy moralne. Lecz po zlikwidowaniu arystokracji jeszcze trudniej jest ustalić obiektywnie jak należy trzymać nóż i widelec. Wszyscy oficerowie austriacy — nawet z najlepszych rodzin, ku przerażeniu ziemian z Królestwa — jedli nożem, tzn. wkładali nóż do ust. Tak jadał Cesarz — pierwszy dżentelman w monarchii austriacko-węgierskiej, który z racji swojego stanowiska i pochodzenia stanowił wzór „dobrego wychowania”.

Kultura towarzyska oparta jest na pewnym rytuale. Ustanawiać rytuał mogą tylko ci, którzy w danej dziedzinie są niezaprzeczoną autorytetem. Z Potockich, Radziwiłłów, Tarnowskich — można było podkpiwać — lecz nikt nigdy nie poddawał w wątpliwość faktu, że byli to ludzie doskonale wychowani. Uznawał to nawet Bierut, który Radziwiłła zamianował szefem protokołu dyplomatycznego.

Snobizm, którego dynamikę socjalną trudno przecenić, jest funkcją naśladowczą. Naśladuje się zawsze „klasy wyższe”. W Polsce Ludowej mamy klasę rządzącą lecz nikt nie uważa jej za klasę wyższą. Można zlikwidować klasy wyższe — daleko trudniej jednak jest wyplenić snobizm. W nawiasach należy dodać, że snobizm w wielu wypadkach spełnia pozytywną rolę.

Gdy w własnym kraju nie ma na kogo się snobować — szukamy wzorów zagranicą. Tak dzieje się w Polsce, w Związku Sowieckim a nawet w Chinach, gdzie młodzi „czerwogwardziści” walczą z wąskimi spodniami, długimi włosami, spódniczkami powyżej kolan i z innymi przejawami mody zgniętego Zachodu. Zachód może być zgniły, dekadentki, burżuazyjny — niemniej w odczuciu setek milionów mieszkańców świata komunistycznego stanowi „klasę wyższą” którą naśladować zaspokoić można przemożny instynkt snobizmu.

„BADANIA KLINICZNE EMIGRACJI”

W piśmie „Ameryka-Echo” ukazał się niedawno obszerny i interesujący artykuł Tadeusza Boguszewskiego pt. „Badania Kliniczne Emigracji” — z podtytułem: „O roli polskich naukowców z zakresu nauk politycznych”.

W ustępie końcowym artykułu czytamy co następuje:

„Mieroszewski z „Kultury” paryskiej nie jest naukowcem w dziedzinie politycznej. Przed wojną, prawdę powiedziawszy, był bardzo daleki od formułowania poglądów politycznych czy nawet publicznego dyskusowania. W 50 procentach, co najmniej nie zgadzam się z jego tezami i poglądami. Muszę jednak uczciwie przyznać, że on, właśnie on przyczynił się waleń do rozwoju polskiej myśli politycznej na emigracji, że on wypracował szereg alternatyw (powtarzam, że w

większości wypadków nie zgadzam się z nimi), że zmusił do myślenia i dociekań politycznych wielu emigrantów, wierzę, że wielu rodaków w kraju, nawet patentowanych komunistów”.

Powyszą opinię o mojej pracy publicystycznej — jak Czytelnicy widzą — daleką od „laurki” — przytaczam urzeczony jednym czarującym zdaniem: „Przed wojną (Mieroszewski), prawdę powiedziawszy, był bardzo daleki od formułowania poglądów politycznych, czy nawet publicznego dyskusowania”.

Na miłość Boską — od września 1939 r. minęło 27 lat! Przez ćwierć stulecia można potroić swoje wykształcenie, można zdobyć ogromne odczytanie można ukończyć trzy fakultety i uzyskać nagrodę Nobla.

Jak można ocenić kogoś w roku 1966 na podstawie jego osiągnięć z roku 1939? Przed wojną byłem oczywiście początkującym i nieznanym dziennikarzem. Lecz w publicystyce politycznej, która wymaga wielu lat lektury trudno jest czegoś dokonać przed trzydziestym rokiem życia.

Na emigracji liczą się jednak przede wszystkim osiągnięcia sprzed trzydziestu laty. Status emigranta politycznego wyznacza nie pozycja zdobyta tylko tytuły przywiezione z Polski. Pan Ygrek — choć przez ubiegłe 27 lat absolutnie niczego nie dokonał — jest wojewodą, bo był nim w Polsce, przed wojną. Pan Ypsyloński nie nauczył się wprawdzie niczego, lecz przez ćwierć wieku na emigracji zapomniał w połowie, to co kiedyś wiedział. Niemniej pan Ypsyloński jest senatorem — bo piastował ten urząd w Polsce i sadzają go na wszystkich akademiach rocznicowych w pierwszym rzędzie krzesół.

„Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu” mówił Assesor w „Panu Tadeuszu”. Moja publicystyka miałaby inny walor gdyby cytując „Kulturę” — można było napisać: „Ambasador Mieroszewski uważa...”, albo „Minister Mieroszewski sądzi...”, albo „Senator Londyńczyk jest zdania...”.

Trzeba było mi urodzić się 15-20 lat wcześniej. Byłbym sobie dziś panem senatorem albo panem ministrem — ku pożytkowi własnemu i „Kultury”. Miałbym już zapewne lekką sklerozę mózgu, lecz to na szlachcica emigranta ostatecznej hańby nie sprawdza.

LONDYŃCZYK

Sąsiedzi

Polityka narodowościowa ZSSR

Niedawno ukazała się w Bibliotece „Kultury”, w ramach serii „Archiwum Rewolucji”, moja praca pod tytułem „Polityka narodowościowa ZSSR w dobie Chruszczowa”. Omówiłem w niej stosunki pomiędzy poszczególnymi narodami ZSSR w latach 1953-1963 oraz oficjalną politykę narodowościową Związku, w okresie 10 lat po śmierci Stalina. Poniższy artykuł daje natomiast zwięzły przegląd wydarzeń od połowy 1964 r. aż do XXIII Zjazdu Partii (kwiecień 1966).

Na wstępie krótka zasadnicza uwaga do tego tematu. W polityce narodowościowej Związku Sowieckiego sowiecki patriotyzm i z nim związana polityka Partii wchodziły często w konflikt z lokalnymi patriotyzmami narodowymi. Doświadczenie wykazało, że pojęcie sowieckiego patriotyzmu zmieniało się wielokrotnie. W okresie Żdanowszczyzny próbowano go na przykład połączyć ściśle z rosyjskim patriotyzmem aż w pewnym momencie stopiły się one tak bardzo, że zatracono specyficzne wspólnosowieckie elementy. Po śmierci Stalina rozpoczął się proces w kierunku odwrotnym. Element rosyjsko-szowinistyczny został osłabiony a na jego miejsce wynurzyły się różne mgliste sformułowania o miłości do ogólnosowieckiego państwa wielonarodowego, czy ogólnikowe przypomnienia międzynarodowych ideałów komunistycznych. Sowiecki patriotyzm stawał się jakby wyrazem ogólnopartyjnego stanu, którą przybrano w typowe formułki komunistyczne, nie mówiąc przeważnie nic konkretnego. Jednocześnie w konkretnym życiu zaczęły dominować lokalne patriotyzmy poszczególnych narodów. Znaczenia ich nie wolno nie doceniać w analizowaniu rzeczywistości sowieckiej. Kilku moich przyjaciół, wśród nich paru socjologów, podróżowało niedawno w celach naukowych po ZSSR — doszli oni do tego samego co ja przekonania, że oba te patriotyzmy nie tylko utrzymały się, ale w stosunku do pierwszych lat Rewolucji silnie się rozwinęły. Przy czym sowiecki patriotyzm ma formalnie oficjalny charakter, na-

tomiast narodowe patriotyzmy lokalne panują w życiu codziennym. Tę uwagę o charakterze ogólnym dlatego wysunąłem na początek niniejszego artykułu, gdyż nie poruszyłem w mojej książce problemu konfliktów i powiązań między patriotyzmem ogólnosowieckim, a patriotyzmami narodowymi. Zająłem się tam bowiem przede wszystkim polityką narodowościową w ZSSR na odcinku gospodarczym i kulturalnym, między 1953 a 1963 r., koncentrując się na tym, co odnosiło się do „narodowego patriotyzmu”. Jednak i tam znajdzie czytelnik dostateczną ilość faktów, aby mógł sam wyciągnąć wnioski. Oczywiście, że nadal podtrzymuję tezę iż przemiany w sowieckiej polityce narodowościowej znajdują się w ścisłym związku nie tylko z polityką biurokracji partyjnej, ale także z duchowymi przemianami elity rosyjskiej.

Szowinizm i zwięźlenie pojęcia sowieckiego patriotyzmu aż do utożsamienia go z nacjonalizmem rosyjskim są konsekwencją wyniszczenia w dobie Stalina najbardziej wartościowych tradycji rosyjskiego narodu, przy jednoczesnym rozbudzeniu prymitywnych instynktów nacjonalizmu i antysemityzmu. Sprzyjała temu ścisła współpraca biurokracji partyjnej z szowinistami, jak również izolacja ZSSR w świecie. Każdy, choćby najmniejszy, krok w kierunku unowocześnienia ustroju sowieckiego, każde rozszerzenie procesów komunikacyjnych między narodem rosyjskim i innymi narodami ZSSR oraz między ZSSR i zagranicą prowadzi do osłabienia szowinizmu. Można by to potwierdzić dziesiątkami przykładów z najnowszej historii ZSSR. Jest tragedią nie tylko nie rosyjskich narodów ZSSR, ale i dla samych Rosjan, że w oczach komunistycznej biurokracji partyjnej, jeszcze ciągle spętanej dogmatami i przesądami szowinistycznymi, renegaci narodowi w poszczególnych republikach związkowych uchodzą za najwyższy ideał i cel sowieckiej polityki narodowościowej. Ostatnie miesiące rządów Chruszczowa stały pod znakiem tego schizofrenicznego rozwoju, charakteryzującego zresztą cały ten okres. Chruszczow z jednej strony próbował modernizować ustrój sowiecki i popierać postęp, z drugiej zaś był typowym rzecznikiem interesów panującej klasy biurokracji partyjnej. Nie tylko więc nie usiłował podważyć władzy biurokracji, lecz był przekonany, że totalne jej wkroczenie do wszystkich dziedzin życia (Reforma Partii z listopada 1962 r.) urzeczywistni rozszczenia Partii do całkowitego opanowania społeczeństwa i manipulowania nim. W polityce narodowościowej sojusz Partii z szowinistami obowiązywał do końca urzędowania Chruszczowa. Ostatnia jego podróż (w sierpniu 1964 r.) do Azji Środkowej miała prawie że symboliczny charakter. Celem jej było odznaczenie Kirgiskiej Republiki Związkowej orderem Lenina. W Ałma Ata, stolicy Republiki, wygłosił patetyczne przemówienie, w którym usiłował wykazać, że aneksja Kirgizji przez carską Rosję (Chruszczow nazywał to „dobrowolnym zjednoczeniem”) była „historyczną decyzją o postępowym charakterze”, a więc raz jeszcze wykazał, że w swej polityce narodowościowej kieruje się nie wymogami sprawiedliwości, lecz

aktualnymi interesami ZSSR. Dlatego więc, gdy konflikty między Moskwą a Pekinem uległy zaostrzeniu, Chruszczow urządził tę demonstrację rosyjsko-sowieckiego imperializmu właśnie w Ałma Ata, zaledwie o kilka kilometrów oddalonej od granicy chińskiej, stawiając Kirgiską Republikę za wzór dla całej Azji.

Jeszcze jedno wydarzenie z ostatnich dni doby Chruszczowa zasługuje na przypomnienie. Chruszczow utracił władzę 14 października 1964 r. W dwa miesiące później „Biuletyn Najwyższego Sowietu ZSSR” opublikował uchwałę, datowaną 29 sierpnia 1964 r., o rehabilitacji Niemców Nadwołżańskich. Trzeba pamiętać, że Bałkarzy, Czeceńcy, Ingusi, Kałmuci i Karaczajowie zostali rehabilitowani już w 1957 r. Powstaje pytanie dlaczego Chruszczow czekał z rehabilitacją Niemców Nadwołżańskich aż do sierpnia 1964 r. i dlaczego jego następcy podali tę uchwałę do wiadomości dopiero w dwa miesiące później? Przyczyn tego nie da się prawdopodobnie nigdy całkowicie wyjaśnić. Możemy jednak przyjąć, że dla Chruszczowa i jego następców rehabilitacja była jedynie politycznym gestem wobec Niemiec Zachodnich w okresie przygotowań do rozmów z Bonn, gdzie zięć Chruszczowa, Adżubej, już przedtem sondował teren. Dodajmy, że Autonomiczna Republika Niemców Nadwołżańskich nie powstała na nowo, a Niemcom Nadwołżańskim nie pozwolono wrócić do miejsc rodzinnych, lecz musieli pozostać nadal na wygnaniu. Zrównano ich jedynie z resztą obywateli sowieckich, a władzom lokalnym polecono popierać ich życie kulturalne.

Od upadku Chruszczowa do XXIII Zjazdu Partii.

Następcy Chruszczowa nauczyli się wiele z jego eksperymentów. Breżniew i Kosygin wyrzekli się chruszczowowskiego subiektywizmu unikając jego krańcowości, liczą się z rzeczywistością i — co najważniejsze — próbują „naukowo podmurować” swoją politykę, a nawet udało się im przenieść ten nowy styl na całe społeczeństwo. Jeżeli chodzi o politykę narodowościową, to już pierwsze dni po upadku Chruszczowa wykazały że szowinistyczne wybryki nie dadzą się pogodzić z nowym „dobrym tonem”. W listopadzie 1964 r. trzy środkowoazjatyckie sowieckie republiki — Uzbecka, Tadżycka i Turkmeńska, a w grudniu 1964 Kirgiska, obchodziły 40-lecie swego istnienia. Mikojan, Breżniew i Kosygin przybyli do stolic tych republik — Taszkientu, Duszanby, Aszchabadu, Ałma Aty. W wygłoszonych tam mowach żaden z nich nie powtarzał już tradycyjnych frazesów o „postępowej roli carskiej Rosji na terenach pogranicznych”, czy o „dobrowolnym zjednoczeniu z wielkim rosyjskim bratem”, przeciwnie, wszyscy trzej przypomnieli o narodowym i gospodarczym wyzysku Azji Środkowej przez carat.

Spróbujmy teraz przedstawić w skrócie przemiany sowieckiej polityki narodowościowej w owych latach. Przede wszystkim dyskusje teoretyczne na ten temat rozszerzyły się i pogłębiły. Chruszczow

czow w swoich mowach stale wspominał o konieczności większego zbliżenia między narodami sowieckimi, zapowiadał, że cel ten zostanie w pełni osiągnięty z chwilą powstania komunistycznego społeczeństwa, czyli w 1980 roku. Pośpiech ten sprzyjał różnym szowinistycznym wybrykom, w szczególności jeżeli chodzi o zagadnienie granic między republikami związkowymi. W pewnym momencie potraktowano je po prostu jako przestarzałe. Zamierzano to nawet umieścić w nowej konstytucji ZSSR co wywołało protesty, zresztą dopiero po upadku Chruszczowa. W kilku publikacjach zwrócono wtedy uwagę, że kampania przeciw utrzymaniu granic polega na nieporozumieniu. Armeński etnolog Artawasad Jegiasarian wykazał że chociaż granice np. między Gruzją a Armenią spełniają dzisiaj inną funkcję niż w czasie niepodległości obydwu państw, to jednak ich pozytywna rola nie została bynajmniej wyczerpana. Terytorium każdej republiki związkowej jest jednocześnie terytorium Związku Sowieckiego, jest zarówno narodowe jak i ogólnosowieckie i „takim pozostanie w przyszłości”. Jegiasarian powołuje się tu na polemikę Lenina przeciw polskim socjal-demokratom głoszącym hasło zniesienia granic po zwycięstwie socjalizmu. Lenin nazwał ten pogląd „karykaturą marksizmu”, a to dlatego, że „granice są wyrazem terytorialnej całości narodu”. Jak długo istnieją różnice narodowe — a będą one istniały nawet po światowym zwycięstwie komunizmu — pisał Lenin — „tak długo istniejące granice, i to także granice między republikami Związku Sowieckiego, będą spełniać pozytywną rolę”. Nie koliduje to z faktem, że terytorium poszczególnych republik jest jednocześnie częścią ZSSR. Jegiasarian wykazał z kolei bezpodstawność innej jeszcze *idée fixe* Chruszczowa, a mianowicie jego przekonania, że „na etapie budowy komunizmu umiędzynarodowienie republik wzrasta”, ponieważ intensyfikuje się wtedy wymiana kadr i procesy migracyjne. Jegiasarian udowadnia cyframi, że tzw. „umiędzynarodowienie republik” jest procesem stałym i odbywało się już za czasów carskich na wszystkich obecnych terenach ZSSR, a wymieszanie narodów nie ma nic wspólnego z wynaradawianiem republik związkowych.

Koła antyszowinistyczne w ZSSR powitały poszerzenie dyskusji na tematy narodowościowe oraz zapowiedź rzeczowego traktowania przez następców Chruszczowa wszystkich problemów politycznych jako szansę odmitologizowania sowieckiej polityki narodowościowej i uwolnienia jej od różnych dogmatycznych przesądów i utopijnych dążeń, jak np. wiary w stąpienie się narodów.

W ostatnich miesiącach podjęto w ZSSR próbę zbliżenia pojęcia „naród” (po rosyjsku „nacja”) do nowoczesnego stanu badań socjologicznych, i to na podstawie doświadczeń zebranych nie tylko w Związku Sowieckim, ale także i w krajach gospodarczo zacofanych Znany ekspert w dziedzinie polityki narodowościowej Maszud Sadikowicz Dżunusow ogłosił w czasopiśmie „Woprosy istorii” artykuł o nowych kierunkach w sowieckiej teorii polityki narodowościowej. Artykuł ten wywołał w ZSSR ożywie-

ną dyskusję, niezakończoną po dziś dzień, a na Zachodzie zaopatrzonego go w błędne komentarze, potwierdzające raz jeszcze opinię, że wielu tzw. „sowieologów” nie wiele się różni od „astrologów Kremla”. Oto historia tego artykułu. Po XXII Zjeździe Partii (1961 r.) szwiniści sowieccy przeszli do ofensywy, a niektórzy z nich (i nie tylko Rosjanie) próbowali nawet płynąć na fali antystalinizmu. W licznych artykułach usiłowali oni udowodnić (w mojej książce przytoczyłem znamienne przykłady), że stalinowska definicja pojęcia „nacja” jest przestarzała i fałszywa. (Nie ulega wątpliwości że definicja względnie doktryna Stalina o „narodzie” jest mało oryginalna i ma charakter dogmatyczny, opiera się jednak na przesłankach narodowych). Szwiniści postawili zarzut, że Stalin przecenił znaczenie „charakteru narodowego”. Są oni zdania, że jednolity rozwój gospodarczy i kulturalny przeobraża i ujednolica „charakter narodowy”, którego nie można więc uważać za wyznacznik odrębności narodowej. Szwiniści zarzucali dalej Stalinowi, że nie docenił znaczenia „jedności gospodarczej”, a tymczasem właśnie z tej strony wychodzą najważniejsze impulsy do „zbliżenia narodów”. Dżunusow natomiast, polemizując z szwiniistami, akceptował w swoich artykułach pewne aspekty stalinowskiej nauki o narodzie, co najzupełniej błędnie uznano w niektórych zachodnich dziennikach za „odrodzenie się stalinizmu”. Jeżeli jednak chodzi o inne aspekty nauki Stalina to Dżunusow krytykę swą posunął znacznie dalej niż szwiniści. Wykazał bowiem, że stalinowska nauka o narodzie stoi w sprzeczności z faktami. Stalin twierdził, że tylko „naród” jest historycznie stałą wielkością, natomiast różne etniczne grupy i plemiona są „formacjami niehistorycznymi”. Tymczasem przeczy temu choćby to, że w ZSSR żadna z licznych grup etnicznych, ani żadne z plemion nie znikło z powierzchni ziemi w okresie sowieckiego panowania, tj. przez prawie pół wieku. Przeciwnie — zachowały one swe właściwości, swój charakter, a nawet rozwinęły swą kulturę. Stalinowskiej tezie o zanikaniu „etnicznych formacji nie historycznych” przeczy również sytuacja w krajach gospodarczo zacofanych, szczególnie w Afryce, gdzie małe wspólnoty etniczne zachowują zadziwiającą stałość historyczną i odporność. Dżunusow przyznaje otwarcie, że na skutek tych oczywistych faktów sowieccy teoretycy polityki narodowościowej muszą szereg swoich tez zrewidować.

Dżunusow podejmuje jeszcze jeden problem do dyskusji. Podczas spisu ludności w 1959 r. znaczna część obywateli sowieckich podała język rosyjski jako ojczysty, określając jednocześnie swą narodowość: „Żyd”, „Polak”, „Ukrainiec” i td. Oznacza to według Dżunusowa, że świadomość narodowa jest silniejsza niż język ojczysty. Pozwala to na postawienie pytania dlaczego osoby uważające język rosyjski za swój język ojczysty, nie podają się w spisie ludności jako Rosjanie. Dżunusow proponuje więc, aby badania nad świadomością narodową powierzyć naukowcom, umożliwiając im wniesienie swego wkładu do sowieckiej polityki narodowościowej.

Tendencję tę należy ocenić jako pozytywną, bo oparcie teorii polityki narodowościowej na badaniach naukowych uwolni ją od doktrynerstwa komunistycznego i różnych szowinistycznych wybryków. Zrozumią, że szwiniści obawiają się takich zmian.

Podobne zmiany pozytywne obserwujemy także wśród historyków, gdzie opór dość dużej grupy uczonych przeciw szowinistycznemu interpretowaniu historii ZSSR i narodów sowieckich przyniósł znaczne sukcesy. Iwan Groźny nie jest już uważany przez komunistów za wzór historyczny i bożyszcze. Prof. S. M. Dubrowskij stwierdził na przykład w jednej ze swych prac, ogłoszonej na początku 1965 roku, że ten „wielki władca” był prawdopodobnie analfabetą, a rzekome jego „dzieła” wychwalane przez stalinowców napisał jakiś nadworny skryba. Historycy sowieccy walczą o prawo rozszerzenia tematyki swych prac badawczych. Sowiecko-ukraiński historyk Sz. F. P. Szewczenko napisał np. w jednej ze swoich prac: „Marksizm-leninizm nie odrzuca możliwości różnorodnego podchodzenia do tych samych wydarzeń, nawet w ramach dialektycznego materializmu. Poszczególne historycy mogą mieć różne poglądy na te same czasy i wyciągać odmienne wnioski z tych samych prac badawczych”. Szewczenko stwierdził dalej: „Zakazami nic się nie osiągnie na polu naukowym”. Duże wrażenie wywołał szybki rozwój genetyki po obaleniu Chruszczowa. Wielu sowieckich historyków zaczęło zazdrościć biologom swobody badań i próbowali uzyskać ją także dla siebie. Rezultat tych wysiłków był daleki od upragnionego celu, wywołał bowiem wzmogoną „czujność” biurokracji partyjnej wobec tej najbardziej „wyideologizowanej” gałęzi nauki. Obecny kierownik wydziału KC dla spraw kultury i szkolnictwa wyższego Trapeznikow — po części stalinowiec, po części zwolennik nowego kursu — już kilkakrotnie starał się ten rozwój jakości skanalizować. Możemy jednak sądzić na podstawie ostatnich lat, że w praktyce utrzyma się linia będąca kompromisem pomiędzy życzeniami Partii a postulatami społeczeństwa. Dodajmy, że osiągnięcia na polu nauk historycznych nie są bez znaczenia dla polityki narodowościowej — i to nie tylko w zakresie naświetlania przeszłości narodów nierosyjskich.

Inne pozytywne zjawisko ostatnich lat to „tak zwane” rehabilitacje. Piszę w cudzysłowie „tak zwane”, ponieważ ani chruszczowscy ani obecni przywódcy Partii nigdy nie byli osobiście zainteresowani w prawdziwym rozprawieniu się ze zbrodniami Stalina. Biografie ofiar Stalina, ukazujące się sporadycznie w różnych czasopismach, nie ujawniają prawdziwego tła zbrodni Stalina, trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że między rehabilitowanymi znajdują się także osoby, które podczas rewolucji Październikowej i później walczyły przeciwko szowinizmowi rosyjskich komunistów. Tak więc, jeszcze za Chruszczowa, został zrehabilitowany sowiecko-ukraiński przywódca komunistyczny Skrypnik; nieco później — muzulmański — Ryskułow. Niespodzianką była rehabilitacja Chodżajewa, podana do wiadomości w kwietniu br.; niespodzianką, ponieważ jeszcze wydana za Chruszczowa „Histo-

ria Kazachskiej Republiki" nazywała go „narodowym komunistą”, co jakby dodatkowo usprawiedliwiało jego likwidację w ostatnim procesie moskiewskim (1938 r.). Przemiany w sowieckiej polityce narodowościowej nie odbywają się w sposób konsekwentny i nowa sytuacja jest pełna sprzeczności. W czasopiśmie historycznych ukazują się jeszcze dziś artykuły o wyraźnych tendencjach szowinistycznych. Oto na przykład w jaki sposób tak poważne czasopismo jak „Istoria SSSR” analizuje ruch ludności ukraińskiej między 1897 a 1959 r. Autorzy tej analizy — dwaj naukowcy — doszli do wniosku, że w tym okresie (1897!) liczba Ukraińców uważających język ukraiński za język ojczysty spadła o 6,1%, a jednocześnie liczba Ukraińców wśród ogółu ludności narodów wschodnio-słowiańskich żyjących na obecnym terytorium ZSSR zmniejszyła się w tym samym czasie z 29,9% do 20,46%. Te (podobnie jak i inne) wyniki analizy przechodzą najbardziej pesymistyczne przypuszczenia o rozmiarach rusyfikacji pod władzą sowiecką. Jak „Istoria SSSR” komentuje ten wynik? Cytuje: „Zebrane dane potwierdzają, że znaczna część narodu ukraińskiego zdecydowała się w latach władzy sowieckiej uznać język rosyjski za swój język ojczysty. Pewna część czuje się nawet przynależna do narodu rosyjskiego”. A ocena?: „Zmiany jakie się odbyły między latami 1897 i 1959 r. przyznają słuszność wytycznym KPZR o zbliżeniu narodów”.

Mógłbym przytoczyć więcej podobnych przykładów, przynoszących wstyd fachowej literaturze sowieckiej, poświęconej problemom narodowościowym, jednak nie mam wątpliwości, że za tym wszystkim kryje się nacisk biurokracji partyjnej, która tylko w atmosferze prymitywizmu i szowinizmu może przeprowadzić te nieuczciwe manipulacje. Przemiany wśród rosyjskiej elity umysłowej mają wielkie znaczenie dla polityki narodowościowej w ZSSR. Zwyrodniały biurokracizm stalinowski szedł ręką w rękę z szowinistami, a z prawdziwymi aspiracjami społeczeństwa rosyjskiego miał nie więcej wspólnego niż carowie czy bojarowie. Nawet w najgorszych latach rządów Stalina przedstawiciele rosyjskiej inteligencji nie chcieli się identyfikować z szowinistami. Obecnie różne źródła oficjalne i prywatne stwierdzają, że młodzież rosyjska nie jest nastawiona szowinistycznie. Można by tu zaryzykować porównanie z NRF. Obydwa społeczeństwa — tak sowieckie jak i zachodnio-niemieckie — są społeczeństwami „post-despotycznymi”. Oba przeobraziły się istotnie w stosunku do okresu dyktatury. Ale nawet w NRF, tj. w państwie demokratycznym, pewne elementy przeszłości (i to nie tylko specyficzna mentalność niemiecka) są nadal żywotne. (Nie mogło zresztą być inaczej — i dlatego stan ten wymaga wzmoczonej czujności). Mimo to młodzież zachodnioniemiecka nie jest szowinistyczna, chociaż część starszego pokolenia wpływa na nią w tym duchu. Podobnie jest w Związku Sowieckim, gdzie uformowani w okresie stalinizmu aparatczyki i część inteligencji próbują wychowywać młodzież w tradycjach szowinizmu. Wysiłki te jednak skończyły się niepowodzeniem i od czasu upadku Chruszczowa

część inteligencji rosyjskiej stara się wyznaczyć wyraźną granicę między oficjalnym sowieckim patriotyzmem i patriotyzmem rosyjskim. Językoznawcy np. zwrócili uwagę, że język rosyjski przeżywa obecnie okres upadku, a rozwój jego w porównaniu do niektórych innych języków sowieckich jest wyraźnie opóźniony. W drugiej połowie 1965 r. padły propozycje odnowienia języka rosyjskiego przez nawrót do języka ludowego. Językoznawcy, jak prof. Winogradow, pisarze jak Jugow i Solouchin, wypowiedzieli się ze zrozumiałych powodów za językiem rosyjskim jako środkiem masowej komunikacji w ZSSR, jako za pewnego rodzaju „lingua franca”, mają jednakże poważne zastrzeżenia przeciw przyjęciu go jako drugiego języka ojczystego w nie-rosyjskich republikach ZSSR. Podobne przejawy obserwujemy i w innych dziedzinach. W RSFSR powstał spontaniczny ruch ochrony zabytków historycznych i budowy muzeów, a towarzysząca mu dyskusja zasługuje na większą uwagę. Liczni pisarze protestują przeciwko temu, że w Moskwie zniknął szereg historycznych nazw ulic, placów i dzielnic, a za to Moskwa posiada obecnie osiem ulic „Gorkiego”, dziesięć „Komsomolskich” i dwanaście „Moskiewskich”. Niejaki Buszin pisze w liście do redakcji: „Takiej monotonii w nazwach ulic jak u nas nie ma w żadnym kraju na świecie. Czegoś podobnego nie spotykało się w dawnej Rosji”. Coraz częściej mówi się, że wprawdzie komuniści dużo zrobili dla rusyfikacji Ukrainy czy Środkowej Azji, ale istotne interesy narodu rosyjskiego były i są przez nich nadal lekceważone. Ograniczymy się tu tylko do stwierdzenia, że RSFSR jest jedną ze stosunkowo najbardziej gospodarczo zaniedbanych republik związkowych. Komunistom nie udało się w sposób widoczny podnieść poziomu gospodarczego terenów rosyjskich poza Uralem. Rosyjska Federacja jest typowym przykładem społeczeństwa „niedokończonego”. Jej terytorium wynosi 17 milionów km. kwadr. z czego przypada na Syberię i Daleki Wschód 11,3 mil. km. kw., tzn. 66,3%, tymczasem na tym ogromnym obszarze zuralskim, obfitującym w niezmiernie bogactwa naturalne, mieszkało w 1964 r. tylko 18,5% ogółu ludności RSFSR. Siedmiolatka (1959-1965) zaplanowała po raz pierwszy znaczny rozwój RSFSR przez wykorzystanie jej bogactw naturalnych. Plany te jednak, o czym wiadomo ze źródeł oficjalnych, spełży na niczym i co roku dziesiątki tysięcy Rosjan nadal migruje do republik narodowych (głównie do Azji Środkowej) tak jak za czasów carskich. Między 1926 i 1959 r. ilość Rosjan żyjących poza granicami RSFSR zwiększyła się sponad 5 do 20,2 milionów czyli o 303,5%. Rozwój ten nie odpowiada narodowym interesom rosyjskim, zwłaszcza że obecnej eksplozji demograficznej w Chińskiej Republice Ludowej i jej politycznemu konfliktowi ze Związkiem Sowieckim wtórują oficjalne roszczenia terytorialne Chin do części słabo zaludnionych ziem RSFSR na wschodzie.

W mojej książce dokładnie omówiłem przedstawianie się ZSSR na politykę integracyjną w Azji Środkowej. Z inicjatywy Chruszczowa utworzono tam kilka urzędów centralnych, mają-

cych kierować całą Azją Środkową — z wyjątkiem Kazachstanu — jako jednolitą całością. Zdecydowały o tym względy gospodarcze a przede wszystkim konieczność rozwinięcia na tym terenie jednolitego sposobu uprawy bawełny. Ale *nolens volens* równało się to rehabilitacji tezy potępionych jeszcze przez Lenina mużmańskich komunistów narodowych, którzy przeciwstawiając się centralistycznym tendencjom Moskwy głosili, że Azja Środkowa jest jednolitym rejonem gospodarczym. Po 1962 r. obudziła się wśród inteligencji tego rejonu nowa narodowa świadomość, a kontakty między republikami — głównie na polu kulturalnym — zostały wzmocnione. Następcy Chruszczowa zlikwidowali stworzone przez niego ponadregionalne urzędy. Było to w pierwszej linii ustępstwo wobec żądań mocno zrusyfikowanej partyjnej i państwowej biurokracji w sowieckiej Azji Środkowej (pozycja administracji jest z reguły o wiele silniejsza na terenach rozczłonkowanych niż zintegrowanych). Poza tym sowieccy przywódcy otwarcie przyznali, że przez likwidację centralnych urzędów w Azji Środkowej, pragnęli dać wyraz rezygnacji z wszelkiej ingerencji administracyjnej w procesy „zbliżenia się poszczególnych republik”. W niektórych wypowiedziach stwierdzono nawet, że celem sowieckiej polityki narodowościowej na tym obszarze jest rozszerzenie praw republik i ich organicznej współpracy, a nie przeprowadzanie administracyjnych eksperymentów. W ten sposób zostało podważone jedno z głównych założeń nowego programu KPZS, zalecające tworzenie tych ponadregionalnych urzędów.

XXIII Zjazd Partii (29 marca-8 kwietnia 1966 r.) był jedną z najpoważniej manipulowanych imprez tego rodzaju w historii KPZS. Niektórzy żądni sensacji obserwatorzy zachodni wypaczyli fakty, twierdząc, że problemy ideologiczne stały tam na pierwszym planie czy że Zjazd uchwalił restalinizację. W rzeczywistości był to pierwszy Zjazd KPZS, na którym ideolodzy partyjni nie doszli do głosu, a wszystko co powiedziano na tematy ideologiczne było dokładnie dozowane i role mówców planowo rozdzielone.

Poza wściekłymi atakami Szołochowa i kilku niższych funkcjonariuszy przeciw niekonformistycznym pisarzom i artystom, XXIII Zjazd był świadomie i planowo odideologizowany. Spowodowało to, że polityka narodowościowa, podobnie jak i inne bardziej ogólne problemy, zostały niemal całkowicie pominięte milczeniem na Zjeździe. Na temat polityki narodowościowej wypowiedziało się zaledwie kilku mówców i to całkiem na marginesie. Tak więc uzbecki szef Partii Raszidow (aparaczyk, nie odznaczający się większą inteligencją) mówił przestarzałym żargonem o „wielkim rosyjskim bracie”, a łotewski funkcjonariusz partyjny A. Je. Pelsze zabrał głos na temat szkół mieszanych, gdzie w równoległych klasach dzieci uczą się obu języków, tj. łotewskiego i rosyjskiego. Jedynie przedstawiciel Mołdawii, I. I. Bodjul, poruszył bardziej szczegółowo problem narodowościowy. Wspomniał on nawet o „stopieniu się narodów” i skarżył się na „zaniedba-

nia” w tej dziedzinie. Warto zastanowić się dlaczego właśnie mołdawski funkcjonariusz poruszył ten delikatny problem. Oto odpowiedź: Nierozwiązanie przez ZSSR problemów narodowościowych powoduje, że raz po raz powstają w poszczególnych republikach sytuacje wybuchowe, tak więc na przykład w 1958 r. najwyższe soviety republik łotewskiej i azerbejdżańskiej powzięły uchwały wypowiadające się przeciw propozycji Chruszczowa w sprawie języka wykładowego w szkołach. Taki nowy punkt zapalny powstał ostatnio w Mołdawskiej SSR. — Mołdawska inteligencja, od czasu uniezależnienia się polityki Rumuńskiej Republiki Ludowej od Moskwy, stała się odważniejsza, coraz silniej przeciwstawia się rusyfikacji i otwarcie dąży do ścisłej współpracy z narodem rumuńskim, z którym Mołdawianie mimo pewnych poróżnień w przeszłości czują się historycznie i kulturalnie związani. Wzbudziło to zaniepokojenie biurokracji partyjnej i dlatego jej mołdawski przedstawiciel postawił na Zjeździe Partii zasadnicze pytania odnośnie polityki narodowościowej.

Rozważania moje prowadzą do oczywistego wniosku: problemy sowieckiej polityki narodowościowej znajdują się obecnie w stadium *ante-quo*. Zjawiskom postępowym towarzyszą wybuchy skrajnej reakcji. Dużo pozytywnych inicjatyw Chruszczowa załamało się na skutek jego chorobliwej skłonności do pośpiechu i krańcowości. Nowi przywódcy zapewniają, że dużo się z tych jego błędów nauczyli. Jednak odnosi się to tylko do zjawisk zewnętrznych i drugorzędnych. Rozwiązanie problemów zasadniczych, a przede wszystkim ustawienie na rozsądnej podstawie stosunków między Rosjanami i innymi narodami związkowymi, przekracza zarówno możliwości jak i chęci obecnego zespołu przywódców sowieckich, uformowanych w okresie stalinizmu.

Borys LEWICKYJ

(Przełożyła z niemieckiego Barbara Dworak)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynie pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kraj

Rozmowy z rodakami

I

Nie zabieram głosu w bieżących sprawach krajowych. Nie potrafiłbym, nie czuję się na siłach. Od zbyt dawna jestem poza Polską, ztraciłem poczucie tej żywej łączności, jaką dać może tylko trwanie w jakiejś społeczności. W coraz większym stopniu Polska jest dla mnie jedynie przeszłością. Książki, gazety, listy, przypadkowe spotkania z przyjezdnymi — wszystko to nie wystarcza dla otrzymania pełniejszego i jako tako adekwatnego obrazu polskiej rzeczywistości.

Z tego zdaję sobie sprawę i nie mam złudzeń. A jednak otrzymuję jakieś wrażenia, jakieś odgłosy z Polski i do mnie dochodzą. I może najważniejsze w tym są te przypadkowe spotkania z ludźmi z Polski, którzy w czasie odwiedzin Ameryki i mnie składają wizyty. I wtedy prowadzimy długie, nieraz wielogodzinne rozmowy. Zdawałoby się — „nocne rodaków rozmowy”. W czasie tych rozmów słyszę słowa i zdania, które mocno zachowują się w mej pamięci i długo są przedmiotem moich rozmyślań. Czasami też wydaje mi się, że te rzucone słowa i zdania więcej mi mówią o różnych stronach życia Polski dzisiejszej niż książki i czasopisma. Jest w nich jakiś element autentyzmu. Jak daleko sięgającego — o tym trudno mi wypowiedzieć wiążące zdanie.

Wrażeń i notatek z tych rozmów, przeprowadzonych w ciągu lat ostatnich, zachowała mi się spora ilość. I sądzę, że zasługują one na jakieś podsumowanie, jakieś zestawienie. Znów muszę mocno podkreślić: nie twierdzę, by to podsumowanie mogło dać jakiś pełniejszy czy adekwatny obraz współczesnego życia polskiego, myślenia i postaw współczesnych Polaków. Sądzę jednak, że jakąś wartość mieć może, choćby jako materiał dyskusyjny.

Ludzie, którzy mnie odwiedzają, reprezentują różne środowiska polskiej inteligencji. Są wśród nich ludzie młodzi, dla których Polska przedwojenna — ta, która dla mnie jest rzeczywistością — jest tylko zasłyszana legendą. Są ludzie w wieku średnim i są ludzie starsi — moi rówieśnicy. Są pracownicy naukowcy, pisarze i dziennikarze. Trafiają się politycy. Najczęściej jednak są to przedstawiciele tej wielorakiej masy, jaka w Polsce jest określana nazwą inteligencji.

Porozumienie się z tymi ludźmi nie zawsze jest dla mnie sprawą łatwą. Nieraz — bardzo trudną, nieraz — niemożliwą. Mam jednak wrażenie, że najłatwiej znajduję wspólny język z ludźmi młodymi, z młodymi pracownikami naukowymi, reprezentującymi różne gałęzie humanistyki. Przyjeżdża ich sporo do Ameryki dla uzupełnienia studiów czy jako profesorowie wyemigranci. Pomijając stosunkowo nieliczne wyjątki, rozmowy moje z nimi idą gładko i nieraz ich konsekwencją bywa dłuższa wymiana listów.

Najtrudniej wypadają rozmowy z ludźmi starszymi, zwłaszcza z mymi rówieśnikami. Tu często po prostu nie rozumiemy się. Albo ja się bardzo zmieniłem, a oni wcale się nie zmienili, albo my się wszyscy bardzo pozmieniali — każdy w innym kierunku! W każdym razie coś się tu nie zgadza. Są to rozmowy, po których długo pozostaje we mnie uczucie przygnębienia i jakiegoś zupełnego wyobcowania z życia polskiego.

Ale pociechą są ci młodzi. Przypuszczam, że i im musi być niełatwo znaleźć wspólny język ze swymi rodzicami, by nie mówić o dziadkach. I ci młodzi dają mi podstawy do ostrożnego optymizmu.

Oczywiście nie potrafię powiedzieć, w jakim stopniu młodzi intelektualści, jacy mnie odwiedzają w New Yorku, reprezentują młode pokolenie Polski Ludowej. Niewątpliwie stanowią oni elitę wiedzy, talentu i inteligencji. Ostatecznie i w Polsce przedwojennej była szczupła grupa ludzi wiedzy, talentu i inteligencji, wybitnie górująca nad resztą. Sądzę jednak, że w tej obecnej elicie są pewne cechy, które w jakiejś mierze mogą być uznane za reprezentatywne dla szerszych zespołów młodej generacji Polaków. Są to takie cechy, jak: brak dogmatyzmu, krytycyzm, sceptycyzm, nawet — cynizm. Są to elementy buntu, bez których nie ma młodości i które w Polsce dzisiejszej są szczególnie potrzebne.

Są to jak dotąd najogólniejsze i wstępne uwagi. Podsumowując wrażenia z rozmów z rodakami, ograniczę się do spotkań z pewnymi, pod pewnymi względami wyróżniającymi się kategoriami mych gości. I zacznę od grupy, z którą w ciągu lat ostatnich miałem stosunkowo dość dużo zetknięć.

Chodzi tu o ludzi pochodzenia żydowskiego. Za Żydów trud-

no jest ich uważać. Pomijając nieliczne wyjątki, nie mieli oni nigdy wiele wspólnego z życiem i sprawami Żydów polskich. Najczęściej nawet wyznaniowo nie byli z nimi związani. Przeszli przez piekło okupacji, uratowali się i Polski nie opuścili. Większość z nich ślady swego żydowskiego pochodzenia ukrywa pod zmienionymi nazwiskami i przez zupełne odrzucenie wszelkich związków z żydostwem. Czy czyni to z powodzeniem, to sprawa zupełnie inna.

II

Była to osoba starsza, z uniwersyteckim wykształceniem. Miała za sobą całą okupację (łącznie z obozem koncentracyjnym) i cały okres powojenny. Do Ameryki przyjechała na krótko w odwiedziny do krewnych. Obecnie jest znów w Polsce.

Pani ta odwiedziła mnie w czasie gdy przypadały żydowskie święta noworoczne. New York jest — jak wiadomo — jednym z największych skupisk żydowskich na świecie. Nic też dziwnego, że uroczyste święta żydowskie wyraźnie zaznaczają się w życiu kolosalnego miasta. Nieczynne są przedsiębiorstwa i instytucje żydowskie. Ale nie tylko żydowskie. Spora ilość sklepów nieżydowskich w te dni zamyka się choćby na kilka godzin. Jest to — jak mówią wywieszane napisy — na znak szacunku (*as a token of respect*) dla żydowskich przyjaciół, klientów i pracowników. Nieczynne są również nowojorskie szkoły publiczne. Wśród uczniów ogromny odsetek to przecież Żydzi. A jeszcze większy jest odsetek Żydów wśród nowojorskiego nauczycielstwa. Nauczanie jest tradycyjnym zawodem żydowskim i to się bardzo rzuca w oczy w metropolii amerykańskiej.

Wszystko to jest przyjmowane w New Yorku jako oczywiste i naturalne. Podobnie wygląda miasto w Dzień Św. Patryka, który jest świętem irlandzkim, i w Dzień Kolumba, który jest świętem włoskim. W nowojorskim tyglu narodów Żydzi, Irlandczycy i Włosi stanowią podstawowe składniki. Każdy z nich ma swoje tradycje i swoje świętości i miasto jako całość świętuje razem z Żydami, Irlandczykami i Włochami.

Ale ten świętujący New York nie spotkał się z uznaniem mego polskiego gościa. Pani ta weszła do naszego mieszkania bardzo wstrząśnięta. Jednym tchem oświadczyła, że jest przerażona rolą, jaką Żydzi odgrywają w Ameryce, że musi to się skończyć fatalnie, że szkoły nieczynne z racji święta żydowskiego to zupełny skandal, i że jest zrozumiałe dlaczego już obecnie panuje w Ameryce straszliwy antysemityzm.

Naszą dalszą rozmowę zacząłem od ostatniego z tych twierdzeń. Otóż muszę powiedzieć, że kategoryczne stwierdzenie istnieje

nia straszliwego antysemityzmu w Ameryce słyszę od bodaj wszystkich mych polskich gości pochodzenia żydowskiego, włączając w to takich, którzy zaledwie od kilku dni przebywają na ziemi amerykańskiej. Dlaczego od razu dostrzegają oni zjawiska, których długoletni mieszkańcy Ameryki dostrzec nie umieją? Rozmowy prowadzone na ten temat szybko dają odpowiedź na to pytanie.

Chodzi o to, że w pewnych amerykańskich miejscach wakacyjnych są hotele i pensjonaty, w których z reguły nie ma miejsca dla gości żydowskich. Jest to niezgodne z prawem, w wielu stanach grozi za to poważna odpowiedzialność karna, ale niemniej jest faktem. Jednakże miejsce, w którym Goldberg spotka się z takim przyjęciem, nie bywa względniejsze dla kogoś, kto nazywa się Kowalski, Gonzalez, Tommassini czy nawet O'Kelly. A już mowy być nie może, by okazało się łaskawszym dla człowieka, którego kolor skóry odbiega od wzoru „białości”. Są to rzeczy bardzo obrzydliwe, rzucające jaskrawe światło na pewne strony życia amerykańskiego. Są one powszechnie potępiane, ale nie mniej praktykowane. Znajdują się one w obrębie niezliczonych „anty”, cechujących skomplikowany system amerykańskich stosunków międzygrupowych. Ale czy można tu mówić o antysemityzmie, ba nawet o straszliwym? Jest to tak samo antykatołycyzm, i antyemigranckość, i antyhiszpanizm, i antywłochizm, i tp. i tp.

Ile razy rzeczy te wyjaśniam mym polskim gościom, tyle razy mam uczucie, że spotykam się z ich strony z głębokim rozczarowaniem i niewiarą. Oczekiwali oni czegoś zupełnie innego. Chcieli usłyszeć, że *także* w Ameryce jest straszliwy antysemityzm. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że działa tu postawa kompensacyjna, zrodzona w warunkach polskich i szukająca potwierdzenia na gruncie amerykańskim. Mam uczucie głębokiego smutku, gdy wypada mi mówić o tych sprawach. Czy jednak mogę utwierdzać mych gości w ich złudzeniach?

To stanowiło początek rozmowy z miłą panią. Był to jednak raczej uboczny temat naszej pogawędki. Główny temat odnosił się do czegoś innego.

Przyjmując fakt „straszliwego antysemityzmu” w Stanach Zjednoczonych, szukała ona sposobu pogodzenia go z faktem „przerażającej roli” odgrywanej przez żydostwo amerykańskie. W pewnym momencie usłyszałem: „Wasz rząd cacka się z Żydami, bo Waszyngtonowi potrzebne są pieniądze, a Żydzi mają pieniądze”. Duch Polski przedwojennej powiał na mnie przy tych słowach. Łagodnie jak umiałem tłumaczyłem memu gościowi, że sprawa nie jest taka prosta. Mówiłem jej, że udział Żydów w świecie wielkich fortun amerykańskich jest znikomy, że Żydzi jako całość bynajmniej nie są bogatsi od reszty Amerykanów. Nie

uwierzyła mi: „Jakto, a wszystkie te banki!” Znow próbowałem wyjaśnić, że bankowość amerykańska jest wybitnie protestancka, że Żydzi w jej rozwoju odegrali bardzo podrzędną rolę, że nawet teraz ilość nieprotestantów na stanowiskach kierowniczych w bankowości amerykańskiej jest mała, i td. Rzeczy te powtarzałem wielokrotnie i w innych analogicznych rozmowach. I prawie zawsze spotykałem się z niedowierzaniem. To być nie może! Moja ostatnia rozmówczyni grzecznie nie odpowiedziała na moje wywody. Było oczywiste, że mi nie uwierzyła. Co mówiłem, było zbyt jaskrawo sprzeczne z obrazem, jaki przywiozła spoza oceanu.

Z toku dalszej rozmowy jedno wynikało wyraźnie: dla mego gościa fakt, że ludzie tacy jak Goldberg, Fortas, Rickover, Javits, Ribicoff i cała masa innych odgrywają kierownicze role w amerykańskim życiu publicznym nie dlatego że są Żydami, ani wbrew temu że są Żydami, był czymś niezrozumiałym, niepokojącym i oburzającym. To że pozycje, jakie ci ludzie zajęli, są zwyczajnie pochodną ich obiektywnych kwalifikacji, nie mieściło się w umyśle mej rozmówczyni. Musiały być po temu jakieś inne racje i to „zażydzenie” Ameryki musi dla Żydów skończyć się katastrofalnie. Mój gość sam był ofiarą takiej katastrofy, jaką Żydzi zapłacili za „zażydzenie” różnych krajów europejskich.

Znow wypada mi podkreślić, że uwagi mej rozmówczyni były zgodne z opiniami, słyszanyimi od innych moich gości. W okresie goldwaterowskim dostawałem z Polski listy pełne zdumienia. Jak to, Goldwater jest pół-Żydem, czy jego zwolennicy o tym nie wiedzą? Przecież to faszyzm, a mordowanie Żydów jest programem każdego faszyzmu! Czyli że Goldwater-faszysta i zarazem pół-Żyd dąży do wymordowania Żydów! Jak mogłem tłumaczyć mym korespondentom, że wszystko to są nonsensy, że pochodzenie Goldwatera jest jego zwolennikom doskonale znane, że nie jest on faszystą i że mordowanie Żydów nie mieści się w obrębie jego programu i nie jest głoszone przez jego wyznawców. Elementarne fakty rzeczywistości amerykańskiej były dla moich rozmówców i korespondentów zupełną zagadką.

III

Józef Mackiewicz w pięknym eseju o książce Pawlikowskiego pisze, że w Polsce antysemityzm i filosemityzm wynikały z tych samych założeń i sprowadzały się do tej samej postawy. Było to przekonanie, że być Żydem oznacza noszenie jakiegoś stygmatu, oznacza posiadanie jakiegoś odrażającego kalectwa, które z Żydów czyni różną od innych kategorię ludzką. Różnica była w tym, że w antysemitytach stygmat budził obrzydzenie i pogardę, w

filosemitach — litość czy współczucie. Ani antysemici ani filosemici nie przyjmowali, że Żydzi nie są z natury rzeczy kalekami, że są po prostu ludźmi takimi samymi, jak wszyscy inni.

Jest dla mnie rzeczą bezsporną, że postawa taka była całkowicie przyjmowana przez moich polskich rozmówców pochodzenia żydowskiego. Bez względu na mimikrę, jaką się posługiwali, na zmienione nazwiska, na pełne utożsamienie się z polskością (większość z nich zdradzała jasno polski szowinizm czy agresywny nacjonalizm, byli nawet wśród nich wyraźni antysemici), bez względu na całkowite odcięcie się od żydostwa, wszyscy oni jako coś oczywistego przyjmowali swoje kalectwo, jakiś specjalny i odrażający stygmat, którego należy się wstydić, ale z którym należy się godzić. To że Żydzi amerykańscy zachowywali się jak gdyby tego stygmatu nie nosili, że nie wykazywali żadnego zawstydzenia, budziło w moich rozmówcach zdumienie i niepokój. Jeszcze bodaj bardziej zdumiewało i niepokoiło ich to, że amerykańscy nie-Żydzi w stosunku do swych żydowskich rodaków zachowywali się tak, jak gdyby tego stygmatu nie było. Czyżby go nie widzieli? To jest niemożliwe. Stygmat taki istnieje i moi goście z własnego doświadczenia o tym wiedzą. Jak sobie to wytłumaczyć? Jakie są przyczyny tej komedii? I czy może ona trwać długo? Rzecz jasna, że musi się dla Żydów amerykańskich skończyć katastrofalnie.

Z analogicznymi postawami przybywały do Ameryki przed laty gromady Żydów europejskich, uciekających przed Hitlerem. W pewnych wypadkach — choćby w formach szczątkowych — zachowywały się one dość długo. Stopniowo jednak w miarę wchodzenia przybyszów w nurt życia ogólnamerykańskiego ulegały zanikowi. W moich gościach z Polski zachowały się one w całej pełni.

Ameryce bynajmniej nie jest obce przekonanie, że jakaś grupa ludzka *ex definitione* nosi na sobie stygmat kalectwa. Tak jest w stosunku do Murzynów. Postawy wielu amerykańskich liberałów, szczególnie południowych, w stosunku do Murzynów bardzo przypominają postawy polskich filosemitów z charakterystyki Józefa Mackiewicza. Mają oni dla Murzynów głębokie współczucie, chcą im pomóc, walczą z segregacją, ale wiedzą, że Murzyn jest kaleką. Cały sens obecnej Czarnej Rewolucji w Ameryce polega na dążeniu Murzyna do odrzucenia wszelkich stygmatów, na stwierdzeniu faktu, że Murzyn jest po prostu człowiekiem. Na szczęście dla Czarnej Ameryki cała historia Stanów Zjednoczonych jest wypełniona wielkimi procesami integracyjnymi, w których zanikają czy są odrzucane wszelkiego rodzaju stygmaty. Wybranie katolika na Prezydenta było zasadniczym momentem w tych procesach.

Oczywiście nie może tu być mowy o analogiach z Polską. Polska dzisiejsza etnicznie jest bardzo jednolita. Z dawnej społeczności żydowskiej zachowały się mizerne szczątki, w dalszym rozwoju zapewne skazane na zupełny zanik. I jakkolwiek jest prawdopodobne, iż w stosunku do tych szczątków postawy filosemickie zyskują na sile, to — przynajmniej sądząc po moich rozmówcach — dużo zachowało się z dawnych postaw i tradycji. Stygmat żydowski może dziś budzić więcej współczucia niż obrzydzenia, ale nie mniej zachowuje się nadal.

Pewna pani w kilka dni po przyjeździe do New Yorku ze zdumieniem opowiedziała mi, że widziała Żydów otwarcie wchodzących do synagogi. „I wie Pan, wcale się nie wstydzieli i byli nawet bardzo porządnie ubrani”. Jeszcze inna z moich rozmówczyń zobaczyła w Brooklynie Żydów słowackich w strojach chasydzkich. Zdumiała ją, że wcale nie czuli się „skrępowani” i że — co dziwniejsze — nikt z przechodniów nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Mogłem tylko przyjąć do wiadomości takie uwagi. Rozmowa na ich temat byłaby beznadziejna.

Prawie wszystkich moich rozmówców pytam o sprawę stosunku do Żydów w Polsce. Pytam o to zarówno ludzi pochodzenia żydowskiego jak i wszystkich innych. Jest to z reguły punktem wyjściowym dla dłuższej rozmowy. Jeżeli chodzi o ludzi pochodzenia żydowskiego, to w paru wypadkach po chwili milczenia słyszałem taką uwagę: „Ja *osobiście* (to słowo jest podkreślane) z tego powodu nigdy przykrości nie miałem”. We wszystkich jednak rozmowach dłuższa wypowiedź na temat stosunku do Żydów w Polsce zaczyna się od następującej formuły: „To jest sprawa bardzo skomplikowana”. Operują nią nawet młodzi naukowcy-humaniści, których w żadnym stopniu o antysemityzm posądzić nie można.

Jak dalece i w jakim sensie jest to sprawa skomplikowana? W ostatecznym wyniku dochodzi się do jednego — do roli Żydów po wojnie w UB. Że instytucja ta była powszechnie zniechęcona, o tym otwarcie mówią i członkowie Partii. I zgodnie z innymi podkreślają, że udział w niej Żydów był bardzo znaczny.

Zadaję dalsze pytania. „Czy wszyscy Żydzi w Polsce byli członkami UB?” — Ależ, nie. „Czy kierownictwo UB składało się wyłącznie z Żydów?” — Oczywiście, że nie. „Czy można ustalić, jak liczny był udział Żydów w UB?” — Nie, to niemożliwe, ale był bardzo liczny. „Jak liczny?” — Po prostu — liczny. Można jednak stwierdzić, że był liczniejszy niżby to wypadało z odsetka ludności żydowskiej w Polsce. Ale i to jest oparte na przypuszczeniu. Solidnego materiału statystycznego tu nie ma.

Wielu moich rozmówców — głównie pochodzenia nieżydowskiego — mówi o racjach obiektywnych, które spowodowały

udział Żydów w Partii i w takich instytucjach jak UB. Zdaniem ich, nie można za to Żydów winić. Nie mniej jednak sam fakt ich udziału stał się warunkiem wystarczającym dla rozwinięcia się wobec nich postaw antagonistycznych.

To mi nie wystarcza. Posuwam się dalej z moimi pytaniami. Czy w kierownictwie UB byli np. protestanci? Moment zdziwienia. Protestanci? Zapewne byli, ale o tym nikt nie myślał. W każdym razie w kierownictwie Partii i UB byli ludzie różnych wyznań (obojętne, że uważali się za ateistów) i różnego pochodzenia. Tych jednak nie zauważano.

Nie sądzę, by liczebność Żydów w UB była czynnikiem decydującym dla wytworzenia się wobec nich postaw antagonistycznych. Istniały one bez względu na UB i przed powstaniem tej instytucji. Ale fakt, że w kierownictwie Partii i UB byli Żydzi (ilu ich było, miało znaczenie podrzędne, wystarczyłoby gdyby był jeden!) posłużył za racjonalizację postaw już uprzednio istniejących. Żydzi w UB byli zauważani, albowiem obecność ich byłaby wszędzie zauważona. Nawet jeszcze dziś — choć tylko w prywatnych rozmowach — mówi się o „zażydzeniu” polskiej literatury i dziennikarstwa. A zarazem nikt nie kwestionuje faktu, że ilość „Żydów” — ściślej ludzi pochodzenia żydowskiego — jest w Polsce dzisiejszej zupełnie znikoma.

Najrzetelniejsze uwagi w tej materii usłyszałem od paru księży, należących do młodszej generacji polskiego duchowieństwa katolickiego. Nie mówili oni, że jest to sprawa bardzo skomplikowana. Stwierdzali, że patrzenie na Żydów jako na ludzi ze stygmatem kalectwa jest w Polsce bardzo rozpowszechnione. Bez obłonek podnosili, że znaczną część odpowiedzialności ponosi za to i postawa wyższego duchowieństwa. Jeden z moich rozmówców podkreślił, że znaczna część obecnego episkopatu polskiego jest pochodzenia chłopskiego i że w stosunku do Żydów zachowała szereg tradycyjnych ocen, właściwych wsi polskiej. Uważali jednak, że w nowym pokoleniu polskim sprawy te nie tylko tracą na ostrości, ale w ogóle zanikają. Tego samego zdania byli i młodzi naukowcy. Rzecz jest nie tylko w tym, że szczątki żydostwa polskiego są w stanie ostatecznego zaniku. „Iluż to młodych Polaków ma sposobność spotkania się z Żydami” — powiedział jeden z moich rozmówców. Żydzi przechodzą tu do legendy. Ważniejsze są jednak pewne obiektywne przemiany, jakie zachodzą w całym życiu polskim. Stopniowo wypierają one dawne oceny i postawy, wnosząc na ich miejsce oceny i postawy nowe. To jednak jest sprawa młodzieży i sprawa przyszłości. Niektórzy z moich nie-żydowskich rozmówców sądzili, że kontakty Polski z Izraelem zaczynają wywierać wpływ na poglądy szerszego ogółu

w Polsce. Żydzi z Izraela są wybitnie niezgodni z tradycyjnym wzorem Żyda-człowieka stygmatu.

Ale wzór ten zdaje się nadal istnieć w Polsce. Możliwe — jak to już zauważyłem — że zaczyna on budzić więcej współczucia niż obrzydzenia. Możliwe że wzmacnia się filosemityzm a słabnie antysemityzm. Dopóki jednak w szczytkach żydostwa polskiego zachowuje się przekonanie o noszeniu stygmatu i jest to podzielane przez otoczenie, dopóty cień przeszłości będzie padał na Polskę dzisiejszą.

IV

Sprawa tego żydowskiego stygmatu sama przez się nie ma w całokształcie współczesnego życia polskiego większego znaczenia i nie zasługiwałaby na uwagę. Nabierze ona jednak innego sensu, jeżeli spróbuje się na nią spojrzeć jako na element szerszego wzoru, stanowiącego o klimacie duchowym kraju. I w tym kierunku szły moje dalsze rozmowy. Chodziło mi w nich o stwierdzenie, czy i w jakiej mierze postawy i sądy wartościujące, związane ze stosunkiem do Żydów, są fragmentami ogólniejszego systemu wartości, jakie miejsce w nim zajmują, jak się wiążą z innymi jego składnikami. W Polsce przedwojennej postawy wobec mniejszości narodowych, w szczególności wobec Żydów, były pochodną całego systemu ocen, zakresowo wybitnie przekraczających negatywny lub pozytywny stosunek do tej czy innej grupy narodowościowej.

Rozmowy na ten temat były wyjątkowo trudne, raczej chaotyczne i fragmentaryczne. Było to bardziej ślizganie się po powierzchni niż sięganie w głąb. Od początku było dla mnie rzeczą oczywistą, że odpowiedzi na me pytania nie dadzą mi i dać nie mogą solidnego obrazu rzeczywistości polskiej. I tu musiałem się zadowalać wrażeniami, przypuszczeniami czy hipotezami.

A jednak ta część rozmów utwierdziła mnie w przekonaniu, że opinie mych polskich gości pochodzenia żydowskiego nie były oderwane od klimatu duchowego właściwego przynajmniej pewnym środowiskom społeczności polskiej. Kiedy rozmowy z tymi ludźmi przechodziły na inne tematy, porozumienie się też nie było rzeczą łatwą. Uderzała mnie ich zaściankowość, oderwanie się od myśli świata zachodniego (co zgoła nie oznaczało przyjęcia myśli świata wschodniego), naiwna ksenofobia, dziecinny szowinizm. Dla wielu z nich było nie do przyjęcia, że spraw życia polskiego nie uważałem za jedynie ważny ośrodek rzeczywistości naszej epoki. Oburzało ich, że dość krytycznie oceniałem np. dorobek współczesnej literatury polskiej czy publicystyki. Ograniczę się tu zresztą do tylko bardzo ogólnikowego podsumowania tej części

rozmów z rodakami. Wrażenie, jakie po sobie zostawiały, nie było specjalnie budujące.

O mych wrażeniach mogłem jednak mówić szczerze z tymi z mych gości, z którymi znajdowałem wspólny język. Tematem naszym była nie tylko sprawa klimatu duchowego właściwego Polsce dzisiejszej. Stawiałem także pytanie, w jakiej mierze celowa polityka grupy w Polsce rządzącej korzysta z tego klimatu i w jakiej mierze sama grupa jemu ulega. Ta ostatnia kategoria pytań była dla mnie szczególnie ważna. Czy komunizm polski całkowicie wisi w powietrzu, nie mając żadnych korzeni w szerszych postawach ogółu?

Choć rozmowy te nie były łatwe, choć odpowiedzi, jakie otrzymywałem, nie były — i być nie mogły — wyczerpujące, to jednak nie przeczyły moim ogólnym wrażeniom. Najczęściej nawet je umacniały.

Jedna z tych rozmów dała mi szczególnie dużo do przemyślenia. W tym wypadku rozmówcą moim nie był młodzieniec. Był to człowiek w wieku średnim. Umysł nietuzinkowy, postać dobrze znana w życiu Polski, dużo przebywa poza krajem i jak wielu jego rodaków jest świetnie zorientowany w zagadnieniach życia współczesnego na Zachodzie i Wschodzie.

Dałem mu *resumé* mych wrażeń. Słuchał mnie uważnie. Ale w pewnym momencie przerwał mi dość obcesowo: „O co Panu chodzi? Czy nie wie Pan, że w Polsce rządzi endokomuna?” — „Jako, po żydokomunie macie teraz endokomunę?” — „Żydokomuna — powiedział poważnie — była głupstwem dla idiotów. Ale endokomuna to polska rzeczywistość”.

Nasza rozmowa potoczyła się dalej. Endokomuna? Synteza Dmowskiego z Marksem? Niewiele z Marksa zostało się w dzisiejszym komunizmie. I kto z polskich komunistów — pomijając kilku intelektualistów — naprawdę coś wie o Marksie? Synteza Dmowskiego z Leninem? Ale z Lenina, poza etykietką, w komunizmie dzisiejszym zostało się jeszcze mniej niż z Marksa. A o Stalinie lepiej nie mówić. Czyżby nie najwięcej zostało się z Dmowskiego?

W każdym razie z polityków Polski przedwojennej Dmowski jest chyba jedynym przez grupę rządzącą wyraźnie forytowanym. Oczywiście chodzi tu o określone aspekty polityki Dmowskiego. Jest on przeciwstawieniem Piłsudskiego. Był prorosyjski i antyniemiecki. Od niego wywodzi się wizja Polski Chrobrego, tak gorąco przejęta przez polski komunizm.

W książce Arskiego „My, Pierwsza Brygada” ten zwrot w stronę Dmowskiego przybiera cechy wręcz komiczne. Pan Arski z przerażeniem myśli o tym, co by się stało, gdyby w roku 1914 Piłsudski był górą i spowodował wybuch powstania przeciw

Rosji. Byłoby to fatalne dla demokracji zachodnich i oznaczałoby zwycięstwo Niemiec. Dmowski to rozumiał i szczęśliwie umiał temu przeciwdziałać. I za to mu chwała i miejsce w Panteonie wielkich Polaków. Arski jest widocznie bardzo słabo obznajmiony z historią obozu, do którego należy. Lenin, walcząc z „porażencami”, nie myślał o demokracjach zachodnich. Odczuwał dla nich głęboką pogardę. I wcale nie dbał o zwycięstwo Rosji carskiej, w czym był zgodny z „porażencami”. Chodziło mu o to, by wojna imperialistyczna przemieniła się w wielką rewolucję społeczną. Z niepokojów pana Arskiego szczerze by się wyśmiał. A w każdym razie Dmowski był mu jak najbardziej daleki.

A przecież o Polsce dzisiejszej da się powiedzieć, że w znacznym stopniu jest ona urzeczywistnieniem programu Dmowskiego. Jest przede wszystkim „narodowa”. Jest Polską dla Polaków. Została „odżydzona”, zniknęły z niej mniejszości narodowe. Garszka Żydów, garstki Ukraińców, Białorusinów, Niemców czy Litwinów są tak drobne, iż mogą się nie liczyć. Oczywiście nastąpiło to nie tak, jak Dmowski i jego wyznawcy to sobie wyobrażali i życzyli. Polska straciła Ukraińców i Białorusinów razem z jedną trzecią swego przedwojennego terytorium. A „odżydzenie” było dziełem niemieckiego okupanta, który zadanie to wykonał w sposób wysoce drastyczny. Nie sądzę, by nawet Dmowski mógł takie metody aprobować z czystym sumieniem.

Ale Polska jest dla Polaków. Ba, nawet handel został gruntownie „unarodowiony”. Przed wojną polegał on na tym, że jeden nędzarcz sprzedawał drugiemu nędzne towary. Panowała wtedy osobliwa teoria gospodarcza, że odrodzenie ekonomiczne kraju zależeć będzie od zmiany wyznania czy wyglądu pierwszego z tych nędzarzy. Po wojnie zmiana ta nastąpiła. Co prawda, nędzarcz-sprzedawca stał się teraz w większości wypadków funkcjonariuszem państwowym, ale jest „swoim”. Czy miało to rzeczywisty wpływ na rozwój gospodarczy kraju, jest rzeczą inną.

Polska daleko posunęła się na Zachód. Jest dziś wybitnie „piastowska”. Program Chrobrego został spełniony w stopniu znacznie większym niż mogli o tym marzyć młodzieńcy, noszący w klapie „mieczyki” wielkiego Bolesława.

W swej polityce zewnętrznej Polska dzisiejsza opiera się na Rosji i jest antyniemiecką, ale przyjaźni się z Niemcami wschodnimi. No i Rosja jest też inna niż ta, na którą orientował się Roman Dmowski. Nie jest też — mimo flirty degaullowskie — wierną sojuszniczką demokracji zachodnich. Różnice te jednak można uważać za korektywy, powodowane przez historię. Zasadnicza koncepcja jest trwała.

Oczywiście ludzie, którzy rządzą Polską, nie wyszli z obozu Dmowskiego. Katolicyzm polski prowadzi też ciężką walkę o

swój stan posiadania. Ale masa polska jest nadal katolicka (choć pytanie czy jest chrześcijańska!) a obóz rządzący wykazuje dużą elastyczność w przystosowywaniu się do nastrojów zbiorowych. Patrząc na Polskę Zjednoczoną Partię Robotniczą ma się nieraz wrażenie, że jest ona kontynuacją nie tylko BBWR czy Ozonu, ale — i to w szczególnym stopniu — obozu „wszechpolskiego”.

Wszystko to jednak są tylko uwagi marginesowe w stosunku do tego, co mój rozmówca nazwał rządami endokomuny w Polsce dzisiejszej. W rzeczywistości chodziło o sprawy znacznie istotniejsze.

V

Przedwojenna „endecja” było to coś znacznie szerszego niż określone stronnictwo polityczne. „Endecja” wyrastała z „endeckości”, z określonego podłoża społeczno-historycznego i z określonego klimatu duchowego. „Endecność” zakresowo nie pokrywała się z obozem, którego wodzem był Roman Dmowski. Stanowiła jednak o treści tego obozu i nadawała mu oblicze.

Był to bodajże Waclaw Nałkowski, który powiedział, że Narodowa Demokracja była produktem historycznej niedojrzałości Polski. Powiedziane to było jeszcze na początku wieku XX, kiedy w endecji ciągle zachowywały się resztki jej pierwotnego radykalizmu inteligenckiego. Ale już wtedy było wyraźne, że endecja czy endecność to nie stronnictwo, ale pewien rodzaj myślenia i odczuwania, pewna struktura psychosocjalna, pewna szeroka postawa wobec rzeczywistości. Była to „dulszczyzna” w życiu codziennym, prowincjonalizm, patriotyczna tromtadracja, ksenofobia i stan ciągłego strachu przed nowością. Wszystko to się rozwinęło w czasach późniejszych. Długi okres wszechstronnego kryzysu gospodarczego, społecznego, politycznego i kulturalnego, jaki wyznaczał pierwsze dziesięciolecia naszego stulecia, wybitnie sprzyjał utrwalaniu się i rozpowszechnianiu takich postaw.

Były to czasy ludzi przestraszonych. Cały świat tradycyjnych wartości, w którym ludzie ci żyli i który odziedziczyli po swych rodzicach, ulegał szybkiemu załamaniu. Gwałtownie kończyła się era stabilizacji gospodarczej i społecznej, ubezwartościowieniu ulegały dotychczasowe reguły postępowania i myślenia. To, co przychodziło, było niejasne, nieoczekiwane i niepokojące. Co gorsza, w swych praktycznych następstwach oznaczało katastrofę.

O tych dziesięcioleciach naszego wieku da się powiedzieć, że były erą Wielkiej Paniki. Milionowe masy ludzkie żyły w atmosferze przerażenia, przerywanego przez wybuchy nadziei i wizje wybawienia. Szukano zbawców, którzy zaprowadzą do Ziemi

Obiecanej, i szukano winowajców wielkiej katastrofy. Byli nimi ci wszyscy, którzy pod jakimiś względami w oczach ludzi przerażonych odbiegali od tradycyjnych wzorów. Jak zawsze w historii wielkich katastrof społecznych, rodziło to atmosferę nienawiści i próby szukania nowych więzi organizacyjnych, tworzących poczucie (czy iluzję) własnej mocy i przez to obiecujących przewyciężenie katastrofy.

W Polsce ówczesnej do tego — w największym uproszczeniu — sprowadzał się sens historyczny endecji i jej pokrewnych ugrupowań. Im społeczeństwo historycznie było mniej dojrzałe, im bardziej wątle były jego podstawy ekonomiczne, im zarazem rozkład jego tradycyjnych systemów wartości i opartych na nich instytucji był dalej posunięty, tym endecckość miała lepsze warunki rozkwitu. Odnosiło się to nie tylko do Polski. I bynajmniej nie zanikło.

Endecckość nie była zjawiskiem polskim. Pod różnymi nazwami, w różnych stopniach nasilenia, przybierając różne formy, stała się ona zjawiskiem powszechnym i typowym dla ery Wielkiej Paniki. W Niemczech osiągnęła ona swój zenit w postaci hitlerizmu. Można ją odnaleźć i w sowieckim stalinizmie, i w kierunkach faszystowskich na Zachodzie, i w różnych ugrupowaniach ultrakonserwatywnych czy radykalno-ultrakonserwatywnych.

Przetrwała ona wojnę i utrzymała się nawet w dobie Drugiej Rewolucji. W dzisiejszej Ameryce „The John Birch Society” i pokrewne grupki są jej pozostałością.

Stany Zjednoczone — kolebka i ośrodek największej rewolucji czasów nowożytnych — skupiają w tych grupkach ludzi przerażonych tym, co się dokoła nich dzieje. Tempo rewolucji, jej wszechstronność, zmiany, jakie ona przynosi, wszystko to bije w tradycje małych miasteczek Zachodu, Południa i Środkowego Zachodu, burząc podstawy tradycyjnego istnienia szerokich gromad ludzkich. Goldwateryzm był dramatyczną próbą mobilizacji ludzi przestraszonych, próbą, która okazała się bezowocna.

W epoce Wielkiej Paniki przedwojennej przerażenie mas ludzkich znajdowało dla siebie wyraz w powstawaniu całych systemów ideologicznych i organizacyjnych. W świecie dzisiejszym, w krajach Drugiej Rewolucji, z tych systemów ideologicznych i organizacyjnych mało co pozostało. W Polsce ideologicznie endecja jest skończona. Aparatczyki w rodzaju Arskiego mogą dla celów propagandowych operować nazwiskiem Dmowskiego, ale jako symbolem, oderwanym od tego, co stanowiło treść ideologii narodowej. Ideologicznie PZPR jest wyprana z tych żywych treści emocjonalnych, jakie istniały w Stronnictwie Narodowym i w grupach pokrewnych. Jest wyłącznie aparatem biurokratycznym.

I poza Polską nie jest inaczej, pomijając tu oczywiście te wielkie obszary świata, które wciąż jeszcze nie są objęte przez Drugą Rewolucję. „The John Birch Society” nie stworzyło żadnej koncepcji ideologicznej. W ostateczności całe wyznanie wiary tej grupy sprowadza się do tak naiwnie negatywnych haseł jak: Demokraci i liberałowie sprzedają komunistom Amerykę (tę starą Amerykę dawnych dobrych czasów!), należy pociągnąć do odpowiedzialności głównych winowajców, zaczynając od Earla Warrena i kończąc na Eisenhowerze, i tp. Trudno jest oczekiwać, by konserwatyzm tego rodzaju mógł przemówić do szerszego ogółu, w pierwszym rządzie — do młodzieży. Nawet francuski degaulowski nacjonalizm w bardzo słabym jak dotąd stopniu oddziaływał na jakiś ruch intelektualny czy stworzył określoną i jasno sformułowaną ideologię. Nie sądzę, by w De Gaulle'u można było widzieć spadkobiercę *Action Française*.

Rozmowy z rodakami utwierdzały mnie w przekonaniu, że i w Polsce endecckość jako system ideologiczny jest martwa, że natomiast wiele się z niej zachowało w ludziach starszego pokolenia jako określone postawy, oceny i metody myślenia. Jest to ciasny partykularyzm, naiwny nacjonalizm, sprowadzanie wszelkich zagadnień współczesnej rzeczywistości do spraw polskiego podwórka, niezdolność widzenia ich w szerszym zakresie. Nie są to postawy specyficznie polskie. Wszędzie z nimi można się spotkać. W Polsce jednak zdają się one być mocno zakorzenione i rozpowszechnione.

I są one umiejętnie wykorzystywane przez grupę rządzącą. Jest to nie tylko sprawa techniki rządzenia, sprawa świadomego wyzyskiwania nastrojów społecznych. Trzeba pamiętać, że znaczna część polskich aparatczyków w swych zasadniczych postawach i metodach myślowych nie zbyt się różni od reszty pokolenia, do którego należy. Gomułki i Kliszki są produktami polskiego zaścianka (podobnie jak np. Mao Tse-tung jest produktem zaścianka chińskiego!). Ich nacjonalizm i ksenofobia mogły w komunizmie znaleźć nową racjonalizację, ale w swych treściach są tradycyjne. Młodszy intelektualista partyjni — Schaff, Wiatr i najciekawszy z nich Bauman — dążą do jakiegoś unowocześnienia komunizmu i to nie tylko w sensie ogólnym, ale i specyficznie polskim. Nie wyobrażam sobie, by myśli ich mogły być rozumiane przez starych aparatczyków. Jest tu różnica nie przekonań, ale całych okresów historycznych.

Wydaje mi się, że słowo „endokomuna”, tak dosadnie użyte przez jednego z moich rozmówców, nie było tylko dowcipem czy złośliwą grą słów. Wyraziło ono treści istotniejsze, odnoszące się do całego klimatu duchowego Polski dzisiejszej. Jest to klimat szerszych środowisk społecznych i klimat nieobcy partyjnemu

aparatu. Aparat ten umie się zresztą nim posługiwać i dla celów rządzenia.

Postaram się to zilustrować przy pomocy pewnych faktów polskiej rzeczywistości. Chodzi mi tu o pewne okoliczności, związane z przejściem przez Polskę nowych terenów na Zachodzie.

VI

Doznałem uczucia ulgi, kiedy mogłem zauważyć, że z polskiego żargonu polityczno-propagandowego zaczyna znikać nazwa „Ziemia Odzyskana”. Nazwa ta w sercu mym nie budziła radości. Przeciwnie, żenowała mnie i przygnębiała. Używana przez komunistów, robiła na mnie specjalnie obrzydliwe wrażenie. Nie żebym od komunistów oczekiwał jakiejś konsekwencji i uczciwości w operowaniu chwytami propagandowymi. Ale argument *Blut und Boden* brzmiał tu szczególnie cynicznie.

Dla endeckiego nacjonalisty mistyczno-magiczna racjonalizacja *Blut und Boden* ma oczywiście swój sens. Ideologia nacjonalistyczna opiera się na założeniu ciągłości historycznej, obejmującej pochodzenie i teren. Racjonalizacje, którymi się ona posługuje, nie są zbyt różne od tych, jakimi operowały systemy dynastyczne. Ich pojęciem centralnym jest idea „prawa historycznego”, w danym wypadku z dynastii przeniesionego na całą zbiorowość narodową, traktowaną jako jedność organiczna w całej swej historii. Teren, który ongiś należał do tej zbiorowości, nie przestaje do niej należeć bez względu na zmiany etniczne, jakie na nim nastąpiły. Romantyzm niemiecki nadał temu swoistą mistykę, z czasem do ostatecznych granic rozwiniętą przez hitleryzm. Ideologie nacjonalistyczne innych narodów operowały analogicznymi racjonalizacjami, choć w praktycznym wykonaniu były od hitleryzmu znacznie mniej szczęśliwe. W dobie drugiej wojny stały się ofiarami triumfalnego pochodu ideologii swego niemieckiego pobratymca.

Jest rzeczą niewątpliwą, że właśnie w epoce pełnego rozkwitu dążeń narodowościowych ideologia *Blut und Boden* stała się nie tylko anachronizmem, ale i zupełnym nonsensem. Co stało się istotne, to nie mętnie definiowane i wysoce dowolne „prawa historyczne”, ale fakt istnienia w danym czasie i miejscu określonej zbiorowości kulturalno-narodowej. Ta zbiorowość w ideologicznym oddziaływaniu na swych członków może się posługiwać — i często posługuje — mitami przeszłości, ale decydujące znaczenie ma obiektywny fakt jej istnienia w danym miejscu i czasie. Ideologia może mieć swoje propagandowo-wychowawcze

znaczenie, ale w praktyce nie jest brana zbyt poważnie. Losy hitleryzmu wykazały co się dzieje, gdy jest brana bardzo poważnie.

Wszelkie tradycje historyczne nie wiele znaczą wobec tych obiektywnych przemian etniczno-kulturalnych, jakie przyniosły ostatnie stulecia. Duża część Stanów Zjednoczonych była jeszcze niezbyt dawno temu częścią Republiki Meksykańskiej, Francji i nawet Rosji. Dziś jednak Republika Meksykańska nie rości sobie pretensji do San Francisco czy Houston, ani Francja — do Nowego Orleanu czy Detroit. Albowiem decyduje tu *obecny* charakter etniczny tych miast. Trudno sobie wyobrazić, by obecna ludność San Francisco czy Houston chciała zostać Meksykańczykami, a ludność Nowego Orleanu czy Detroit — Francuzami. Podobnie trudno sobie wyobrazić, by mieszkańcy Alaski chcieli zostać Rosjanami. Przykładów takich na całym świecie można przytoczyć ilość nieskończoną.

W roku 1945 Polska, obejmując nowe tereny na Zachodzie, mogła się być powoływać na odpowiedzialność Niemiec za zbrodnie hitleryzmu. Mogła się z tej racji domagać odszkodowań terytorialnych, które by jednocześnie skutecznie osłabiły pokonaną Rzeszę. Mogła się powoływać w związku z tym na fakt utracenia swych wschodnich obszarów. Różne argumentacje mogły tu być zresztą użyte. Ale powoływanie się na Piastów, ale mówienie o „Ziemiach Odzyskanych” było zwykłą demagogią nacjonalistyczną, było filozofią *Blut und Boden*.

Chcę tu być dobrze zrozumianym. Cały czas mówię o uzasadnieniach ideologicznych i o atmosferze, z której one wyrastały. Nie mówię o faktach obiektywnych. W najmniejszym stopniu nie kwestionuję obecnej zachodniej granicy Polski. O przynależności tych ziem do Polski decyduje fakt, który jedynie można uznać za istotny: ludność ich jest polska. Mieszkańcy obecnego Wrocławia czy Szczecina tak samo nie chcą „wrócić” do Niemiec, jak mieszkańcy Dallas czy San Diego nie chcą „wrócić” do Meksyku. Wytworzył się tu bowiem nowy stan faktyczny i on — a nie racje historyczne — może być jedynie brany pod uwagę.

W czasach najnowszych analogiczny proces przemiany miał miejsce jeszcze gdzie indziej. W Palestynie powstało nowe państwo — Izrael. Niewątpliwie mit Jerozolimy był w dawnych masach żydowskich nieskończenie potężniejszy niż mit Szczecina lub Jeleniej Góry w masach polskich. Jerozolima była zasadniczym składnikiem żydowskiej religii, miała głębokie korzenie w tradycjach, wierzeniach i całej kulturze żydowskiej. Nie zmieniało to faktu, że Jerozolima była miastem arabskim i leżała w kraju, w którym Arabowie stanowili przeważającą większość ludności.

W czasach przedwojennych odnosiłem się do syjonizmu jako do ideologii i programu politycznego wysoce nieżyczliwie. Był to znów jeden z wariantów filozofii *Blut und Boden*. Sądziłem, że żydowskie racje historyczne są bez znaczenia wobec arabskiego oblicza Palestyny. Uważałem, że zamiast myśleć o Palestynie, Żydzi powinni byli walczyć o swe prawa w krajach swego osiedlenia.

Dziś wszystkie te obiekcje mogą służyć za przykład bezsilności człowieka wobec przewidywania przyszłości. Wojna, i to co się w czasie niej stało, stworzyła zupełnie nową sytuację historyczną, której odrzucenie byłoby szaleństwem. Nie mam żadnej sympatii dla żydowskiego wariantu ideologii *Blut und Boden*, ale z całą sympatią odnoszę się do Izraela. Jest on ojczyzną dla dwóch milionów Żydów, którzy w jej ramach znaleźli pole rozwijania swej twórczej działalności. Pretensje arabskie do tej części Palestyny nie są dziś lepsze niż pretensje Niemców do Polski Zachodniej. W obu wypadkach decyduje fakt obecnego — nie historycznego — narodowo-kulturalnego oblicza tych terenów. Warto jest też zaznaczyć, że w obu wypadkach zmiany terytorialne były bezpośrednio związane z katastrofami, jakie spotkały obie zbiorowości — polską i żydowską.

Obóz rządzący w Polsce w swej wewnętrznej i zewnętrznej akcji propagandowej na rzecz nowych granic na Zachodzie posłużył się racjonalizacjami ideologicznymi, które w swym nacjonalizmie szły dalej niż dawna endecja. Niewątpliwie atmosfera Polski bezpośrednio po wojnie wybitnie sprzyjała powodzeniu takich racjonalizacji. Odpowiedzialność za to ponosiły przede wszystkim bestialstwa niemieckie. Hitlerowskie *Blut und Boden* prowadziło do polskiego *Blut und Boden*. Grupa komunistyczna rzeczy te wyzyskała, rozwinęła i umiejętnie — przynajmniej na wewnątrz — zastosowała. Polski komunizm wykazał się w tym wybitnie „narodowy”.

Zresztą nie tylko polski. Racjonalizacje, jakimi w czasie wojny i po wojnie posługiwał się komunizm sowiecki, były godne tradycji Katkova, Howajskiego i Pobiedonoscewa. Jeżeli komunizm polski uległ „zendeczeniu”, to komunizm sowiecki stawał się „czarnosecinny”. Nie sądzę, by we wszystkich tych wypadkach dało się przeprowadzić wyraźną linię demarkacyjną pomiędzy zwykłą techniką propagandowej demagogii a szczerym przekonaniem. Oczywiście w pierwszym rzędzie była zwykła demagogia, ale było też szczerze przekonanie. Trzeba raz nareszcie skończyć z legendą, że komunizm polski jest oderwany od podłoża społecznego i kulturalnego środowiska, którym rządzi. Polacy mogą się nie utożsamiać z grupą rządzącą, mogą do niej odnosić się wysoce nieżyczliwie, ale nie mniej grupa ta jest wyraźnie polska.

Czas wpłynął mitygująco na nasilenie tej nacjonalistycznej demagogii. Mieszkaniec Wrocławia może wciąż czuć się zagrożony przez Niemcy, ale nie w stopniu większym niż mieszkaniec Warszawy czy Krakowa. Wątpię jednak, by gdy chodzi o ocenianie swych praw do Wrocławia, zbytnio się kierował racjami „piastowskimi”. Zapuścił we Wrocławiu korzenie, jest na „swoich śmieciach”, przyjmuje polskość swego miasta jako coś oczywistego. Racjonalizacje z roku 1945 przestają mu być potrzebne. Tak przynajmniej mi o tym mówili moi rozmówcy z Polski. Nie umieli natomiast odpowiedzieć mi na pytanie, czy i w jakim stopniu racjonalizacje „piastowskie” były rzeczywiście potrzebne pierwszym polskim mieszkańcom Wrocławia przed laty dwudziestu. Niektórzy przypuszczali, że istniały wtedy pod tym względem postawy ambiwalentne.

W ostatecznym podsumowaniu było dla mnie jasne, że racjonalizacje ideologiczne użyte przez grupę rządzącą w stosunku do Polski Zachodniej nie były czymś epizodycznym i na pewno nie przypadkowym. Wynikały one z klimatu czasu, z klimatu duchowego całego społeczeństwa i z klimatu, w jakim żyła grupa rządząca. W klimacie tym zdają się zachodzić poważne zmiany. Szczególnie w młodszych generacjach. Ale wiele z niego wciąż się zostaje. I tu ideologia *Blut und Boden*, użyta wobec zachodniej granicy zdaje się być składnikiem szerszego wzoru, na którego inny składnik złożyły się wypowiedzi pewnych mych gości na temat roli Żydów w Ameryce. Niedawne konkurencyjne obchody Millenium i burdy im towarzyszące, zdają się również należeć do składników tego wzoru.

Na tle tego wszystkiego twierdzenie mego przyjaciela z kraju o rządach w Polsce endokomuny nie wydaje się ani paradoksalne ani zabawne. Mówi ono o niedojrzałości historycznej, jaka wciąż cechować się wydaje życie polskie — zarówno po stronie rządzonych jak i rządzących.

VII

Duża część świata — choć bynajmniej nie największa — jest dziś w epoce Drugiej Rewolucji. Kontrast między tymi dwiema częściami wyznacza oblicze naszych czasów. Jest on znacznie większy i implikacje jego są znacznie poważniejsze niż wtedy, kiedy mówiło się o Europie A i Europie B. W krajach Drugiej Rewolucji nie tylko fantastyczne przemiany technologiczne decydują o treściach i kierunkach zachodzących procesów. Albowiem pociągają one za sobą kolosalne przemiany społeczne i kulturalne. Tempo tych ostatnich jest zawrotne.

Polska należy do krajów, w których Druga Rewolucja jest

dopiero we wstępnym okresie. Niemniej w okres ten już weszła i wszystko przemawia za tym, że następstwa społeczne tego wejścia dają się w jej życiu wyraźnie zaznaczyć. Przesunięcia terenowe ludności, urbanizacja związana z industrializacją, zachodzące przewarstwowania społeczne — wszystko to coraz wszechstronnie odbija się na obliczu kraju. Modernizacja Polski zdaje się być faktem niewątpliwym.

Jak we wszystkich krajach komunistycznych, jest to komplikowane i utrudniane przez panowanie anachronistycznej ideologii i skostniałego systemu rządzenia. W Polsce pod niejednym względem przedstawia się to gorzej niż w wielu innych krajach komunistycznych. Szybki odwrót od Października zatrzymał czy osłabił próby tych innowacji, jakie są wprowadzane do ekonomiki innych krajów bloku socjalistycznego.

Jednocześnie w Polsce dają się zauważyć objawy wyraźnego fermentu intelektualnego, obejmującego nie tylko środowiska pozapartyjne. Podejmowane są jakieś próby modernizacji filozofii komunistycznej. Wśród młodszej generacji komunistycznych intelektualistów prowadzona jest dyskusja, w której nie brak jest śmiałych i interesujących akcentów. Jest ona jednak wciąż prowadzona na płaszczyźnie czysto ideologicznej i nie da się stwierdzić, by — jak dotąd — miała większy wpływ na technikę rządzenia. Tu dominują postawy konserwatywne, do których jedynie są zdolni starzy aparatczycy.

Ten ferment intelektualny nie może być widziany w oderwaniu od szerszych przemian ogarniających cały kraj. Dyskusje, prowadzone przez młodszych intelektualistów partyjnych, nie mogą też być widziane w oderwaniu od nastrojów rozwijających się wśród intelektualistów pozapartyjnych. Od tej strony idą bodźce w kierunku intelektualistów partyjnych. Fakt, że młodsze generacje intelektualistów polskich potrafiły utrzymać kontakt z myślą zachodnią, ma tu szczególne znaczenie.

Niedawno wydana książka Jerzego Wiatra „Czy zmierzch ery ideologii?” jest tu szczególnie interesująca. Autor jest czynnym działaczem partyjnym. Jest partyjnym ideologiem i przekonany komunistą. Książka jego jest próbą apologii ideologii wobec ataków skierowanych na nią ze strony krytyków zachodnich. Jest to polemika z takimi stanowiskami, jak R. Arona i D. Bella. Jednocześnie jednak jest ona niewątpliwą próbą dania odpowiedzi i krytykom domowym. Wiatr książkę swoją wyraźnie pisał na użytek intelektualistów polskich. Jest to próba apologii ideologii, sceptycznie ocenianej przez młodsze generacje polskiej inteligencji.

Wiatr zajmuje pozycję defensywną. Przyznaje, że w komunizmie są rzeczy martwe, wynikały zarówno z błędów interpreta-

cyjnych jak i z faktu zmieniających się okoliczności historycznych. W tym sensie ideologia wymaga pewnych korekt i przystosowania się do nowych etapów rozwoju dziejowego. Co jednak jest w niej zasadnicze, to nadal ma wartość i sens. Chodzi tu przede wszystkim o walkę między dwoma zasadniczymi systemami — socjalizmem i kapitalizmem. Przy pomocy dość karkołomnych argumentów Wiatr usiłuje uzasadnić, że nawet w krajach największego uprzemysłowienia komunizm jest wciąż filozofią mas robotniczych i że Druga Rewolucja i związane z nią przeobrażenia społeczne w niczym nie osłabiają dynamiki komunizmu. Wiatr zdaje się nie dostrzegać, że jednym z największych przeobrażeń społecznych Drugiej Rewolucji jest zanikanie w krajach największego uprzemysłowienia klasy robotniczej jako swoistej kategorii społecznej, jaskrawo wydzielającej się od innych kategorii społecznych i obdarzonej swoistą postawą społeczną i strukturą psychiczną. To że robotnik (czy ex-robotnik) w krajach największego uprzemysłowienia przyjmuje postawy konserwatywne, nie jest następstwem „zdrady” przywódców czy propagandowego oddziaływania Zimnej Wojny, ale rezultatem zachodzącego procesu historycznego. Konserwatystą staje się i robotnik sowiecki. We wszystkich tych wypadkach konserwatyzm ten sprowadza się do afirmacji istniejącego stanu rzeczy i do lęku przed gwałtownymi innowacjami. Jeżeli Marks i Engels ongiś mówili, że robotnik w wypadku rewolucji nie ma nic do stracenia z wyjątkiem kajdan, to robotnik dzisiejszy w krajach największego uprzemysłowienia boi się, że w wypadku rewolucji straci wszystko, nabywając jednocześnie kajdany, których dawno się wyzbył.

Co jest szczególnie interesujące w wypowiedziach polskich ideologów marksizmu w rodzaju Wiatra, Schaffa czy Baumana, to uzachodnienie ich argumentacji. Literatura, jaką się oni posługują, to autorzy zachodni, zarówno komunistyczni (Gramsci w pierwszym rzędzie) jak i „burżuazyjni”. Ci ostatni bodaj że w stopniu większym niż pierwsi. W bardzo ciekawej książce Baumana „Wizje ludzkiego świata” nazwisko Lenina powtarza się na przestrzeni przeszło 600 stronik zaledwie pięć razy (nazwisko Stalina trzy razy!). Czytając książki polskich młodszych marksistów ma się wrażenie, że sowiecka literatura marksistowska ostatnich dziesięcioleci w ogóle nie istnieje. Rzeczywiście przedstawia się ona kompromitująco rozpaczliwie. I trudno jest oczekiwać, by polscy i niepolscy modernizatorzy komunistyczni mogli do niej sięgać.

Ta okcydentalizacja młodszych teoretyków partyjnych zdaje się potwierdzać fakt istnienia więzi między inteligencją polską a myślą zachodnią. W wypadku marksistów te oddziaływania zachodnie są niekiedy dość spóźnione. Polemika Wiatra z Aronem

została podjęta w wiele lat po ukazaniu się wypowiedzi francuskiego autora. Obserwacje Schaffa na temat alienacji są odkryciami, które na Zachodzie już dawno zostały porobione. Niemniej są to objawy bardzo pocieszające. Przypuszczam, że są one pochodną nacisku, jaki na ideologów partyjnych wywierają postawy szerszych ośrodków inteligencji pozapartyjnej. Sam Wiatr otwarcie mówi o wpływie poglądów Arona (nb. w wydaniu „Kultury”) na te ośrodki.

Podkreślamy tu raz jeszcze: są to wszystko dyskusje na płaszczyźnie teoretyczno-ideologicznej i wpływ ich na aparat rządzenia nie jest wyraźny. Pytanie jest, czy w ogóle istnieje. Z resztą — jak to ma miejsce szczególnie w przypadku Schaffa i Wiatra — przesłanką tych wypowiedzi jest danie grupie rządzącej racjonalizacji, w sposób bardziej współczesny uzasadniającej pozycję i prawo działania polskiego *Establishment*. Autorzy ci są jak najbardziej dalecy od intencji podcięcia gałęzi, na której sami siedzą. Sami są członkami *Establishment*.

Są to niemniej wypowiedzi wysoce symptomatyczne. Byłyby one nie do pomyślenia w takiej np. Albanii. Ale pokrewne im występują w Jugosławii, na Węgrzech, w Rumunii i nawet w Niemczech Wschodnich. W Sowietach, gdzie wciąż nie mogą się ujawniać otwarcie, przybierają postać namiastek literackich i swoistej literatury apokryficznej. Wszędzie tam przemiany obiektywne powodowane przez narastanie Drugiej Rewolucji znajdują w pierwszym rzędzie swe odbicie w fermentie umysłowym kół intelektualnych.

Nie należy lekceważyć znaczenia tych zjawisk. O ich doniosłości mówiły mi wielogodzinne rozmowy z rodakami. Stale uderzały mnie różnice pokoleń. Ludzie starsi wyraźnie wywodzili się z atmosfery Polski dawnej, z klimatu endeckiego. Klimat ten — w takim czy innym stopniu — był właściwy im wszystkim, włączając w to ludzi pochodzenia żydowskiego. Młodszy zdawali się pochodzić z innego kraju.

Stale, aż do znudzenia, muszę podkreślać, że nie potrafię powiedzieć, w jakiej mierze ci młodszy, z którymi prowadziłem długie rozmowy, byli reprezentatywni dla ogółu swej generacji. Oni sami co do tego mieli wątpliwości. Myślę jednak, że w jakimś stopniu byli.

Jeden z nich — wykładowca na którymś z polskich uniwersytetów — przyjechał do Ameryki jako profesor wymienny. Przedtem przez dłuższy stosunkowo czas był związany z jednym z sowieckich ośrodków nauczania. Od niego usłyszałem szereg ciekawych uwag na temat młodzieży amerykańskiej, sowieckiej i polskiej. Sądził, że młodzież amerykańska i sowiecka mają bardzo dużo wspólnego. Obie są wysoce sceptyczne, nawet cyniczne, wo-

bec tradycyjnych wartości i koncepcji. Ale obie są — jak się wyraził — wysoce „romantyczne”, szukające jakichś nowych rozwiązań na płaszczyźnie nietyle ideologicznej ile praktycznej. Natomiast młodzież polska — zdaniem jego — jest tylko sceptyczna czy cyniczna i nie ujawnia tego „romantyzmu”, jaki ma cechować młodzież sowiecką i amerykańską. Przy całym szacunku dla doświadczenia i autorytetu mego gościa, nie potrafię powiedzieć, w jakiej mierze jego uogólnienia są słuszne. Zapewne — jak to jest w wypadkach nawet najsolidniejszych uogólnień — zostawiają one miejsce na korektywy. A poza tym w żadnym środowisku ludzkim zmiany nastrojów i postaw zbiorowych nie zachodzą tak szybko jak wśród młodzieży.

Jeżeli jednak nawet przyjmiemy, że polska młodzież inteligentna nie jest „romantyczna” i że jej postawy są czysto negatywne, to i tak mówiłyby one o jakimś stanie fermentu, o nieafirmowaniu czy niepełnym afirmowaniu rzeczywistości. W każdym cynizmie zawiera się ładunek buntu i antagonizmu do oficjalnego systemu wartości. W warunkach polskich każdy przejaw takiego buntu musi być uznany za cenny. Albowiem systemy wartości starszych generacji Polaków, bez względu na to czy ludzi z legitymacjami partyjnymi czy bez nich, stanowią dużą przeszkodę na drodze tej modernizacji duchowej, gospodarczej, społecznej i politycznej, jaką niosą ze sobą następstwa Drugiej Rewolucji.

Trzeba przypuszczać, że w miarę jak posuwać się będą przeobrażenia obiektywne, w miarę jak do głosu zaczną dochodzić młodsze pokolenia, zbliżyć się zaczną zmierzch „endokomuny”. Przyjdzie wtedy miejsce na „komunizm narodowy”, o którym tak przekonywująco mówi Juliusz Mieroszewski. A „endokomuna” i „komunizm narodowy” to rzeczy nie tylko różne, ale i krańcowo przeciwstawne.

Tak w ostatecznym wyniku mógłbym podsumować rozmowy z rodakami. Powtarzam, że nie wiem w jakim stopniu podsumowanie to odpowiada polskiej rzeczywistości. Mogę tu tylko mówić o moich wrażeniach i o wypływających z nich refleksjach. I za to moim rozmówcom — starszym i młodszym — chcę złożyć serdeczne dzięki.

Aleksander HERTZ

Lipiec 1966.
Enfield, N.H.

O religii bez namaszczenia

Zamieszczamy charakterystyczny dokument, obrazujący stosunek władz Polski Ludowej wobec Kościoła. Jak wiadomo, został stworzony Komitet budowy pomnika Jana XXIII; skład Komitetu ogłoszono w prasie. Otóż w Komitecie tym podano kilka nazwisk bez wiedzy zainteresowanych a ich wyjaśnienia wysyłane do prasy (m.in. do „Życia Warszawy”) zostały skonfiskowane.

Arcybiskup
Ordynariusz Wrocławski

DRODZY BRACIA KAPŁANI

1. Zwracam się do Was w bardzo ważnej sprawie. Pragnę Was bowiem pouczyć i przestrzec przed udziałem w zjeździe, na który organizacje postępowych katolików w najbliższych dniach Was zapraszać będą. Jak nas dochodzą słuchy, akcja werbowania już się zaczęła. Znamy dobrze podobne imprezy z lat minionych. Tym razem organizuje się zjazd pod hasłem uczczenia Tysiąclecia chrześcijaństwa i bytu państwowego Polski. Osoba Jana XXIII, któremu w prasie zapowiedziano ustawienie pomnika we Wrocławiu ma stanowić również centralny element obchodu.

2. DRODZY KSIĘŻA!

Przyjmijcie najpierw następujące pouczenie. Kto ten zjazd organizuje? Urządzają go organizacje polityczne pod przewodnictwem i inicjatywą naczelnika dla spraw wyznań we Wrocławiu. A więc wiadomo! Ukrywa się wszystko pod osłoną Caritasu i

mianem katolików postępowych. Przynależność do tych organizacji zainteresowani księża wstydliwie ukrywają przed społeczeństwem katolickim i przed konfratrami. I słusznie! Gdyż społeczeństwo katolickie nie ma zaufania do ducha tych organizacji, który nie jest kościelny. Organizacje te tendencjami swymi ranią jedność Kościoła, której nam w chwili obecnej tak bardzo potrzeba. W dobie odnowy soborowej nikomu z nas nie wolno przykładać ręki do rozbijania jedności z Hierarchią Kościelną, z kolegium konfratrów, z całym ludem Bożym. Pamiętamy podobne zjazdy z przeszłości. W niczym nie przyniosły one korzyści ani Kościołowi ani Polsce, owszem było przeciwnie! Konfratry o autentycznej postawie kościelnej stracili zaufanie do swych kolegów, którzy w tych zjazdach brali udział, podobnie i wierni. A komu z was nie zależy na dobrym imieniu? Nie chcę być złym prorokiem, lecz obawiam się, że i na organizowanym nowym zjeździe padną akcenty raniące naszą jedność kościelną, choć może w zawołowanej formie przeciwko Księdzu Prymasowi, może i papieżowi Piusowi XII i td. Do udziału w tym zjeździe starym zwyczajem wystannicy będą Was zachęcali. To jest stara metoda przy wystąpieniach antykościelnych, metoda stosowana już przy prześladowaniu pierwszych chrześcijan. (Por. listy św. Cypriana z ukrycia do duchowieństwa, jego pismo *De lapsis*).

3. Proszę Was, tedy, Bracia, przez miłość Pana naszego Jezusa Chrystusa, byście się wstrzymali od udziału w zjeździe duchowieństwa, który nie jest organizowany przez Kościół. Kościół w Polsce organizuje swoje obchody Tysiąclecia, w których biorą udział niezliczone rzesze naszego wiernego ludu katolickiego oraz księża zakonni i diecezjalni. Przychodzą z własnej woli i z własnej potrzeby serca i przeżywają te obchody razem z duchowieństwem z wdzięcznością i radością. Nie tak będzie na organizowanym obecnie zjeździe. Zwiezie się uczestników, wstydliwie przekradać się będą uczestnicy na salę zebrań. Nasz lud patrzeć będzie na nich niechętnym okiem. Szoferzy będą sobie pokpiwali ze swych samochodowych gości. A co do uczczenia pamięci Jana XXIII: Od lat już prosimy wydział dla spraw wyznań o pozwolenie na budowę kilku nowych kościołów we Wrocławiu i okolicy: Psie Pole, Siechnica, Tarnogaj i inne. Tysiące ludzi dusi się w barakach i skromnych kapliczkach. Chętnie poświęcilibyśmy te nowe, a tak gwałtownie potrzebne kościoły pamięci Jana XXIII... niestety wydział wyznaniowy nie tylko nie daje zezwolenia ale nawet jeden z budujących się kościołów kazał rozebrać do samych fundamentów. Dlatego nie możemy mieć zaufania do tych samych ludzi ani do szczerości ich zamiarów.

4. Okażmy swoją godność i jedność z ludem Bożym, którym są przecież biskupi, kapłani i wierni. „Jeden jest nauczyciel Wasz, CHRYSZTUS” (Mt. 23, 10). Stalibyście się winni opóźnienia odnowy Kościoła tak bardzo przez Sobór upragnionej. „Do społeczności Kościoła wcieleni są w pełni ci, co mając ducha Chrystusowego

wego, w całości przyjmują przepisy Kościoła i wszystkie ustanowione w nim środki zbawienia i w jego widzialnym organizmie pozostają w łączności z Chrystusem rządzącym Kościołem przez papieża i biskupów" (Konstytucja o Kościele, 11, 14).

Nie chcecie więc umniejszać Waszej przynależności do Kościoła. Kościół liczy na Ciebie, Bracie, że w dzisiejszych tak trudnych dla Kościoła czasach nie będziesz kopał grobu dla niego, czy też podcinał jego żywotnych korzeni.

Na zakończenie niech do Was przemówi św Paweł, I Kor. 1, 10: „Lecz proszę WAS, Bracia przez imię Pana naszego Jezusa Chrystusa abyście to samo mówili wszyscy, i żeby nie było między Wami rozterek, ale bądźcie doskonale zgodni w jednej myśli, w jednym zdaniu. Filip. 2, 2: Dopełnijcie wesela mojego, abyście to samo rozumieli, tę samą miłość mając, jednomyślni”. State fortes!

+ *Bolesław KOMINEK*
Arcybiskup

Wrocław, dnia 11 lipca 1966 r.

Kronika kulturalna

Muzyka Romana Palestra

Zaryzykowałbym paradoksalne twierdzenie, że okres tzw. realizmu socjalistycznego odegrał w muzyce polskiej rolę pozytywną. Trwał on na tyle krótko, by nie wywołać, jak się rzecz miała w ZSSR, wyjąłowania grupy czołowych kompozytorów. Za krótko także by „wychować” młode pokolenie w warunkach odcięcia od współczesnej rzeczywistości muzycznej. W zamian za to, już choćby przez swój polityczny kontekst, doprowadził do kompletnej kompromitacji konserwatyzmu i epigonizmu stylistycznego i, na zasadzie reakcji dał impuls do nowych bezkompromisowych poszukiwań. Wyleczył on muzykę polską z całego szeregu mitów wcześniej na niej ciążyących. Z manii folkloryzowania, z obsesji „narodowości” i „swojskości”, ze społecznikowskiego imperatywu prymitywnej „zrozumiałości”. Tych pięć czy sześć lat zupełnej stagnacji dało w rezultacie rozpęd do „mutacyjnego” skoku, który usytuować miał Polskę wśród najważniejszych ośrodków muzyki współczesnej.

Nawet przy dużej dozie optymizmu, trudno było w roku 1956 przewidzieć dalszy rozwój muzyki polskiej. Nastąpiła w minionym dziesięcioleciu prawdziwa eksplozja talentów, których znaczenie przekracza już dziś ramy jakiejś „szkoły narodowej”. Wymienić wystarczy Góreckiego, Pendereckiego, Bairda, Schäffera czy Serockiego. Równocześnie, szereg kompozytorów średniego pokolenia znalazł, dzięki obaleniu rygorów żdanowizmu, możliwość pełnej, nowym językiem operującej, wypowiedzi. Na szczególne podkreślenie zasługuje tu twórczość Lutosławskiego i Szabalskiego. Odrębny nurt stanowią kompozytorzy działający na emigracji. Niekiedy, jak w przypadku Panufnika, Spisaka, Szałowskiego lub Maciejewskiego, pozostali oni w kręgu wcześniej przez siebie uformowanych środków wyrazu. Palester natomiast, podobnie jak Regamey, ściśle związany jest z najnowszymi zdobyczami języka dźwiękowego.

Muzyki Romana Palestra słuchałem po raz pierwszy zaledwie osiem lat temu. Miało to miejsce na II Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Współczesnej, zwanym „Warszawską Jesienią”. Od kilku lat dopiero, odzyskała polska publiczność swobodny kontakt z całokształtem zjawisk współczesności — dlatego też, z wyostrzonym apetytem chłoniliśmy wszystko co szło z Zachodu. W tej atmosferze „doganiania”, pojęcie współczesności było jeszcze dość szerokie. Mieściły się w nim i neoklasycyzm, i dodekafonia, i nownie *stricto sensu* jak muzyka konkretna lub elektro-nowa.

Jednym z ewenementów festiwalu stało się wykonanie IV Symfonii Palestra. Fascynowały w niej zarówno rozrzucone „do białości” emocjonalizm co ascetyczna niemal logika i konsekwencja techniki. Swoista jej romantyka przemówiła językiem zdyscyplinowanym i prawdziwie nowoczesnym, nie tracąc komunikatywności nawet dla mniej, w warunkach krajowych, wyrobionego słuchacza.

Co mówiło mi wtedy nazwisko Palestra? Pokolenie moje wiedziało o nim z dwóch źródeł. Był już poważną pozycją w podręcznikach historii muzyki (Łobaczewska, Reiss) a równocześnie, w zagranicznych programach radiowych, mówił nam o tym, co działo się w dziedzinie sztuki „z drugiej strony”, w świecie niewiele mającym wspólnego — tak z bzdurą oficjalnej propagandy, jak i z anachroniczną wersją wspomnień o międzywojennym dwudziestolecu. Mówił ze zdumiewającą, u kompozytora, wszechstronnością i erudycją. Osobiście, nie zapomnę nigdy audycji, w której, w kilku słowach, streścił i dał mi przecucie genialności beckettowskiego „En attendant Godot”.

Twórczość Romana Palestra naświetlić pragnąłbym w dwóch aspektach. Należałoby zarówno wyznaczyć jej miejsce na tle całokształtu muzyki naszych czasów jak ustalić jej związki z muzyką polską. Szczególną przy tym uwagę poświęcić chciałbym ostatniemu, najmniej polskiemu słuchaczowi znanemu, okresowi jego twórczości — dziełom ostatniego dziesięciolecia. Konieczne wydaje się tu podkreślenie jedynej w swoim rodzaju, kompletnej niemal, izolacji kompozytora od życia muzycznego w kraju. Niewiele bowiem możemy zanotować przypadków podobnego oderwania twórcy tej miary od rodzimego środowiska. Po roku 1950, na palcach policzyć można wykonania jego utworów w Polsce. Grupują się one w latach 1955-58, kiedy to bardziej liberalna orientacja pozwoliła wykonywać Wariacje na orkiestrę czy IV Symfonię. Poza tym, zarówno w okresie stalinowskim, jak i dzisiaj, cały dorobek Palestra znajduje się praktycznie na indeksie, przy czym autorytet policyjnego zakazu zastąpiono, równie sku-

tecznym, jak się wydaje, indywidualnym naciskiem na potencjalnych wykonawców. Odebrano Palestrowi członkostwo Związku Kompozytorów Polskich. Zniszczeniu uległy nakłady pozycji wydanych w Polskim Wydawnictwie Muzycznym, takich jak Requiem, III Kwartet smyczkowy, Sonatina na 4 ręce, Serenada na 2 flety z orkiestrą i td. Doszło nawet do takiego absurdu, jak „pominięcie” nazwiska kompozytora w „Leksykonie kompozytorów XX wieku”. To niebawem osamotnienie tragicznie kontrastuje z pozycją, jaką zajmował on w Polsce w latach 1931-39 oraz tuż po wojnie. Liczne wykonania i edycje jego muzyki, jej prezentacja na międzynarodowych festiwalach szły wtedy w parze z wysokimi funkcjami w muzycznej hierarchii (sekretariat i wiceprezesa Stowarzyszenia Kompozytorów Polskich, prorektorat Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie i in.).

A przy tym, z perspektywy lat, uderza fakt, że dzieło Palestra krystalizuje się w najdojrzałej swej formie właśnie w okresie po opuszczeniu Polski. Osobiście, wiązałbym to z zaadoptowaniem przezeń techniki dodekafonicznej, w szczególności z uwagi na fakt, że jej przejęcie było wynikiem długiej i autonomicznej ewolucji i że wynikało ono w sposób naturalny z szeregu cech wcześniej już w jego muzyce wykrywalnych.

Przypomnijmy najpierw po krótko, w jakim kręgu zainteresowań obracała się wcześniejsza twórczość Palestra. Znany jako bezkompromisowy teoretyk polskiej awangardy — Bogusław Schäffer kwalifikuje go jako „najbardziej w trzydziestych latach awangardowo i technicznie zaawansowanego kompozytora”. Aby w pełni ocenić słuszność tego twierdzenia trzeba uświadomić sobie tę kalejdoskopową mieszanekę tendencji ścierających się w owych latach. Żywe są jeszcze wpływy Debussy’ego i Ravela. Toruje sobie drogę dorobek klasyków dodekafonii, choć nowatorstwo Weberna mniej jest rozumiane niż Schönberga i Berga. Estetyka neoklasyczna „Grupy Sześciu” jest w apogeum swojej atrakcyjności dowodem czego jest akces do niej Igora Strawińskiego. Z kolei, „okres rosyjski” tego ostatniego jak i muzyka Bartóka i Manuela de Falla inspiruje najróżnorodniejsze poszukiwania na bazie muzyki ludowej. Dodajmy jeszcze do tego wpływy Hindemitha, Prokofiewa czy Roussela a będziemy mieli pobeżny przegląd propozycji prezentujących się młodemu kompozytorowi. W Polsce wpływy te uzupełnia i deformuje zarazem, przez swą względną wtórność, indywidualność Karola Szymanowskiego, którego dobór zainteresowań przez długie lata jeszcze warunkować będzie rozwój młodszych kompozytorów.

1. Leksykon kompozytorów XX wieku, red. Bogusław Schäffer, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1965.

2. Muzyka Romana Palestra, Kierunki, 22. XI. 1959, Bogusław Schäffer.

Jak kształtuje się na tym tle ówczesna twórczość Palestra? Ustalić można oczywiście wpływy, fascynacje i odniesienia. On sam mówi o nich tak: „w ostatnich latach studiów w konserwatorium Strawiński, Prokofiew, a nawet Roussel wywarli na mnie większy wpływ niż Szymanowski³”. Nieco później chciałoby się dodać do tego Hindemitha i może w jakimś stopniu Berga. Ale jeśli odnajdujemy wtedy i element folklorystyczny (Taniec z Osmołody, balet „Pieśń o ziemi”) i inspiracje neoklasycyzujące, to od początku uderzają: radykalizm języka dźwiękowego, rygorystyczne traktowanie formy a nade wszystko poszukiwanie elementów własnej ekspresji. Frapuje konsekwencja z jaką kompozytor rozwiązuje postawione sobie problemy warsztatowe. Impo- nuje unikanie powielania raz dokonanych rozwiązań. Z drugiej strony, indywidualność kompozytora strzeże go przed uleganiem wszelkim modom i stylistycznym „tikom”. Czujny na wszystko, co w ówczesnej muzyce było nowe i płodne przyswaja sobie Palester i przetwarza te elementy tylko, które posłużą mu do wypracowania całkowicie oryginalnego języka. Ukoronowaniem tego „pierwszego okresu” są dzieła napisane w czasie lub bezpośrednio po wojnie: Koncert skrzypcowy (1939-41), II Symfonia (1941-42), III Kwartet smyczkowy (1942-44), Serenada na 2 flety z orkiestrą (1946), I Trio smyczkowe (1946) i Requiem (1946-47). Pozwalają one na zdefiniowanie większości cech stylistycznych kompozytora. Silne początkowo zainteresowanie problemami kolorystycznymi (Taniec z Osmołody np.) ustępuje stopniowo miejsca przebiegowi o charakterze bardziej linearnym; kolosalna inwencja fakturalna idzie tu w parze z wciąż wzrastającą precyzją i wyszukaniem formy. Zwraca uwagę silnie rozwinięty element polifoniczny. W ogóle, jeśli chodzi o antynomię polifonia — homofonia, antynomię, charakteryzującą całą muzykę tonalną, to dochodzimy do wniosku, że miała ona dla stylu Palestra szczególne znaczenie. Rozwijając własną technikę stosunków współbrzmieniowych, dokonuje on syntezy, wyważającej w wysoce indywidualny sposób proporcje między jednostkowym brzmieniem pionu (akordu) a wymogami samodzielnego rozwoju poszczególnych głosów. Mamy tu do czynienia z tym samym problemem, który, na gruncie diatoniki charakteryzował m.in. muzykę barokową, w szczególności w ostatecznym kształcie nadanym jej przez Bacha. Ewolucja Palestra jednakże idzie w kierunku odwrotu od tonalności i tu szukać należy jednego ze źródeł przejścia dodekafonii. System serialny jest bowiem jedyną, znaną dotychczas koncepcją sprowadzającą do wspólnego mianow-

3. Tadeusz Kaczyński, Rozmowa z Romanem Palestrem, Ruch Muzyczny, Warszawa.

nika współbrzmienie i następstwo dźwięków. Jednym z najsilniej osobistych elementów muzyki Palestra jest jego melodyka. Łatwo, już we wcześniejszych utworach odnaleźć w niej „odciski palców” autora. Cechuje ją długa linia, kontrastowe „unerwienie” rytmiczne i duże skoki interwałowe. Trudno tu zresztą mówić o melodii w klasycznym sensie. Nie szuka ona zamkniętej w regularnych okresach charakterystyczności i chwytliwości. Jest to raczej linia — ekspresja, chętnie wykorzystująca wariacyjne przekształcanie motywów. Unika ona konwencjonalnych zwrotów i tonalnych ośrodków ciężenia, stanowiąc w ten sposób inny element „predodekafoniczny” (np. III część III Kwartetu).

Nie bez związku, zapewne, z przeżyciami lat wojennych intensyfikuje się w tym okresie element emocjonalny. Chciałoby się mówić tu o romantyzmie lub nawet ekspresjonizmie, pod warunkiem, że rozumieć będziemy te pojęcia na płaszczyźnie dyspozycji psychicznych a nie, konkretnych odniesień stylistycznych. Świadczą o tym dobitnie utwory takie jak Requiem czy II Symfonia. Emocjonalizm i dramatyzm są zresztą już przedtem kapitalnym rysem Palestra. W utworach neoklasycyzacyjnej proweniencji rozsądza on często ich estetyczne ramy i w konflikt popada z obroną konwencji.

„To była obiegowa moneta pewnej epoki (...). Wątpię czy są jacyś kompozytorzy mojej generacji, którzy by w takiej czy innej formie nie zapłacili haraczu neoklasycyzmu. Niektórzy utkwili w tym nawet po dziś dzień — czego nie zazdrozczę”. Tak oto reasumuje Palester swój stosunek do neoklasycyzmu (w arcyckawym wywiadzie, który „przeszedł” w „Ruchu Muzycznym”).

Dzieła napisane po roku 1950 a nawet wcześniej (Kantata „Wisła” — 1948) cechuje radykalny zwrot w stronę atonalności. Początkowo ma ona charakter swobodny. Eliminacji ulegają napięcia o charakterze dominantowo-tonicznym, unika kompozytor dźwięków — osi (*notes — pivots*) mogących wywoływać tonalne skojarzenia. Zanika konsonansowy trójdźwięk i rzadsze stają się akordy o strukturze tercjowej; dzieje się to na rzecz nawarstwień sekundowych i kwartowych. W dziedzinie melodyki zauważać się daje wzrastająca rola interwałów septymy i nony. Komplikuje się organizacja metro-rytmiczna, która poprzez zmienność i różnorodność oznaczeń taktowych, swobodne przemieszczanie akcentów metrycznych i, dawniej już istniejące, zamiłowanie do polirytmii, dążyć będzie ku beztaktowości. Co za tym idzie, zlikwidowany zostaje, obecny we wcześniejszych kompozycjach czynnik motoryczny. Ewolucję tę możemy prześledzić na utworach takich, jak I Trio smyczkowe (1946), Sinfonietta na orkiestrę kameralną, Kantata „Wisła” (1948), III i

IV Symfonia (1950 i 1951), Sonety do Orfeusza (1952), Adagio na smyczki (1954), Passacaglia na orkiestrę (1953), Preludia na fortepian (1954).

Szczególną uwagę pragnę zwrócić na podane daty. Pamiętajmy, że okres ten jest u kompozytorów w kraju okresem zastoju. Nie będę się tu rozwodził nad skutkami obowiązującej wówczas doktryny realizmu socjalistycznego. Faktem jest, że jej skrajnie konserwatywny charakter, idący w parze z atmosferą państwowego mecenatu (dla posłusznych), dał w efekcie dzieła eklektyczne, kompromisowe, często po prostu kompromitujące. I wtedy właśnie, w warunkach emigracyjnych, z trudem na pełną koncentrację twórczą pozwalających, tworzy Palester muzykę, której współczesny język służy po mistrzowsku realizacji jego indywidualności.

Klasa tego rodzaju osiągnąć byłąby u niejednego twórcy przyczyną hamującą dalszy rozwój języka muzycznego. Mogłaby upoważniać ona do bardziej imponujących liczbowo rozpracowań, do reprodukcji własnych wzorów, które za cenę pewnej wtórności, starczyłyby na dziesiątki dalszych pozycji. Nic jednak nie wydaje się bardziej sprzeczne z estetycznym programem Romana Palestra. Twórczość jego, w której, dla uzyskania większej klarowności, staramy się wyróżnić pewne okresy, nie wykazuje nagłych, „rewolucyjnych” skoków. Idzie natomiast po linii ciągłego rozwoju. Dlatego też, pragnąc położyć nacisk na ważkość i konsekwencje zaadoptowania techniki dwunastotonowej, starałem się zwrócić uwagę na te elementy, które logicznie w jego muzyce do dodekafonii prowadziły.

Nie jest już dziś dodekafonia ani probierzem awangardyzmu, ani ekskluzywną receptą pozwalającą na nową, „totalną” organizację dźwięku i muzycznego czasu. Jest po prostu systemem w podobnym sensie, w jakim przez stulecia była diatonika. I jeżeli, w przeciwieństwie do tej ostatniej, nie stała się ona bazą strukturalną całokształtu zjawisk muzycznych naszych czasów, to miano „systemu” przysługuje jej już choćby z uwagi na fakt, że od czterdziestu przeszło lat jest techniką żywą, rozwijającą się i użyteczną dla twórców o diametralnie różnych stylach, temperamentach i postawach estetycznych (Berg i Webern, Dallapiccola i Boulez). Wartość jej polega między innymi na zdolności do ulegania transformacji i destrukcji (czym w końcu był rozwój muzyki tonalnej, jak nie ciągłym rozkładem i rozsadzaniem rygorystycznego systemu?). Kapitalne jest przeanalizowanie, w jakim stopniu elementy myślenia serialnego wtopiły się w język kompozytorów piszących niedodekafonicznie (Bartók, Messiaen, Lułławski).

System dwunastotonowy odegrał w Polsce dość zredukowaną rolę. Historyka zdumiewać będzie fakt, że w okresie przedwojennym

nym nie było u nas kompozytora (z wyjątkiem przedwcześnie zmarłego Józefa Kofflera), który przejąłby go. Znamienna jest wtedy dysproporcja między atrakcyjnością wszystkiego co szło z Paryża, a niezdolnością do przetrwania dorobku szkoły wiedeńskiej. Oficjalna, konserwatoryjna doktryna traktowała dodekafonię w sposób marginesowo-poklepujący. Uważano ją co najwyżej za ciekawostkę, zarzucano cerebralność i automatyzm. Ukuto nawet teorię, w myśl której nie odpowiadała ona „słowiańskiemu temperamentowi”. Na skutek wojny i okresu socrealizmu, przedwójny ten stan rzeczy trwał aż do początku lat pięćdziesiątych. Reakcja, która nastąpiła wówczas spowodowała, że szereg kompozytorów zwrócił się nagle ku serializmowi. I tak — Baird, Schäffer, Szabelski, Górecki i in. tworzą dzieła bądź całkowicie serialne, bądź techniką tą, w mniejszej lub większej mierze zainspirowane. Często przejęte zostały tylko powierzchowne jej cechy (np. w postaci dwunastodźwiękowych tematów). Odnosi się też wrażenie, że niekiedy, chodziło raczej o eksperyment, o dorzucenie nowego elementu do całego wachlarza technik.

Jeżeli w przypadku Palestra odegrała dodekafonia szczególną rolę, to dlatego, że na jej gruncie zrealizował on pełną syntezę właściwego mu emocjonalizmu z klarowną i konsekwentną koncepcją formy. Rygor i logika ale nie wydumany konstruktywizm, kolosalna siła wyrazu ale nigdy „bebechowość” — przywodzi to w jakiś sposób na myśl postawę estetyczną Chopina. Tym też tłumaczyć należy, częściowo, wolne stosunkowo tempo produkcji kompozytora.

Wymagało to oczywiście nakreślenia granic w jakich serializm miał być mu użyteczny. On sam określa je następująco:

„Na temat dodekafonii i serializmu napisano już całe Himalaje papieru, ale widocznie ci co o tym najwymowniej piszą mają mało do czynienia z warsztatem kompozytora, skoro tak niewiele się mówi o najbardziej zasadniczych przemianach wywołanych przez rewolucję serialną. Na przykład: kompletna zmiana podstawowej, niejako „semantycznej” wartości dźwięku w samym sobie, następnie zmiana znaczenia interwału jako czynnika formotwórczego. Albo bardzo konkretny w praktyce przewrót w dziedzinie pojęcia „czasu muzycznego”. Albo na przykład problem serii i tematu. Wiem, że cały szereg moich kolegów nie zdaje sobie nawet sprawy, że pisze muzykę atematyczną, a przecież moglibyśmy im to udowodnić z partyturami w rękę. Za to bez końca pisze się o punktualizmie, który jest objawem całkowicie drugorzędny i nie ma większego znaczenia jak pointyizm Seurat'a dla całości impresjonizmu — lub o „serializacji integralnej”, która jest tworem całkowicie arbitralnym i nie wyrasta, jak dodekafonia, z owej żelaznej logiki narzuconej przez historię (...). Istnieją dwie dodekafonie. Jedna — znajdująca dziś codzienne zastosowanie w warsztatach kompozytorskich pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, i druga — skodyfikowana w niezliczonej ilości publikacji, przemądra i pełna „propozycji” ale niewiele mająca wspólnego z muzyką⁴¹.”

4. Cytowana już rozmowa z Kaczyńskim w „Ruchu Muzycznym”.

Wypowiedź powyższa definiuje znakomicie dodekafoniczne credo Palestra. Istotnie, nic nie wydaje się dalsze od specyfiki jego inwencji niż punktualistyczne zgęszczenie czasu w kilkusekundowych mikrostrukturach. Jego czas organizuje na zupełnie innej zasadzie. Gdy np. u Weberna kilkuminutowa kompozycja jest już tworem niezmiernie złożonym i w konsekwencji „wydłuża” słuchaczowi subiektywne poczucie czasu, to u Palestra jego 20 minut IV Symfonii czy 14 minut Varianti per 2 pianoforti zdają się przyspieszać bieg wskazówek zegara. Dzieje się to za sprawą zarówno wyważenia proporcji poszczególnych elementów jak i wskutek typowej „długooddechowości” inwencji. Nie akceptuje też Palester „serializmu integralnego”. Serii używa on tam, gdzie ma ona pokrycie w konkretnej rzeczywistości akustycznej⁵. Nic bowiem, jego zdaniem, nie upoważnia do wyselekcjonowania dwunastu różnych elementów czasu trwania dynamiki, barwy czy artykulacji poprzez analogię do dwunastu dźwięków skali chromatycznej. Praktyka zresztą potwierdza tę opinię. Słyszenie nasze przywykło do odbierania dźwięku muzycznego poprzez pryzmat następstwa dwunastu półtonów. Co więcej, stanowi ono podświadomy system odniesień w analizie występujących w muzyce szmerów. W przypadku innych niż wysokość charakterystyk dźwięku-podobna schematyzacja słyszenia nie istnieje. Tym chyba wyjaśniać należy fakt, że Palester, który nigdy „eksperymentu dla eksperymentu” nie uprawiał odcina się od wszelkich prób dalej posuniętej serializacji.

Skoro już padło słowo eksperyment, zastanówmy się jak rysuje się najnowsza twórczość Palestra na tle uprawiającej go muzyki awangardowej.

Samo już pojęcie eksperymentu jest w historii muzyki czymś nowym. Wskazuje ono na to, że klasyczne pojęcie nowatorstwa zaczyna sytuować się na innym planie. Dotychczas, wprowadzanie nowego języka dźwiękowego odbywało się na marginesie niejako określonych dzieł, pomyślanych jako wartości same w sobie. Eksperyment — kategorię właściwą nauce, cechuje na terenie muzyki świadome i „na wyrost” poszerzenie możliwości organizacji dźwięków i ich percepcji. I choć wątpliwe jest, by tego rodzaju specjalizacja wyrugować miała całkiem bardziej spontaniczne formy nowatorstwa, jej wkład w formowanie nowej muzyki jest niezaprzeczalny. Świadczy o tym np. wpływ jaki wywarły na warsztat współczesnego kompozytora propozycje raczej niż konkretne utwory takiego Johna Cage'a czy Pierre Schaeffer'a.

Pociąga to za sobą pewną „dwustopniowość” hierarchii twórczej. Kompozytorom, u których potrzeba indywidualnej wypo-

5. Konkretnej przynajmniej w systemie temperowanym.

wiedzi i bardziej spersonalizowanego stylu góruje nad pasją eksperymentatorską, przypada w udziale dokonanie wyboru i „usprawiedliwienie” narastającego arsenału środków. Postawa taka charakteryzuje dzieło Romana Palestra. Sztuka jego jest sztuką wyboru i poprzez wybór właśnie osiąga wymiar oryginalności i nowości.

Strawiński powiedział kiedyś, że kompozytor powinien jak jabłoń owocować raz do roku. Tak się składa, że twórczość Palestra w ostatnim dziesięcioleciu odpowiada z grubsza temu rytmowi. Mamy tu do czynienia z dziełami nie mającymi stylistycznego odpowiednika w muzyce polskiej. Wymieńmy je: Concertino na klawesyn, Study 58 na małą orkiestrę, Pieśni do tekstów Słowackiego, Wariacje na fortepian, Piccolo concerto na ork. kameralną, Sonata na ork. smyczkową, II Trio smyczkowe, „Śmierć Don Juana” (akcja muzyczna w I akcie), Varianti na 2 fortepiany. Każdy z tych utworów zasługiwałby na odrębne studium analityczne, pozwalające ocenić techniczną złożoność i uniwersalizm ich języka dźwiękowego.

Rozmiarami i znaczeniem góruje nad nimi „Śmierć Don Juana”. Mamy tu niewątpliwie do czynienia z jedną z najoryginalniejszych realizacji teatru operowego naszych czasów.

Zanim jednak przystąpił kompozytor do pracy nad „Śmiercią Don Juana” miał już w swym dorobku liczne doświadczenia muzyczno-teatralne. Nie zapominajmy, że jest on autorem muzyki do kilkudziesięciu sztuk teatralnych i filmów i że gatunek ten uprawiał przez blisko dwadzieścia lat. Pracował on wtedy nad dziełami o niesłychanie różnorodnym wachlarzu stylistycznym i zetknął się z najwybitniejszymi reżyserami i teatrologami polskimi. Tego rodzaju „użytkowa” praktyka stanowić musiała dla kompozytora doskonałą szkołę teatru, jako że z dala od konwencjonalnej operowej sztampy dysponował on swojego rodzaju laboratorium pozwalającym prześledzić mechanizm zależności między dźwiękiem a słowem i scenicznym efektem.

Pierwszym wszelako autonomicznym dziełem teatralnym był napisany w roku 1937, na zamówienie Polskiego Baletu Reprezentacyjnego, balet „Pieśń o ziemi”. Zwraca uwagę fakt, że, pomimo jego wielkiego powodzenia, kompozytor do form baletowych nie wrócił. Natomiast w latach wojennych pracuje on nad operą „Żywe kamienie” (do tekstu własnego wg. Berenta). Opera ta, wzmiankowana przez szereg źródeł⁶ a więc zapewne niedaleka ukończenia, nigdy nie została wykonana, wydana, lub w jakiegokolwiek formie przez twórcę zaakceptowana. Wnosić na-

6. Stefania Łobaczewska — *Tablice do historii muzyki*, Polskie Wyd. Muz., Kraków. Józef Reiss — *Najpiękniejsza jest muzyka polska*, Polskie Wyd. Muz., Kraków.

leżałoby więc, że jego założenia estetyczne uległy w międzyczasie daleko idącej ewolucji.

Dopiero piętnaście lat później podejmuje Palester pracę nad dziełem operowym opartym na fragmencie misterium dramatycznego Oskara V. Miłosza — „Miguel Mañara”. Ukazuje on Don Juana jako starca-zakonnika, medytującego nad swoim życiem i dokonującego, w obliczu śmierci, ostatecznego rozrachunku z przeszłością. Urzekająca poetyka, klimat emocjonalny i filozoficzny utworu a także wielka jego „muzyczność” były na tyle kompozytorowi bliskie, że pozwoliły na syntezę o rzadkiej spoiwości elementu literackiego z muzyką. „Śmierć Don Juana” nosi w podtytule określenie *action en musique*. Tkwi w nim cały program odmiennie ustawiający rolę i hierarchię elementów w porównaniu z operą czy dramatem muzycznym. Muzyka w równym co tekst stopniu jest tu czynnikiem determinującym energetykę rozwojową i formę sceniczną. Stwarzają się one na planie dźwiękowym ograniczając w ten sposób funkcję anegdotyczną tekstu na rzecz jego poetyki. W konsekwencji, nie ma tu miejsca ani na tradycyjne schematy muzyki operowej (aria, recytatyw etc.) ani na amorfie formalną wynikającą z przydzielenia muzyce roli służebnej. Jednostką konstrukcyjną jest „scena”, pomyślana jako ściśle skonstruowany utwór muzyczny. Na osobną uwagę zasługuje stro-na wokalna dzieła. Osiąga tu Palester równowagę trzech zasadniczych czynników — śpiewu, „Schprechgesangu” i narracji. W partiach śpiewanych uderza wielkie znawstwo w operowaniu głosem. Przejawia się ono w takim prowadzeniu linii melodycznej, które, pomimo właściwych dodekafonii problemów intonacyjnych, daje wrażenie, wielkiej naturalności wokalnej. Tego rodzaju faktura „na głos” a nie „przeciw głosowi” pozwala wykonawcy na pełniejszą koncentrację nad ekspresją muzyki i może mieć wielkie znaczenie dla dalszych losów scenicznych dzieła. Fakturze też zawdzięcza utwór nieczęstą w muzyce wokalnej „rozumiałość” tekstu. Jeśli chodzi o narrację, to nigdy nie wywołuje ona wrażenia sztucznej, mówionej wstawki. Nie służy, jak w wielu operach, sprawnemu „popychaniu akcji”; eksponuje natomiast poezję tam, gdzie obywa się ona bez muzyki. Znaczna autonomia przyznana jest chórowi i orkiestrze. Oprócz bowiem siedmiu scen mamy w „Śmierci Don Juana” dwie „parabazy” chóralne i trzy dłuższe fragmenty symfoniczne (te ostatnie istnieją też zresztą w wersji koncertowej).

Niniejsze pobieżne uwagi na marginesie partytury „Śmierci Don Juana” nie wyczerpują oczywiście bogactwa problematyki w niej zawartej. Nie powinny też przesłonić one zasadniczej cechy dzieła jaką jest niezwykła jego siła wyrazu. Już we wcześniejszych utworach Palestra zadziwiła charakterystyczna symbioza głębo-

kiego emocjonalizmu ze współczesną i całkowicie indywidualną techniką kompozytorską. To, że odnajdujemy ją także w formie operowej, gdzie na ogół łatwiej jest o koncesję i kompromisy estetyczne, pozwala zaliczyć „Śmierć Don Juana” do szczytowych osiągnięć kompozytora.

Losy tej, ukończonej przed pięciu laty, partytury są po dzień dosyć pechowe. W roku 1962 otrzymała ona I-szą nagrodę na konkursie włoskiej sekcji *Société Internationale de Musique Contemporaine*, w wyniku którego, pierwszej realizacji scenicznej dokonać miała opera w Bergamo. W międzyczasie jednak, instytucja ta zawiesiła swoją działalność na skutek ciągnącej się od kilku lat przebudowy gmachu, co nie przeszkodziło organizatorom konkursu w zachowaniu przez pewien czas prawa pierwszego wykonania. Należy w końcu spodziewać się tej prapremiery w nadchodzącym sezonie, tym bardziej, że tegoroczne wydanie utworu nakładem mediolańskiej firmy Suvini-Zerboni udostępni go innym wykonawcom. Wykonano natomiast „Śmierć Don Juana” w wersji estradowej, w radio belgijskim. Podjął się tego wybitny tamtejszy dyrygent i propagator muzyki Palestra — Franz André. Entuzjastyczne przyjęcie publiczności i krytyki z Jacques Stehmanem na czele wykazało, że, nawet zubożone o całą magię sceny, zachowuje dzieło wszystkie cechy decydujące o jego oryginalności.

Pozwolę tu sobie na małą dygresję. Upłynie niedługo rok od inauguracji Teatru Wielkiego w Warszawie. Ze zmiennym szczęściem montuje jego dyrekcja repertuar tej reprezentacyjnej polskiej sceny operowej. Z natury rzeczy powinien on zawierać pokazną ilość pozycji kompozytorów polskich. I tu odczuć się daje wielkie ubóstwo naszej literatury operowej. Poza Moniuszką, którego ograniczona i wciąż blednąca atrakcyjność nigdy właściwie nie wykroczyła poza granice Polski, jedyną operą, mogącą wzbudzić zainteresowanie jest „Król Roger” Szymanowskiego. Jeszcze większa posucha panuje w repertuarze współczesnym. Streszcza się on do problematycznej wartości utworów Szeligowskiego („Bunt Zaków”, „Krakatak”), nieznanego mi „Cyrano de Bergerac” Romualda Twardowskiego i zapowiedzianej opery Bairda „Jutro”. Należy w tej sytuacji postawić pytanie — jak długo względy natury pozamuzycznej uniemożliwiać będą dziełu tej miary co „Śmierć Don Juana” wejście na polską scenę?

W roku 1963 pisze Palester utwór wnoszący element nowy w jego muzyce. Są to „Varianti” na 2 fortepiany. Piszący te słowa miał okazję poznać je szczególnie dokładnie, jako współwykonawca pierwszego⁷ i szeregu dalszych wykonań. Pozwoliło mu to nie tylko na wniknięcie w materię dźwiękową kompozycji, ida-

7. Paryż, 14. III. 1964, wraz z Joanną Wojtal.

ce dalej niż normalna, teoretyczna analiza, lecz także na uświadomienie sobie — ku jak kapitalnemu wzbogaceniu strukturalnemu ewoluuje styl kompozytora.

Varianti, których pianistyczna faktura przypomina nieco wcześniejsze Wariacje na fortepian (1957), przeciwstawiają dwie koncepcje formowania materiału dźwiękowego. Pierwsza z nich — tradycyjna, nazwijmy ją „zamkniętą”, reprezentowana jest przez temat, interludium i codę. Tekst jest tu „normalnie” ustalony, tak w odrębnej partii poszczególnych instrumentów jak pod względem pionowego ich współbrzmienia. Koncepcję przeciwstawną, „otwartą” stanowią wariacje wplatające się pomiędzy trzy wymienione ogniwa. Każdy z wykonawców dysponuje czterema odrębnymi, wariacyjnymi tekstami, również w ramach jego partii definitywnie ustalonymi. Na bazie tej jednak przynajmniej kompozytor wykonawcom cały szereg swobód. Primo: każda wariacja I-go fortepianu może być wykonana z którąkolwiek wariacją drugiego; daje to 16 kombinacji, spośród których wykonawcy wybierają dowolną ilość (optymalnie 4-8) i nie są nawet zobowiązani do wyzyskania wszystkich tekstów. Secundo: elementy składające się na koncepcję interpretacyjną, jak tempo, artykulacja, dynamika i td., pozostawione są uznaniu interpretatorów. Tertio: rozluźniona zostaje struktura wertykalna — poszczególne wariacje są wprawdzie jednakowej długości, ale obowiązek ścisłej synchronizacji wyznaczony jest tylko w kilku określonych miejscach. W rezultacie osiąga Palester wielką dynamizację konstrukcji utworu, którego ostateczna forma dźwiękowa zmienia się w zależności od wykonawców a nawet z wykonania na wykonanie. Ponieważ wiadomo mi, że podobnej techniki używa on w pisanim aktualnie utworze symfonicznym, wnosić należy, że mamy tu do czynienia z nową komponentą wzbogacającą jego język.

Zastanowić się warto więc, w jakim stosunku pozostaje użyta w Varianti metoda do koncepcji tzw. muzyki aleatorycznej. W swojej najczystszej formie, zainicjowanej przez Johna Cage'a zakłada ona wprowadzenie elementu przypadku do procesu twórczego i odtwórstwa. Notacja utworu determinuje w przybliżeniu tylko jego przebieg, wszelkie konwencje formalne ulegają eliminacji a wykonawca staje się współtwórcą. W skrajnych przypadkach może on grać „cokolwiek” (Cage — Koncert fortepianowy) a nawet zgoła nic (Cage — 4'31", tacet na instrument lub grupę instrumentów). Jeżeli jednak konsekwentnie aplikowana teoria nie dała (i nie wiadomo czy dać chciała...) dzieł mogących liczyć na przetrwanie, to spowodowała ona szereg konsekwencji na planie estetycznym jak i technicznym. Po pierwsze: na zasadzie prowokacji uwidoczniła relatywność doboru elementów muzyki ustalanych przez kompozytora, po wtóre, na zasadzie reakcji,

zmusiła do zróżnicowania zapisu w zależności od tego doboru. Trudno zresztą w tej chwili ocenić — w jakim stopniu wywarła ona wpływ na kompozytorów takich jak Stockhausen czy Nono a w jakim jest po prostu ekstremistycznym wyrazem dążeń właściwych epoce. Jeśli chodzi o Varianti to termin aleatoryzmu pasuje do nich tylko w bardzo poszerzonym sensie. Mają z nim wspólną względność ostatecznego rezultatu dźwiękowego, jego uzależnienie od twórczego współdziałania wykonawców a także, w pewnym stopniu, odwrót od automatyzmu pionowej, „partyturowej” lektury. Nigdy wszakże nie przekracza kompozytor granicy, poza którą nie byłby w stanie przewidzieć ogółu możliwych rozwiązań. Idzie to zresztą po linii jego estetyki, której kult precyzji dopuścić może przypadkowość świadomie kontrolowaną, lecz rezygnuje z niej w wypadku, gdy staje się abdykacją kompozytora.

Kończąc niniejsze rozważania pragnąłbym zastanowić się — czy, i w jakim stopniu da się już usytuować muzykę Palestra na tle muzyki naszych czasów. Nie jest to zadanie łatwe, już choćby dlatego, że dzieło kompozytora znajdującego się w zenicie sił twórczych nie jest bynajmniej czymś zamkniętym. Styl jego rozwija się w szybkim tempie, właściwym ewolucji dzisiejszej muzyki. Ponadto, nie reprezentując żadnej określonej szkoły i nie hołdując żadnej doktrynie czy teorii *en vogue*, wymyka się on wszelkim próbom automatycznego zaszeregowania. Zresztą, poza deklaracjami, estetycznymi programami i teoretycznymi uzasadnieniami samych kompozytorów, nie mamy na razie kryteriów pozwalających na systematyczne rozeznanie w nowej muzyce. Jest bardzo prawdopodobne, że perspektywa czasu złagodzi wrażenie mnogości współistniejących tendencji. Teraz już przecież obserwujemy podobny fenomen w stosunku do kompozytorów, takich jak Ravel, Prokofiew, Hindemith czy wcześniejszy Strawiński. Zacierać się zwolna zaczyna ostrość dzielących ich różnic warsztatowych. Pozostają natomiast różnice indywidualności tego mniej więcej rzędu co między Haydnem a Mozartem.

W przypadku Palestra uderza mnie zarówno element ciągłego rozwoju co wielka jednolitość jego twórczości. Niezależnie od daleko idących przemian, którym uległ język od napisanej w 1930 roku Muzyki symfonicznej po najnowsze utwory, z łatwością da się rozpoznać jego indywidualność w każdej technice jaką stosuje. Pod tym względem dałoby się przeprowadzić analogię z Igozem Strawińskim, z tą jednak różnicą, że Strawiński zachowuje cechy dla niego charakterystyczne przy częstych, raptownych skokach stylistycznych; twórczość Palestra natomiast rysuje się jako jedna linia rozwojowa. Podobnie rozpiętego w czasie rozwoju nie notujemy u żadnego innego polskiego kompozytora i tylko tragicz-

nym okolicznościom dziejowym przypisać należy, że zabrakło w Polsce Palestra jako przewodcy nowej muzyki.

Pewne wydaje się jednak, że historia zaliczy jego twórczość do szczytowych osiągnięć muzyki polskiej i nada jego dziełu walor ponadczasowy.

Jerzy GAJEK

BIBLIOTEKA "KULTURY"

SERIA "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT DZIESIĄTY

(Wrzesień 1966)

zawiera m.in. prace:

Wacława LEDNICKIEGO: *Rosyjsko-Polska Entente Cordiale 1903-1905.*

Wacława JĘDRZEJEWICZA: *Wojna przewencyjna z Niemcami.*

Edwarda PUACZA: *Powstanie Warszawskie w Protokółach PKWN.*
oraz działy: RECENZJI I POLEMIK.

Str. 240

Cena 15 F (22/-; dol. 3.00)

PRENUMERATORÓW „ZESZYTÓW” PROSIMY O ODNAWIANIE ABONAMENTU NA ROK 1967 RAZEM Z ODNAWIANIEM ABONAMENTU „KULTURY”.

Trybuna W. A. Z.

Nowe pokolenie puka do drzwi

W Zachodniej Europie istnieje jaskrawy rów, który dzieli ludzi w wieku lat 30-u, i poniżej, od starszych. Ci co mają 30 lat lub mniej, już nie pamiętają z własnej percepcji wojny i jej okropności. Zapewne, opowiadania rodziców mogą niekiedy urazy epoki wojennej, czy nawet sprzed 1939 roku, utrwalić. W Rosji tę granicę trzydziestu lat trzeba zapewne obniżyć. Dla Rosjan między jedną erą a drugą był nie tyle koniec wojny, co koniec terroru stalinowskiego, powrót milionów ludzi z łagrów.

Ci co wierzą we Freuda, w silny wpływ lat niemowlęcych, czy nawet w łonie matki, na późniejszą osobowość — a po trosze do nich należę — będą starać się znaleźć antynomie między dzisiejszymi trzydziestolatkami, a dwudziestolatkami, pierwszym pokoleniem już wchodzącym w życie, które już nigdy, nawet jako foetus, nie słyszało huków bomb, nie znało schronów, nie znało tragedii wojny i okupacji, nie odczuło głodu. Między poszczególnymi krajami Zachodniej Europy zachodzą różnice. W Szwajcarii, w Skandynawii okropności wojny były mniejsze. W Niemczech okres niedostatku zakończył się dopiero w latach 1948-9, z reformą walutową, pomocą Marshalla i faktycznym zakończeniem reżymu okupacyjnego w NRF. W Polsce, w innych krajach satelickich, trzeba by zaczekać do drugiej połowy ubiegłej dekady, by dojrzeć pierwsze jaskółki tego, co Amerykanie nazywają *normalcy*.

Ale we Francji dojscie do pełnoletności rocznika 1946 jest wypadkiem przełomowym. Rocznik ten jest o jedną trzecią LICZNIEJSZY od swych poprzedników: od roku 1930 do 1945 liczba urodzeń mało co przekraczała 600 tysięcy, a w roku najgorszym, 1941, następnym po klęsce, spadła nawet do 550 tysięcy. A w roku 1946 cyfra urodzeń we Francji już skoczyła do 800 tysięcy z hakiem, i odtąd utrzymała się na tym poziomie. To pokolenie 20-latków już spowodowało rewolucję w szkolnictwie powszechnym, w szkolnictwie średnim, teraz rozsadza stare formy francuskiego

szkolnictwa wyższego. To pokolenie już wywołało rewolucję w rozrywkach — sport, muzyka yé-yé, let-kiss etc.; w strojach — mini-jupe, włosy po szyję dla chłopców, pantalone i shorty dla dziewczyn; w moralności seksualnej, w przestępczości, w wyborze zawodu, w pasji do samochodu, w umiłowaniu podróży. Za rok to pokolenie zacznie głosować. Zrazu wpływ będzie niewielki. Ale za 5 lat będzie już cztery miliony młodych wyborców generacji powojennej. W dziedzinie polityki, ustroju, ekonomii, to młode pokolenie tak dynamiczne, tak światoburcze, tak pewne siebie, nie miałyby zaznaczyć swej indywidualności? Niech wierzy w to, kto chce: ja to w każdym razie między bajki włożę.

Jako niezaangażowany analista polityczny i ekonomiczny, chciałbym postawić horoskop dla tej młodzieży. Do tek ministerialnych, do bezpośredniego wpływu, do którego można przylepić nazwiska, młodzież ta nie dojdzie przed rokiem 1985: w krajach dojrzałych, normalnych, kariery młokosów à la B. Piasecki w Polsce Rydza są nie do pomyślenia, i słusznie, bo rządy młodziaków, bez żadnego doświadczenia, bez wyrobienia muszą być zawsze szkodliwe, a często niebezpieczne. Ale nie tylko ministrowie, nie tylko posłowie do parlamentów wywierają wpływ.

Pokolenie dwudziestolatków będzie cechować to wszystko, co już cechuje tych co mają od 30-u do 20-u lat, ale zaostrzeniem konturów. Będzie to pokolenie optymistyczne. Od 20 lat ci młodzi konstatują, że domów i mieszkań przybywa, że wygody i komfort stają się bardziej rozpowszechnione, widzą samych siebie coraz lepiej ubranych, obutych, wyżywionych. Wielu pamięta, że ich rodzice nieraz snuli czarne horoskopy, obawiali się to wojny, to bezrobocia, to wielu innych katastrof, i stwierdza, że te ponure przepowiednie i przewidywania nigdy się nie sprawdziły. Wielu już w bardzo młodym wieku zaznało wakacyj na wsi, w górach, nad morzem, czy zagranicą. Ogromny procent od najwcześniejszej młodości korzystał z papy samochodu, motocykla, ciężarówki czy traktoru. Gazeta, radio, wreszcie telewizja towarzyszą im od lat. Dlaczego ta młodzież nie miałyby widzieć *la vie en rose*, nie uwierzyć że stoimy u progu wieku złotego, że każda trudność można rozwiązać, i że krakanie — to nieszkodliwa mania ramolów i malkontentów?

Drugi punkt: z konieczności ta młodzież jest dużo bardziej samodzielna, i dużo bardziej skłonna do życia gromadnego. Coraz wyższy procent dorastającej dzisiaj młodzieży pochodzi z miast, i to z olbrzymich bloków, gdzie zabawa we wspólnym kindergartenie, czy na wspólnym boisku była zawsze naturalna. Zapewne, w Anglii jeszcze tkwią zakazy zaglądania za żywopłot sąsiadów, ale Anglia jest wyjątkiem; zresztą tam również dawne zawołanie *My home is my castle* codzien trochę błędnie. Ta młodzież jest też dużo bardziej zdana na siebie. Mamusie pracują coraz liczniej, coraz częściej, coraz dłużej, i to nie tylko w sferach robotniczych, ale i mieszczańskich, inteligenckich, burżuazyjnych. Starsze dzieci już od wieku lat 10-u muszą biegać za *babysitter*ów młodszego rodzeństwa. W tej Europie omal

powszechnej pracy, smyki i podlotki muszą biegać do sklepików po zakupy, pomagać w sprzątanii, w myciu statków, w gotowaniu nawet. Typ mamin synka, nad którym się wszyscy trzęsą, rozleniwionego i rozbastwionego, zanika. Zanikają też snobizmy, albo raczej — ponieważ snobizm jest wieczny — przybierają nowe kształty. Któż może się chełpić służbą, której nie ma, saloniem czy pokojem jadalnym, który przysparza tyle kłopotów? Za to dzieci będą z nonszalancją opowiadać, jaki tatuś ma samochód i ile krajów zwiedzono w czasie wakacyj. Będą z wyższością spoglądać na kolegów, którzy w domu nie mają telewizji.

Praca rodziców sprawia, że kontrola tych młodych była dużo mniejsza, często zbyt luźna. Daje to korzyści: więcej inicjatywy, więcej zaradności, więcej wiary we własne siły, więcej odwagi. Ale są i minusy. Ta młodzież nie lubi ani uwag, ani rad, ani pouczeń. Jest niezależna od rodziców, wychowuje się sama, odrzuca wszystkie autorytety. Jest notorycznie mało wychowana, jej maniery są fatalne. Ma niezmiernie mało autentycznych zainteresowań intelektualnych, artystycznych, humanistycznych. Wszyscy pamiętają rekordy atletyczne, mecze World Cup w footballu pasjonują młodzież obojga płci, ale znajomość łaciny i literatury klasycznej, mitologii czy sztuki jest minimalna. Całe nastawienie tej młodzieży jest utylitarne i praktyczne. *Science-fiction* ma niezliczonych wyznawców, a loty „Gemini”, niezależnie od ich numerów, zajęły w sercach i w umysłach tej młodzieży to miejsce, które zajmowała poezja czy teatr w epoce Młodej Polski, czy Marksizm nieco później. Zapewne, ekonomika trzyma się jeszcze wspaniale w porównaniu z prawem, które dzisiaj wywołuje tylko ziewania.

Dzisiejsza młodzież nie ma nic z antyklerykalizmu początków stulecia, ale także dziwnie mało ferworu, mało też wiary, by życie czy przeżycia religijne, takie czy inne, mogły mieć bliższy związek z konkretnymi wydarzeniami. Ogromna większość pragnie zachować pewne formy religijne, tak jak wszyscy pragniemy konserwowania zabytków i starych dzielnic, co przecie nie oznacza, byśmy chcieli naśladować styl Ludwików, lub delektowali się mieszkaniem w weneckim pałacu. Każdy objaw nietolerancji czy antyklerykalizmu będzie przez tę dorastającą młodzież źle widziany, ale nic więcej. Nie widzę ani zainteresowań religijnych, ani głębszej wiary w realność życia pozagrobowego, ani tęsknoty do Boga czy do religii Objawionej. Rozdział Kościoła od państwa, rozdział religii od życia wyglądają dzisiaj na niezachwiane dogmaty. Bez wielkich katastrof nie bardzo wierzę, by się to miało zmienić. Po co, dlaczego? Nawet wartość szkół czy uniwersytetów katolickich, nie mówiąc o innych wyznaniach, wydaje się wątpliwa w oczach ich własnych alumnow. Kościół katolicki o tyle wygrywa na punkty, że upadek znaczenia i powąŜania innych wyznań jest znacznie szybszy i większy, ale te relatywne sukcesy nie zmieniają obrazu ogólnego indyferentyzmu dla religii w świecie *de facto* najgłębiej zmaterializowanym, choć odrzucającym dogmatyzm materialistyczny.

A-religijne zapewne, antyklerykalne na pewno nie, młode pokolenie nie jest, nie będzie z tego powodu amoralne. Równouprawnienie płci w pracy, w obowiązkach, w zarobkach, w wykształceniu, objęło także życie seksualne: postulat dziewictwa w chwili zawierania związków małżeńskich, od dawna przestrzegany tylko w coraz węższych kołach zamożnej burżuazji, został obecnie odrzucony plus minus do lamusa. To prawda. Ale z drugiej strony małżeństwa są dzisiaj zawierane wcześniej, i to dla obu płci, młode małżeństwa mają dzieci wcześniej, trójkiatów jest mniej, posag zniknął omal zupełnie. Samochód, wspólne wakacje, telewizja — to wszystko stworzyło i nadal stwarza silniejsze niż dawniej więzy między małżonkami. Kobieta przestała być lalką, stała się partnerem, jej wpływ na męża jest na ogół większy. Zniesienie domów publicznych, zanik prostytucji i prostytutek, zupełne zniknięcie heter w postaci kokot, utrzymank, przyjaciółek — to wszystko wydaje mi się per saldo moralniejsze od faryzeuszowskiej, wiktoriańskiej pseudo-moralności końcowego XIX-go wieku.

To nowe pokolenie ma w dwóch punktach bardzo wyrobione zdanie, które odbija od ustalonych konserwatywnych poglądów ludzi mej generacji. Ci młodzi na pewno uważają, że rozwój jest konieczną i potrzebną korekturą małżeństwa, i o żadnej nierozważalności małżeństwa słyszeć nie chcą. To nie znaczy, by liczba rozwodów miała wzrastać: przeciwnie myślę, że ta liczba może zmaleć w niedalekiej przyszłości. Ale to znaczy, że żadne „stigma” nie może być połączone z faktem rozvodu, jak zresztą także z faktem nieślubnego macierzyństwa. Tak samo wydaje mi się, że nowe pokolenie żąda, i to także od Kościoła, prawa zapobiegania zapłodnieniu. Znowuż ten ostatni punkt nie oznacza, że młode małżeństwa będą miały mniej dzieci: przeciwnie wszystko wydaje mi się wskazywać, że będzie mniej małżeństw bezdzietnych, i mniej jedynaków czy jedynaczek. Jak we wszystkim, młode pokolenie wydaje mi się zmierzać do pewnej przeciętnej, do powiedzmy dwojga czy maksymalnie trojga dzieci. Ale sądzę, że nacisk zarówno na władze kościelne, jak i na rządy komunistyczne, tak reakcyjne w sprawach demograficznych, obyczajowych i seksualnych, będzie ze strony młodych dużo silniejszy, niż w poprzednim pokoleniu.

Podstawowe różnice „międzypokoleniowe” upatruję w odniesieniu do problemów socjalnych i ekonomicznych, oraz wobec zagadnień międzynarodowych. Te różnice ujawniają się przede wszystkim w stosunku do dwóch konkretnych, a decydujących zagadnień, które stoją już dzisiaj przed nami. Te dwa zagadnienia — to budowa Zjednoczonej Europy, i integracja klasy robotniczej.

Nacjonalizm we Wschodniej Europie jest naturalny i nieunikniony, jako odtrutka i sposób ratunku na skrajny nacjonalizm rosyjski, który przeziera przez każdy akt polityki sowieckiej. Póki nacjonalizm rosyjski nie będzie rozwalony i zdruzgotany, najlepiej przez samych Rosjan, a jeśli ci na to się nie zdołają — to

z zewnątrz, póty na całym obszarze od Łaby do granic etnografii wielko-rosyjskiej głucha, podziemna walka o dusze i egzystencje pobitych narodów, o granice, o prawo do wyboru własnej religii, własnej formy rządów będzie dominować nad wszystkimi innymi aspektami współczesnego życia. W Europie Zachodniej istnieją gdzieś pewne skamieniałości, *des fossiles*, które przypominają głębokie konflikty, które przez tysiąc pięćset lat obezwładniały i skrwawiały Europę. Może najniebezpieczniejszy z nich, to spór włosko-austriacki o Südtirol, ten mały ale precudowny kraik Dolomitów. Konflikt Flamandów i Wallonów wydaje mi się, mimo wszystko, mniej groźny: ostatecznie te Południowe Niderlandy były dwujęzyczne przez tysiąc lat, i nie widzę powodu, by, po jakimś czasie, nie miało być powrotu do tego stanu. W Irlandii konflikt między Ulsterem a Eire jest nareszcie *on the way out*.

Nacjonalizmy zachodnio-europejskie opierają się na atawizmach, na wspomnieniach i na podejrzeniach. Nie odpowiadają żadnemu rozumnemu celowi ani nawet żadnej rozumnej myśli: jest rzeczą absolutnie pewną, że Europa Zachodnia żadnej hegemonii nie zniesie, i że ta Europa może być tylko federatywna. Myśl trwałej dyskryminacji Niemców jest jasnym i jaskrawym absurdem. Nawet w starszym pokoleniu na Zachodzie, wciąż żywo pamiętającym ostatnią wojnę, wszystko co trochę światlejsze, trochę rozsądniejsze, trochę trzeźwiejsze zdaje sobie sprawę z beznadziejności sztucznego dzielenia Europy na narody pierwszej i drugiej klasy. Ale w starszym pokoleniu jest sporo ludzi — polityków, dyplomatów, dziennikarzy, intelektualistów, historyków, choć nie ekonomistów, nie businessmenów, nie technokratów — którzy gustują w starych europejskich gierkach dyplomatycznych, związanych z tak zwaną „równowagą”, *balance of power*. Wszystkie te zabawy w „zbliżenia”, „napięcia”, „fronty”, „osie”, w zaskoczenia, podstawienia nogi, cała ta zabawa w prestiż, w urojone sukcesy (*il a marqué des points*) mają dzisiaj na Zachodzie Europy może mało wyznawców, ale jednak dość wielu amatorów: nikt nie wierzy, by to do czegoś prowadziło, ale te partyjki szachów czy pokera są tak zabawne! Ale ta zabawa w szachy dyplomatyczne może się skończyć tak, jak się skończyła zabawa w kryzysy partyjne i ministerialne za IV Republiki: wówczas też klóćący się parlamentarzyści dobrze wiedzieli, że różnice, które ich dzielą, są fikcyjne, ale sama gra czy gierka parlamentarna była tak pasjonująca, że nie umieli ani na sekundę jej przerwać. No i społeczeństwo francuskie nagle im powiedziało, że ma tej zabawy dosyć, i odesłało całe towarzystwo skaczące sobie do oczu o puste frazesy, jałowe formułki, o nic — na zieloną trawę. Podobnież obecne młode pokolenie, to poniżej trzydziestki, odesła obecnych pogrobowców dyplomacji mocarstwowej i Don Kiszotów „suwerenności” na emeryturę, z których nie będzie już powrotu. Na scenie utrzymają się ci, co chcą Europy. Kiedy się to stanie? Jak zawsze, kto może przewidzieć termin? Wiadomo, że pacjent chory na serce kiedyś umrze, ale datę finalnego za-

wału przewidzieć trudno. Bardzo być może, że do ostatecznego skurczu federacyjnego dojdzie jeszcze za sterowania obecnej generacji u władzy, lub ich bezpośrednich następców, to znaczy za Wilsonów, Heathów, Barzelów, Lecanuetów, Morów. Ale jeżeli ci panowie będą kontynuować obecną karykaturę dyplomacji, pokolenie, które dzisiaj wchodzi w życie, powie im bardzo szybko: wynocha!

To pokolenie nie jest idealistyczne, jest pragmatyczne, realistyczne, chce efektów, nie chce się łudzić i nie chce by je łudzono czy oszukiwano. Nie lubi wielkich frazesów, ale chce widzieć *things done*. Jest to pokolenie konkretne *qui ne veut pas se payer de mots*, które nie jest generacją hipokrytów i nie znosi hipokryzji. To pokolenie chce zetrzeć fatalną przeszłość dwóch wojen i dwóch wieków nacjonalistycznych rywalizacji, *elle veut passer l'éponge, make a clean start*. Dla tego powojennego pokolenia Hitler i Hitlerizm, *Libération* i glorie wojenne nie znaczą nic, absolutnie nic. To pokolenie jest głęboko zamerykanizowane w tym samym sensie, w jakim XVIII-y wiek był głęboko sfrancuziały. W XVIII-ym wieku Anglia, Prusy i Austria okazyjnie wojowały z Francją, ale wszystkie te trzy państwa żyły francuską myślą, kulturą i małpowały jej *way of life*. To samo widzimy dzisiaj, gdy chodzi o stosunek Europy do Ameryki. Jej dobrobyt wywołuje zazdrość, ale przede wszystkim naśladownictwo amerykańskich metod. Sukcesy Ameryki wywołują podziw. Gigantyzm, egalitaryzm, pewna brutalność, maszerowanie prosto do celu z pogardzaniem fintifluszek i sztuczek, drogich starej szkole europejskiej, *efficiency*, obojętność wobec tradycji i snobizmów, pragmatyzm, maszynizm *à outrance*, przekonanie, że dobrobyt wszystkich jest kluczem do własnych sukcesów — oto kanony mentalności amerykańskiej, które przeniknęły do umysłów młodszego pokolenia w Europie. Nie wydaje mi się, by ta młodzież zdawała sobie dzisiaj sprawę, jaki będzie stosunek przyszłej Zachodniej Europy do świata amerykańskiego, do świata komunistycznego, do ras kolorowych. Myślę, że ten stosunek będzie się, jak zawsze, kształtował pod wpływem wypadków, doświadczeń, układu sił, a nie abstrakcyjnych rozważań. Ale jest pewne, że cała młodzież europejska patrzy z wzrastającą niecierpliwością i irytacją na dalsze patyczkowanie się europejskich kancelaryj dyplomatycznych, na wszystkie te zabawy w „ratowanie funta” czy prztyczki (bo to się sprowadza do prztyczków) pod adresem integracji sił zbrojnych a jeszcze dużo bardziej supranarodowości we Wspólnym Rynku. Jestem przekonany, że młodzież angielska przyjęła z oburzeniem decyzję redukcji przydziału dewiz na podróże do bratnich krajów Europy z 250 na 50 £, i że młodzież „szóstki” ma dosyć marudzenia z akceptacją większych kompetencji dla komisji Hallsteina. Ani Wilsonowi, ani Gaullistom nie prorokuję sukcesów wśród najmłodszych wyborców w najbliższych wyborach. Z cyfr prezydenckiej elekcji w grudniu we Francji najbardziej znamienne wydały mi się sondaże wśród studenterii francuskiej: podczas gdy ogół wy-

borców opowiedział się w dniu 5-ym grudnia w 44% za de Gaullem, w 31% za Mitterrandem a w 16% za Lecanuetem, wśród słuchaczy szkół wyższych uszeregowanie było odwrotne: pierwsze miejsce zajął Lecanuet, drugie nadal miał Mitterrand, a de Gaulle zajmował tylko trzecie.

Ta tęsknota do Europy nie ma podłoża ideologicznego, jest to raczej przejaw powszechnej tendencji obecnej młodzieży do gigantyzmu. Jeżeli ta młodzież czegoś głęboko nie lubi, czymś pogardza, to przede wszystkim małą firmą, małym sklepikiem, małym człowiekiem, małym rolnikiem. Równocześnie ta młodzież podziwia wszystko co jest duże, co jest ogromne: wielkie państwa, wielkie firmy, państwowe czy prywatne, ale bardzo duże, wielkie inwestycje, wielkie maszyny, wielkie plany, wszystko co jest na wielką skalę. Program atomowy jest we Francji głęboko niepopularny, specjalnie wśród młodych: nie razi ich niemoralność broni atomowej, nawet nie jej koszt, ale przede wszystkim jej skromne, omal lilipucie rozmiary: termin „*la bombinette*” zjawia się na ustach młodych krytyków już w pierwszym zdaniu. Młodzież uważa, że imperia kolonialne się skończyły, i pogodziła się z tym: nikt z młodych Francuzów nie kiwnie palcem o zachowanie Dżibuti czy Tahiti, nikt z młodych Anglików o pozostanie w Adenie, czy Singapore, czy w Gibraltarze. To wszystko — to masa upadłościowa: obojętne kto będzie likwidatorem, byle by zjawił się jak najprędzej, i by był wreszcie spokoj z tymi relikwiami, rekwizytami, z tym imperialnym zawracaniem głowy. Tak samo młodzież dzisiejsza nie chce słyszeć o marszałkach, generałach, oficerach: uczeni atomowcy, astronauty — to co innego! Francuzi nie mogą dzisiaj znaleźć kandydatów na sędziów ani na oficerów zawodowych, przynajmniej w armii, bo w lotnictwie sprawa wygląda inaczej: lotnictwo — to technika. Anglia nie może nawet znaleźć dość kandydatów do *Foreign Office'u*, co doprawdy wydaje się nie do wiary! Gdyby we Francji zapytać młodego człowieka o nazwisko choćby jednego żyjącego generała francuskiego, poza de Gaullem oczywiście, to ogromna większość nie potrafiłaby dać odpowiedzi. To samo w Anglii, poza jednym jeszcze Monty. Czy to nie wymowne?

Fakt że młode zachodnio-europejskie pokolenie dojrzało do zjednoczenia, do federacji i nie chce słyszeć o tradycyjnych rozgrywkach dyplomatycznych — to jest jedna z dwóch wielkich linii podziału w stosunku do starszego pokolenia. W paru punktach tę ogólną zasadę trzeba uzupełnić. Nowe pokolenie nie jest w ogóle sentymentalne, nie wydaje mi się skłonne do urojeń, do zapałów, do ekstazy miłosnej, do szałów: szuka w polityce zagranicznej interesu i małżeństwa z rozsądkiem. Wszystko przemawia we Francji za *mariage de raison* przede wszystkim z Niemcami. Co do tego nie powinniśmy mieć żadnych złudzeń. Nasz namiętny ton anty-niemiecki już od lat nie trafia nigdzie na Zachodzie na żadne echo, ale teraz rikoszety mogą być dla nas dużo przykrzejsze. Ci którzy będą się bawić w agitację antyniemiecką na terenie Francji, Anglii i w ogóle Zachodniej Euro-

py przekonywać się będą z każdym rokiem, że ta agitacja nic im nie daje, a może ich drogo kosztować.

W stosunku do Rosji nowe pokolenie jest wolne od zaczerpnięcia pro-sowieckiego, które jeszcze zdarza się wśród pięćdziesięciolatków i starszych. Ale urazy, wywołane zimną wojną, terrorem Stalina, są tym młodym ludziom też obce. Dla nich ZSSR jest takim samym państwem, jak wszystkie inne: trzeba z nim współżyć, choć nikt nie robi sobie wielkich nadziei, by z tego współżycia mogły większe korzyści wyniknąć. Rosja jest za biedna, zanadto zacofana, za mało zmotoryzowana, ma za niską stopę życiową, zbyt niewielkie obroty z zagranicą, by młodzi ją brali bardzo na serio. Wśród starszych wielu szczerze uważa Rosję za wielką potęgę, na równi z USA; wśród młodzieży już teraz wzrasta tendencja do uważania Rosji za mocarstwo drugiej klasy. *Il n'y a qu'une seule super-puissance, les Etats-Unis*, pisze w swej ostatniej książce „Les nouveaux Bolcheviks” René Dabernat, który zasila regularnie lewicowy „Combat” artykułami o polityce zagranicznej. Nikt we Francji a także w Anglii, tym bardziej w reszcie Zachodniej Europy nie myśli narażać stosunków z NRF czy z Ameryką dla pięknych oczu ZSSR.

Ale nie widzę też nikogo w tym młodym pokoleniu, kto by rozważał możliwość nacisku na Rosję dla wymuszenia na niej większej wolności dla „ludów sowieckich”, włączając w to niestety także narody bałtyckie, ani dla satelitów. Młode pokolenie akceptuje *status quo*. Nie akceptuje go, jako doktryny, jako filozofii jako zobowiązania prawnego, ale akceptuje fakt. Nie wierzę, by ktokolwiek wśród tej młodzieży zachodniej apelował o rewizję obecnej linii granicznej między Polską Republiką Ludową a Niemiecką Republiką Demokratyczną, tak samo zresztą, jak i między PRL a ZSSR, ale też nie wierzę, by ta młodzież sądziła, iż potrzebne jest prawne uznanie tej czy innej granicy. Francja nie podpisała układu włosko-jugosłowiańskiego o Triest, i nie zamierza go kwestionować, ale uznania tej granicy czy linii demarkacyjnej na pewno by odmówiła, gdyby Tito o to prosił. Tak samo Francja ani nikt inny nie uznał ani też nie kwestionuje obecnej linii demarkacyjnej w Kaszmirze. Jeżeli wspominam o rzeczach tak oczywistych, to tylko dlatego, bo nasi rodacy ciągle widzą problemy, których w życiu nie ma. Dla młodzieży na Zachodzie cały ten problem po prostu nie istnieje. Jak nie istnieje też problem ciężkiej walki Kościoła w Polsce o prawo bytu i rozwoju. Jak nie istnieje w ogóle, niestety, żadna *question polonaise*. Ta młodzież chce godzić się z faktami. Satelizacja Polski czy innych krajów jest takim faktem. Nieprzyjemnym, tak. Ale co można na to poradzić? Wojna? *Pensez-vous!* Naciski? Na nic się nie zdadzą. Ale byle by był pokój, jakoś się ta sprawa rozwikła. *Vide* Kongo, Kuba etc. Przecie świat idzie ku lepszemu!

Za szalenie niebezpieczną uważam naszą zupełną turystyczną, studencką, stażową nieobecność na Zachodzie Europy. Powróciliśmy do sytuacji sprzed XV-go wieku, kiedy to Polska była *de facto* zupełnie nieznaną na Zachodzie Europy, poza Niemcami.

To że dla Francji, dla Włoch, dla Austrii, dla Szwajcarii (bo nigdy dla Anglii) pojawiliśmy się wreszcie na horyzoncie, jako autentyczni Europejczycy było dla nas kolosalnym atutem, dawało nam wobec Czechów, Serbów, nie mówiąc o Ukraińcach, ogromne fory. Dzisiaj to się skończyło. Jesteśmy zapomniani. Nasza emigracja jest zbyt nieliczna, zbyt uboga i intelektualnie zbyt słabo reprezentowana, natomiast nadmiernie przez fatalną i nieprawdopodobnie płytką „propagandę” zdewaluowana, byśmy sami mogli tej eliminacji Polski z Europy przeciwdziałać. Tych więzów starsze pokolenie żyjące w Polsce nawiązać nie potrafi, Zachód nie ma do niego cienia uznania ani zaufania. Więc te więzy, jakże konieczne, nawiązać mogą tylko młodzi Polacy, przyjeżdżając masowo na Zachód, specjalnie do wielkiej Trójki zachodnio-europejskiej (Francja, NRF, Anglia) na studia, na staże, jako turyści albo jako robotnicy.

Dodam także, że tzw. tradycyjna przyjaźń polsko-francusko (polsko-angielskiej nigdy ani przez chwilę nie było, więc nie ma o czym mówić), która może czasem u jednego na stu spośród *starszych* Francuzów gdzie się kiedyś na sekundę budzi, jest dla młodego pokolenia bajką o Żelaznym Wilku. Francja musi dzisiaj robić kolosalny wysiłek by utrzymać swą pozycję, swe promieniowanie i zwłaszcza rolę swego języka w świecie, w którym przegrała wszystkie atuty, i który jest jej obcy, bo jest to świat w gruncie rzeczy anglo-sasko-germańsko-sowiecki, w którym Francja naczelnej roli w żadnej dziedzinie, z wyjątkiem może kuchni i mody, nie odgrywa. Apelowanie do tej przyjaźni, do tych sentymentów na nic się nie zda, przeciwnie może Francuzów irytować. Nie interesujemy ich, jak zresztą cały Wschód Europy.

Ale w preokupacjach młodego pokolenia sprawy gospodarcze odgrywają jeszcze większą rolę, niż ułożenie nowych stosunków międzynarodowych w Zachodniej Europie. Ta młodzież nie interesuje się teoretycznymi problemami, które podniecały ludzi, którzy dzisiaj przekroczyli 50-tkę i 60-tkę. Żąda ona dobrobytu, to znaczy wysokiej i ciągle wzrastającej stopy życiowej. Przed wojną, poza Stanami Zjednoczonymi, robotnicy nie wierzyli, by wzrost powszechnej zamożności wpływał także na ich los indywidualny. Dzisiaj wymowa faktów jest silniejsza od wszystkich argumentacji: bez rewolucji, bez przewrotu, bez zniesienia własności, bez socjalizmu robotnik dzisiejszy może żyć i w wielu wypadkach żyje dużo lepiej niż jego ojciec, lepiej niż on sam za swych młodych lat. Z doktrynalnej „walka klas” staje się pragmatyczna: jak najlepiej zabezpieczyć stały i ciągły wzrost dochodów? Jaka jest maksymalna możliwa granica tego wzrostu?

Młodzież europejska widzi podstawową przyczynę obecnych możliwości w technice i w rozmiarach. Nie upatruje jej już w nacjonalizacji, ani w dyryżymie *à outrance*. Ideał urzędniczy, tak wszechobecny w Polsce i przed wojną i dzisiaj, ideał, by każdy mógł zostać „inteligentem”, sięść za biurkiem i edyktami sprostować na ziemię Eldorado, jest obcy dzisiejszemu pokoleniu.

Zapewne, nie ma ono kultu ani szacunku własności. Dywidendy, prawa akcjonariuszy, własność terenów — wszystko to młodzież uważa za urządzenia utilitarne, nie „prawa”, *des droits sacrosaints*. Dorobkiewicz, który sprytem czy bezwzględnością, tym bardziej w drodze dziedzictwa dorobił się wielkiej fortuny, nie jest wzorem. We Francji i w Anglii dawny placek wobec Rotszylków czy *duke'ów* się skończył, a nowy placek wobec dorobkiewiczów w stylu Mr. Ch. Clore w Anglii, czy M. Marcel Dassault we Francji nigdy się nawet nie zaczął. Przeciwnie, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby bank Rotszylków został znacjonalizowany, a kompanie terenowo-budowlane p. Clore czy aeronautyczne p. Dassault spotkał podobny los, względnie nawet konfiskata *pure et simple*. Młodzież podziwia i szanuje technokratów, managerów, słowem administratorów i kierowników ogromnych kompleksów. Do niedawna wydawało się, że manager wielkiego trustu państwowego jest bardziej popularny, bardziej frapuje imaginację tłumu, niż kierownik prywatnego kolosa. Miałem wrażenie, że we Włoszech Enrico Mattei był bardziej na świeczniku, niż prof. Valetta, naczelny dyrektor Fiata. Ale po śmierci Mattei koncern naftowy państwa włoskiego dostał się w ręce drugorzędnych, choć zapewne sumiennych urzędników, co na pewno by nie miało miejsca, gdyby te „Idrocarburi” należały do koncernu prywatnego. Fiat w każdym razie lepiej przetrzymał „kryzys” 1965 roku, niż ENI. W Anglii Beeching zafrapował bardziej uwagę młodych, niż Paul Chambers, prezes największego koncernu angielskiego, Imperial Chemicals. Lecz Beeching w końcu okazał się słabszy od administracji, od nacisków parlamentarnych, od żądań Trade-Unionów, i musiał pójść, a jego następcą jest znowuż powolnym narzędziem *Ministry of Transport*, zaś koleje brytyjskie znowuż toną w deficytach, a inwestycje raz po raz odkładają. Francja wyraźnie ma preferencje do *sociétés d'économie mixte* które mają tę zaletę, że ułatwiają pokojowe współzycie „socjalistów” i „liberałów”, i ten minus, że wpływają ujemnie na moralność finansową i jednych i drugich, a zwłaszcza urzędników państwowych. Albowiem młodzież francuska odwraca się, i to z każdym rokiem bardziej, od służby państwowej, oficerskiej przede wszystkim, ale także sędziowskiej, administracyjnej; młody prawnik, tym bardziej technik woli pójść do *Électricité de France*, niż do ministerstwa Przemysłu, do *Banque de France* czy do *Crédit Foncier* niż do ministerstwa Skarbu. Ale jeszcze bardziej popularna jest wielka kompania prywatna. Shell od dawna uchodzi w Anglii za najbardziej szybką karierę, zaraz po *Foreign Office*. Pracownik olbrzymiego koncernu prywatnego czuje się dużo swobodniejszy wobec rządu i władzy, może rząd dowolnie krytykować, ma wyższe pobory, perspektywy dużo szybszego awansu, i dużo większy zakres władzy i odpowiedzialności. Podczas gdy urzędnik państwowy jest zawsze i wszędzie szalenie *rond de cuir*, to pracownik upaństwowionych koncernów już ma dużo więcej fantazji i pewności siebie, a pracownik wielkiego koncernu prywatnego jest zupełnie

innym człowiekiem, to wielki pan w porównaniu z przestraszonym biurokratą. Niedawno zaszedłem do centrali concernu Olivetti w Ivrea, koło Turynu: centrala znajdowała się w parku, a skromni urzędnicy, z którymi rozmawiałem, wyglądali na aktorów z Hollywoodu, tak byli świetnie ubrani, oblatani, wesołutcy, pewni siebie. Oczywiście jest wśród młodzieży sporo także niebieskich ptaków, sporo, jak zawsze, niedołęgów, którzy pójdą tylko utartymi szlakami. Ale co ambitne, co zdolne, — to marzy nie o socjalizmie, i nie o karierze biurokratycznej, i nie o dyskusjach pryncypialnych w piwnicach czy kawiarniach, i nie o trybunie wyborczej, ale właśnie o karierze w takim gigancie. Gigancie, który oczywiście nie ma służyć dynastii Guggenheimów czy Schneiderów, ale firmie: by ta się rozwijała, ilościowo a przede wszystkim technicznie. Jest duma z techniki, jako dobra samego w sobie, choćby na razie się nie opłacała. Operacja „Gemini” się na pewno nie opłaca, ale jest głęboko popularna na całym świecie, bo to jest kolosalny wyczyn techniczny.

Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby to młode pokolenie z jednej strony surowo ograniczyło spekulację terenową czy giełdową, a z drugiej zreprivatyzowało nie tylko Renault ale nawet koleje czy telefony. Nie zdziwiłbym się, gdyby SNCF, Bundesbahn i koleje pozostałych państw Szóstki (wszystkie są upaństwowione) stworzyły łącznie właśnie jakąś kolejową *société d'économie mixte*, niezależną od sześciu rządów. Wszak tunel pod Mont Blanc jest właśnie taką pół-prywatną spółką, takąż ma być tunel pod Kanałem, tak samo porty należą prawie wszędzie do tej autonomicznej kategorii przedsiębiorstw, gdzie już nikt nie wie, gdzie przebiega granica między własnością publiczną a prywatną. Państwo natrafia, i to i w Anglii, i we Francji, i nawet w Niemczech, gdzie administracja gospodarza jest bez porównania sprawniejsza, na nieprzewyciężone trudności w polityce płac w swych przedsiębiorstwach: państwo nie może machnąć ręką na imperatywy budżetowe, a to wywołuje furję pracowników, którzy są gorzej płatni, niż robotnicy koncernów prywatnych. Co gorsza, pragmatyka służbowa, stosowana do wyższych *cadres* na poczcie, czy na kolejach, jest nie do utrzymania, bo wszyscy się zabiorą; a znowuż jeżeli płacić wyższym kolejarzom takie pobory, jak w firmach prywatnych, cała administracja *sensu stricto* chce się przenieść do firm państwowych.

Oczywiście zachodzą różnice między państwami. Francuzi mają tendencję przy swych koncentracjach przemysłowych do monopolu, do stworzenia JEDNEGO trustu samochodowego czy stalowego czy chemicznego na cały kraj. Niemcy mają dużo większe zrozumienie dla potrzeby i korzyści konkurencji. Francuzi widzą Wspólny Rynek a w dalszym ciągu całą Europę Zachodnią, jako kartel narodowych monopolii, Niemcy jako firmy międzynarodowe, konkurujące ze sobą, niezależnie od narodowości kapitałów i managerów. Nie jest jeszcze powiedziane, która z tych dwóch możliwości zwycięży. Nacjonalizm ekonomiczny jeszcze nie umarł we Francji i w Anglii, ale jest znacznie słabszy w

krajach Centralnej Europy (oczywiście myślę o tych, które znajdują się na zachód od Żelaznej Kurtyny).

W starszym pokoleniu nie brak właścicieli i kierowników, którzy uważają niskie płace za klucz do własnego bogactwa. Młodsze pokolenie już wierzy, a będzie wierzyć jeszcze mocniej, w konieczność stałej polityki coraz wyższych płac. Starsze pokolenie próbuje dotąd robić oszczędności na świadczeniach społecznych, to znaczy na długości urlopów i czasu pracy, na świadczeniach chorobowych, na emeryturach i rentach starczych. Młodsze pokolenie w coraz wyższym stopniu będzie uważać, że dłuższy czas pracy obniża wydajność, że dłuższy urlop pracowników tej wydajności sprzyja, że wreszcie na zdrowiu pracowników nic oszczędzać nie można. Co do emerytur, zwłaszcza rent starczych, stanowisko idącego w życie pokolenia będzie mniej zdecydowane: wierzy ono w *efficiency*, a nie w sprawiedliwość, ma tendencję do nagradzania silnych i tych co się bronić umieją, więc dla starych ma ono i mieć będzie mało zrozumienia: *a damned nuisance!* Ci młodzi mało się troszczą o oszczędności starych: ot tyle tylko, by ludzkość się od ciułania nie odzwyczaiła. Przy każdej trudności, starzy, którzy w porę nie umierają, poniosą ciężki. Po co ten garb starców i staruszek? Przecie we Francji jest już dzisiaj 1.200.000 osiemdziesięciolatków, i nawet powyżej 10.000 osób (prawie samych kobiet) w wieku powyżej 95 lat! Chwała Bogu, że dzisiejsza młodzież jest bardziej humanitarna od hitlerowców, ale gdyby nie ten humanitaryzm (bo nie religia), to jakieś piece dla staruszków by się znalazły! Tak samo dla wariatów, których przecie przybywa, i to dużo. Tak samo dla skazanych na dożywocie, bo przy zniesieniu kary śmierci tych dożywców też przybywa! W każdym razie starym milionerom, tak zwanym kapitalistom biernym, nie rokuje ananasów. Skromny domek, nie pałac, nie wille na Rivierze, nie liczną służbę — oto na co będą mogli liczyć.

Młode pokolenie wierzy, że przy pomocy gigantyzmu terytorialnego (państwa na skalę kontynentalną) i firmowego (miliardowe trusty coraz większe), przy pomocy postępu technicznego, masowej, standaryzowanej konsumpcji, brutalnej (*ruthless*) *efficiency*, uda się stworzyć *perpetuum mobile*, czyli świat bez kryzysów gospodarczych, świat pewnie i miarowo maszerujący do powszechnej, wysokiej, choć bardzo nudnej i jednostajnej stopy życiowej. Jest to ideał amerykański, vel w Europie skandynewsko-szwajcarsko-niemiecki, bo tam jest najbliższy realizacji.

Ideał ten może się zawalić na dalszą metę przez: a) brak nowych potrzeb, wymagających zaspokojenia. Takiego wypadku dotąd nie było, nie umiem go sobie w najbliższych 25 latach wyobrazić, w każdym razie w Europie. b) Zastój postępu technicznego. Tempo tego postępu jest obecnie tak nieprawdopodobne, że teoretycznie nikt nie może sobie wyobrazić trwania tego procesu bez końca, ale na razie technika wcale nie wydaje się być u kresu inwentywności i zdumiewających zdobyczy, zarówno teoretycznych (Gemini), jak i praktycznych (postępy produktywności na wszyst-

kich polach, ostatnio w dziedzinie elektroniki, która przyniesie radykalny przewrót w pracy biurowej a więc i w zapotrzebowaniu na tzw. *white collar workers*). c) Napięcia socjalne czy międzynarodowe. Te wydają się mało dzisiaj prawdopodobne: wojna atomowa jest równoznaczna z samobójstwem, a gwałtowna rewolucja się nikomu nie opłaca — wojna domowa w Hiszpanii zrujnowała wszystkich, jej reforma walutowa z 1959 roku otworzyła erę *prosperity* i postępu, nieznaną tam od 300 lat, nacjonalizacja kanału sueskiego nie rozwiązała żadnego z tragicznych problemów socjalnych i gospodarczych Egiptu, rewolucja w Chinach dużo mniej dała Chińczykom, niż koniunktura dała Japonii etc.

Ale na razie wszystko wskazuje, że *perpetuum mobile* jest niemożliwe, że pewna falistość koniunkturalna jest związana z rytmem nawet najbardziej postępowej gospodarki: zbyt szybkie tempo ekspansji raz po raz przynosi *penalty* w formie czasowego, na szczęście dość łagodnego „kryzysu” — produkcja przestaje na rok czy dwa wzrastać czy nawet się o pół procent obniża, płace trzeba zamrażać, pojawia się bezrobocie. Oczywiście nie ma mowy o „kryzysie” w sensie lat trzydziestych, specjalnie w ówczesnej skali środkowo-europejskiej: gdyby wybuchnął, gdyby w NRF czy w Stanach, czy we Francji jedna trzecia robotników znalazła się na bruku, cała struktura naszego świata by pękła i mielibyśmy rewolucję dużo bardziej krwawą, niż hitlerowska czy bolszewicka. Więc przede wszystkim trzeba do tego nie dopuścić. Stąd głęboka prawda paradoksu redaktora paryskiego „Expressu”, p. J. J. Servan-Schreibera, który, omawiając spotkanie Erhard-Wilson, napisał: „obaj ci mężowie stanu przez chwilę gawędzili o sprawach błahych, o rozbrojeniu, o Wietnamie, o stosunkach z Rosją, o NATO, o de Gaulle’u, po czym przeszli do jedynej sprawy serio na świecie: jak zapewnić ekspansję bez inflacji?”

Jak? To jest konkretne, najważniejsze pytanie, które stoi przed obecnymi władcami, i od którego dalsze dzierżenie władzy przez dzisiejsze pokolenie zależy. Macmillan i Torysi go nie rozwiązali, i Wilson ich zluzował. Wilson go nie rozwiązuje, i powrót Torysów staje się prawdopodobny. Erhard zaczyna gorzej się z tym problemem mować, i od razu wyborcy Land’u Nord-Rhein-Westphalen dają mu dzwonek ostrzegawczy. Co myśli najmłodsze pokolenie o tym zagadnieniu?

Myślę, że jest mniej wrażliwe na stałość cen a więc na niebezpieczeństwo inflacji, coż dopiero na stałość kursów walutowych, niż starsze pokolenie. Trzymanie kursu funta, ważne prestiżowo dla City, mniej dla przemysłu, pasjonuje starszych Anglików, ale nie młodzież. Wilson z natury rzeczy widzi i rozmawia z ludźmi starszymi: w stosunku do starszego pokolenia jego taktyka jest słuszna, ale wobec młodej generacji się nie opłaca. Tak samo ortodoksja Giscard’a wywołuje głębokie echa u Francuzów powyżej czterdziestki, znacznie mniejsze u młodszych. Gdyby Debré był trochę lepszej klasy ekonomistą, mógłby się odbić. Ale nie potrafi. W NRF problem jest inny: fundamentalnie Niem-

cy uważają, że Erhard jest za stary i musi odejść, jego niepowodzenia polityczne, tak jak Adenauera w roku 1961, są sygnałem i dowodem, że Niemcy chcą zmiany warty, ale nie zmiany busoli, kierunku czy ekipy. Zresztą uważam, że Niemcy nie zdecydują się na rząd czysto socjalistyczny; mogą pójść na rząd koalicyjny, chadeccko-socjalistyczny, który byłby nawet dość logiczny, bo chadecy przestali być partią chrześcijańską, a socjaliści przestali być partią socjalistyczną.

W każdym razie przewiduję, że młodsze pokolenie będzie dużo oporniej zachowywało się wobec prób deflacji, a już skrajnie niechętnie wobec robienia fetyszu z jakiegokolwiek parytetu walutowego, nie będzie bronić waluty złotej, będzie stale za dewaluacją, za ekspansją przed stabilizacją.

Jest i drugi problem: skoro się odrzuca kompresję płac, bezrobocie, kurczenie świadczeń społecznych, redukcję inwestycji prywatnych czy publicznych, zmniejszenie konsumpcji mas, to co zostaje jeżeli następuje tak zwana *Überhitzung* koniunktury? Co można obciążyć?

Pozostaje tylko obcinanie wydatków wojskowych. I jestem przekonany, że młode pokolenie na tę drogę wejdzie. Wilson ma 50 lat, tyleż mają Stewart i Healey, i wszyscy trzej nie mogą się zdobyć na radykalne obcięcie wydatków wojskowych i imperialnych Wielkiej Brytanii: na tym zresztą polega słabość rządowego programu ratowania funta (wątpliwej poza tym wartości gdy chodzi o cel). Natomiast utalentowany młody publicysta torysowski, William Rhees-Mogg woła w ultra-reakcyjnym „Sunday Times'ie”: „jesteśmy dzisiaj *drugorzędnym* państwem przemysłowym, daleko w tyle za NRF, choć może jeszcze wyprzedzamy Francję, nie stać nas na bawienie się w policjanta na Wschód od Suez, nie stać nas na to, byśmy byli najemnikami (*mercenaries*), i to bezpłatnymi, szejków arabskich, musimy w naszym budżecie dewizowym obrony chłasnąć co najmniej trzysta milionów funtów, a nie sto, jak proponuje rząd. Czas skończyć z farsą imperialnej polityki, gdy imperium już nie ma”.

Głos Rhees-Mogga wydaje mi się najbardziej autentycznym głosem nowej generacji angielskiej. Młoda generacja francuska myśli tak samo. Anglia i Francja pozostają tak zastraszająco w tyle za NRF przede wszystkim dlatego, że mają nadmierne wydatki wojskowe, na przemysł wojskowy, na bazy zagraniczne, na prestiż, na tzw. pomoc, która jest pomocą, gdy daje ją Bank Świata, a która jest korupcją i subwencją polityczną, bez żadnego efektu dla ekspansji, gdy idzie z kas anglo-francuskich. Austria wydaje 1% dochodu narodowego na obronę, Włochy 4%, więc Anglii nie stać na wydatek 10% na ten sam cel, a Francji 8%. W tym punkcie widzę głęboki konflikt między pokoleniem poniżej czterdziestki, a tym, które jest dzisiaj kandydatem do bepośredniej władzy.

Bo gdy mówimy o zmianie pokoleń, to musimy pamiętać, że młodzież sama nie może i nie powinna rządzić. Z reguły do władzy dochodzi się między czterdziestką a pięćdziesiątką, i potem

gdy te rządy się udają, zachowuje się władzę dłużej; jak wypadają źle, to trwają krócej. Komunistom się na ich sposób udało, zagarnięcie władzy i usunięcie malkontentów, i dzisiaj słyszymy, że Tito ma 74 lata, a jakiś prezydent Rumunii 72, Ulbricht ma 70, a dobra sześćdziesiątka wydaje się za żelazną kurtyną regułą. Marszałkowie sowieccy, z Malinowskim na czele, to jakieś Matuzalemy. W Sowietach rewolucję zrobią dopiero sowieckie Nasserzy, młodzi oficerowie i młodzi technokraci, którzy już nie będą pamiętać nie tylko lat wojny, ale i terroru Stalina. W państwach satelickich generacja bojowców komunistycznych, podpolszczyków, stalinowców, subalternów Rosji, którzy przeszli przeszkolenie w Moskwie, w szpiegostwie, w wywiadzie, się kończy, i czym ją zastąpić? Można znaleźć tylko karierowiczów i oportunistów, nikogo więcej.

Na Zachodzie Europy zmiana generacji u władzy już nastąpiła w Anglii, zbliża się ta chwila już w NRF, we Francji, we Włoszech, w Austrii, jest nieunikniona w Hiszpanii. W Anglii bardziej decydujące znaczenie ma przewrót pokoleniowy w partii Torysów, niż w Labour, bo Torysi są znacznie bardziej zidentyfikowani z *Establishment*: wszak sami Anglicy ukuli świetne wyrażenia, np.: Co to jest kościół anglikański? *The Tory party at prayer!* Co to jest City? *The Tory party at money-making!* Co to jest Izba Gmin? *The best Club in England!* Heath zamiast Home'a — to większa rewolucja niż Wilson zamiast Home'a. W Anglii za jednym zamachem znikła cała generacja polityków, która już przed wojną zasiadała w parlamencie, u steru są tylko ludzie, którzy dopiero po wojnie wstąpili w szranki. Torysi zlikwidowali swych arystokratycznych amatorów, a Labour swych idealistycznych marzycieli. Torysi zlikwidowali prawie zupełnie klasyczny typ konserwatywnego pośta, ex-pułkownika czy ex-komandora, posiadającego majątek na wsi, wielkie wąsy i tytuł „hon. and gallant (czyli waleczny) Member”. Torysowscy backbencherzy byli ostoją reakcji, fanatykami Macmillana i Home'a, nienawistnikami intelektualistów w rodzaju Butlera, a przede wszystkim patriotami „British Empire”. Zamiast nich przyszli ludzie, którzy tak jak Wilson, tak jak Heath godzą się z likwidacją tego „Empire”, pod warunkiem by to nastąpiło powoli, stopniowo: Francuzi lubią krótkie spięcia, szok niespodzianki, Anglicy chcą wszystko na lata rozłożyć. Druga olbrzymia zmiana w tej *Tory party*: odeszli ludzie sentymentalnie związani z epoką Monachium, z drugą wojną światową. Wilson nagle zauważył, że jego wycieczki przeciw Franco nie spotkały w Anglii żadnego echa: Anglia zapomniała o hiszpańskiej wojnie domowej, widzi w Hiszpanii tylko teren przyjemnych i niedrogich wakacji. Dzisiejsza Anglia, z wyjątkiem malutkiej frendzli (*fringe*), przeważnie nie-angielskiego pochodzenia, na lewicy Labour, już nie ma żadnych uprzedzeń anty-niemieckich, jest gotowa nawrócić do germanofilskich (a bardzo silnych) tradycji wiktoriańskich. *Avis au lecteur!* Gaulliści się też w tym połapali, i zmienili wobec Anglii jeżeli nie politykę, to w każdym razie ton.

We Francji rewolucja pokoleniowa nastąpi po odejściu de Gaulle'a od władzy, przy czym jest rzeczą dość obojętną, czy ruch gaullistowski się utrzyma u władzy, albo czy nawet będzie w ogóle istnieć. Przyjdą nowi ludzie, i zupełnie nowe pokolenie, tak jak nastąpiła zmiana pokoleń po 1945 roku. Zjawi się zupełnie inny typ deputowanego i politykiera. Dotąd co charakteryzowało życie polityczne francuskie? *Le Notable*, lokalna wielkość, najczęściej adwokat, często nauczyciel licealny, niekiedy właściciel ziemski. Ten *notable* obiecywał temu posadę wodnego, owemu stypendium, komuś innemu dostawę mleka do miejscowego przytułku, i przez 150 lat to wystarczało, by interes szedł. *Le Notable* był *independant*, jeżeli był w dobrych stosunkach z proboszczem, był *radical-socialiste*, jeżeli stawił na masonerię, i w obu wypadkach szedł luzem: ultra-konserwatywny w sprawach ekonomicznych, wywraçał chętnie gabinety, i był nie od tego by samemu załapać choćby na kilka dni jakiś portfelik. Otóż dzisiaj, z de Gaullem czy bez niego, protekcje i interwencje tego posła nie na wiele się zdadzą: by móc przekupić wyborców, trzeba móc dać albo wielkie roboty publiczne, których wszyscy się domagają (drogi, szkoły, szpitale, mieszkania, kanały etc.), albo fabryki. By rozdawać pierwsze, trzeba mieć plecy rządu, by obiecywać drugie, trzeba mieć plecy wielkich koncernów. Siłą rzeczy na całej prawicy poparcie rządu albo wielkich koncernów staje się dla kandydata na posła sprawą jeżeli nie życia i śmierci, to w każdym razie mandatu. Trzecia możliwość: poparcie wielkich związków zawodowych, robotniczych, czy organizacji rolniczych, albo hotelarskich w regionach turystycznych etc. Lokalna wielkość, *le Notable*, jest zmiażdżona w tych żarnach. Prawicowców będzie mógł przepchać Kościół, Michelin czy Rhône-Poulenc, albo rząd, a lewicowców znowuż rząd jeżeli będzie w ręku lewicy, albo związki zawodowe, albo merowie wielkich miast, których znaczenie bardzo wzrasta. W tej sytuacji prawica nie będzie mogła się zadawać luźną organizacją, która mogła wystarczać za Pinaya; będzie żądać może nie tak surowej dyscypliny, jak UNR, ale w każdym razie jakichś ryzów. Na lewicy będą musieli się pojawić autentyczni przedstawiciele klasy robotniczej, związkowcy i merowie, tacy jak działacze komunistyczni, jak Defferre, jak nawet Mollet, ale muszą zniknąć typy à la Mitterrand, Mendès etc., to znaczy burżuazyjni inteligenci, udający *per procuram* przedstawiciele robotników. Poza tym urbanizacja i uprzemysłowienie Francji zmusi ten kraj do liczenia się z interesami robotniczymi dużo bardziej niż dzisiaj — hołubienie jednej piątej ludności, żyjącej z roli, kosztem 80% konsumentów, żyjących z przemysłu, usług, handlu nie może trwać bez końca. Na prawicy agrariusz, na lewicy inteligent będą głównymi ofiarami nieuniknionej ewolucji. Dodatkowym momentem, eliminującym samodzielnego posła, idącego luzem, będzie telewizja. Plakaty dzisiaj nie działają, na wiece wyborcze nikt nie chodzi, elokwencja tradycyjna, na bankietach, już nie działa. Wyborca orientuje się głównie według telewizji. Daje to niesty-

chane fory leaderom, których dotąd nie mieli ani Poincaré, ani Clémenceau. Mitterrand mógł być asem w kuluarach, nie jest asem w telewizji, i to go kładzie. Lecanuet — to był *un coup de foudre*, i to mu daje atuty, których żaden Giscard, żaden Edgar Faure nigdy mieć nie będzie. Myślę, że te wszystkie momenty ekonomiczne, socjologiczne i techniczne (fotogeniczność, telewizja) będą ważniejsze dla stylu życia politycznego Francji za 10 lat, niż cały gaullizm, wzgl. anty-gaullizm.

Wreszcie Niemcy. Z trzech pseudo-mocarstw Zachodniej Europy Niemcy mają już dzisiaj, *et de loin*, największe siły, największą dynamikę, a więc i największe znaczenie. Nie bardzo wiem, co powinny robić państwa, które realnych, naturalnych sił ekonomicznych i socjalnych nie mają: wydaje mi się, że nic im nie pomoże, jakiegokolwiek harce by nie wyprawiały. Natomiast potężnym trzeba zawsze dawać jedną i tą samą radę: „Macie wiatr w żagle, więc możecie z czasem mieć wszystko: bylebyście tylko się NIE SPIESZYLI!” Pośpiech — *voilà le danger*.

Niemcy Adenauera i Niemcy Erharda się nie śpieszyły, i nie śpieszą, i stąd płyną zdumiewające sukcesy NRF. Ale Erhard jest zużyty do nitki. Pozostawianie jego u władzy, tak samo jak przedtem Adenauera, tłumaczy się tylko i wyłącznie hitleryzmem, który zdyskredytował całe starsze pokolenie. Powyżej 50-tki prawie nie ma ludzi z czystą hipoteką. Wszyscy się zgadzają, że 60-letni Georg Kissinger, premier Badenii-Wirtembergii, byłby doskonałym kanclerzem: ale cóż, był członkiem NSDAP'u! Schroedera spotkałby ten sam zarzut, gdyby się nie był później ożenił z Żydówką: to go oczywiście rozgrzesza. Stąd zwłoka. Ale sądzę, że przejście władzy przez 50-latków (Strauss, Brandt i Mende — wszyscy trzej są dokładnie w tym wieku) jest w bliskiej przyszłości nieuniknione. 50-latki w ogromnej większości już tylko służyli w Wehrmachcie, nie byli członkami partii — to im daje dużo więcej luzu. Ale prawdziwe zluźnianie przedwojennej generacji nadejdzie dopiero gdy do rządów dojrzeją 40-latki, generacja Barzela, która jest na tyle młoda, iż żadnej roli ani za Hitlera ani w czasie wojny odegrać nie mogła. Dopiero gdy Barzel będzie kanclerzem będzie można naprawdę powiedzieć, jak „nowe Niemcy” wyglądają, czy mają dość umiaru, jak przystoi tym, którzy zajmują pierwsze miejsce *par la force des choses*.

Reasumuję: myślę, że wchodzące w życie pokolenie, już nie obciążone winami wojny, jej urazami i kompleksami, a więc poniżej czterdziestki, będzie w stanie sklecić jaką-taką Federację Zachodniej Europy, od Narviku do Matapanu i od Wiednia do Kadyksu: bo gdy tylko wielka trójka zachodnio-europejska się dogada, to reszta pójdzie bardzo prędko; już teraz np. obiekcje przeciw Hiszpanii topnieją z każdym dniem. Myślę, że ta jako tako Zjednoczona Europa zwiększy dobrobyt i stopę życiową do poziomu plus minus dzisiejszej Szwajcarii. Że NIE wybawi satelitów z kleszczy Rosji, takiej czy innej, w każdym razie nie wszystkich. Że do sporu Ameryki z Chinami mieszać się nie zechce. Że zrobi wielkie postępy na drodze do demokracji i ega-

litaryzmu: skasowanie ostatnich monarchii, tytułów, wielkich fortun, wielu nierówności społecznych. Że utrzyma formy wolnościowe i liberalne, oprze się zwycięsko złym mirażom „silnej władzy”. Że będzie miała dużo zdrowego rozsądku, mało polotu i fantazji. Że nie stworzy ani wielkiej sztuki, ani wielkiej literatury, ani herosów, ani mędrców. Będzie to Szwajcaria na wielką skalę: szanowna i szanowana ale mało powabna.

W. A. ZBYSZEWSKI

Książki

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM CXXVII

MAREK HŁASKO

PIĘKNI, DWUDZIESTOLETNI

Powieść autobiograficzna, której fragmenty drukowane były przed kilku miesiącami w „Kulturze” wywołując wielkie zainteresowanie czytelników.

Str. 216.

Cena 13,50 F. (dol. 3,00; 20 sh.)



TOM CXXIX

BORYS LEWIŃKIJ

POLITYKA NARODOWOŚCIOWA W ZSSR

w okresie Chruszczowa

Przekład z niemieckiego Mieczysława Zarzyckiego

POSŁOWIE WSEWOŁODA HOŁUBNYCZEGO

Str. 312.

Cena 16,50 F. (dol. 3,50; 24/6)

Przyziemne

Że powieść jest zwierciadłem życia, można się zgodzić, gdyż tak ogólne stwierdzenie zależy od interpretacji. Trudno jednak uwierzyć, że piszący powinni grzecznie postawić to sobie za cel, jako że ktokolwiek zwraca się do nich z takim żądaniem, zakłada swoją własną wiedzę o owym „życiu” i swój własny system wartości, podczas gdy literatura zwykła odkrywać związki przez nikogo, często przez samych autorów, niepodejrzewane. Nieskuteczność recept można sprawdzić na przykładzie polskiej powieści naszego stulecia. Jesteśmy w prawdziwym kłopotcie, jeżeli chcemy wskazać cudzoziemcom książki, w których utrwalona „realistycznie” pojawiałaby się Polska, czy ta sprzed I wojny, czy z lat 1918-1939, czy ta z okresu 1939-1966. Do tego niedostatku przyczynił się rozpad dziewiętnastowiecznej „obiektywnej” prozy, przyczyniła się też choroba stylizacji, o którą trudno oskarżać tylko Młodą Polskę, skoro przypadłość pojawia się wcześniej, np. u Dygasińskiego, psuje doskonałą w pomysłach „Oziminę” Berenta, znaczy nieznośną liryczną retoryką „Chłopów” Reymonta, kazi dzieło Żeromskiego i, nie zanikając bynajmniej w międzywojennym dwudziestoleciu, zostawia swoje piętno na ekspresjonistycznej manierze Kadena. Poza tym inteligencją polskiej prozy (a stylizacja była może także próbą wyrwania się ze zbyt wąskiego kręgu językowego) skazywała ją na tematy czerpane z względnie niedużego środowiska, albo opracowywane według właściwych temu środowisku perspektyw. Najbardziej ambitna powieść realistyczna w dziewiętnastowiecznej tradycji, *Noce i dnie* Dąbrowskiej, jest przecie książką o szlacheckiej genealogii inteligenta, a w dodatku nie wykracza samym nurtem akcji poza okres, w którym żyło i działało pokolenie pozytywistów.

W przeciwnieństwie do prozy o zacięciu socjologicznym, a więc przejętej swoim obowiązkiem „zwierciadła”, nie roszcząca bynajmniej takich pretensji powieść dziwactw, fantastyki i prywatnych urazów okazała się bardziej nośna, bogatsza w wielonar-

stwowe znaczenia i w szczególności wzięte z tejże otaczającej rzeczywistości, na którą lubili powoływać się jej przeciwnicy. Potwierdzała więc jak by swoim istnieniem jałowość sporów o realizm w warunkach, kiedy pojęcie to było używane przede wszystkim przez ludzi chcących zatrzymać ewolucję literackich gatunków. I niewątpliwie bystry czytelnik z odległego kraju czy z innej planety więcej odgadnie, odwiedzając gabinet krzywych luster jakim są powieści St. Ign. Witkiewicza, Gombrowicza, Brunona Schulza, niż z bezbarwnych a w swojej intencji „poważnych” powieściowych wypracowań. Co prawda, jeżeli chodzi o Polskę międzywojenną, może go ogarnąć pewien niepokój, skoro zapyta gdzie jest chłopka większość tego narodu, nie pojawiająca się u Witkiewicza wcale, pojawiająca się w gombrowiczowskiej *Ferdydurke* jako magma napierająca na ściany dworu i nieobecna ale przecie na pewno jakoś przytomna tuż za rogatkami żydowskiego miasteczka u Schulza. I tutaj należałoby odesłać naszego hipotetycznego czytelnika nie do powieści ale do relacji autentycznych — do *Pamiętników chłopów* i do *Pamiętników młodzieży wiejskiej*. Nie jest wykluczone, że wydanie tych relacji na krótko przed wybuchem ostatniej wojny oznaczało, łącznie z pierwszymi utworami „wiejskich” powieściopisarzy (Piętań, Burek, Morton) jakiś przełom, o którym natychmiast miano zapomnieć skoro zawałił się cały przedwrześniowy układ.

Mówiąc o chłopach nie mam zamiaru wskrzeszać cech społecznostwa z ubiegłego stulecia. Ujmując to zwięźle, obsesje i strachy są uprawnionym materiałem literatury, a brały się one często z myśli o wozach z zielenizną jadących do Warszawy o świcie, tych które pokazał Tuwim pisząc „Bał w operze”. Wieś, mimo jakich takich przemian na lepsze, wydzielona, unieruchomiona przez niskie ceny produktów rolnych i brak przemysłowych inwestycji, była — jeżeli wolno tak się wyrazić nie narażając się na zarzut, dziś ciężki, brzydko-duchowność — ową drzazgą, od której zaczyna się niejedna problematyka filozoficzna. Gdyż nie jest to mało, jeżeli większość tzw. producentów literatury czuje niejasne zagrożenie ze strony wielomilionowej masy istot wprawdzie dwunogich, określonych mianem „człowiek” („człowiek przyniesie drzewa”) ale w istocie zamkniętych w swoim bycie plebejskim. A kto sądzi, że przesadzam, niech przeczyta niektóre sztuki i opowiadania Sławomira Mrożka, pisane przecie już w parę dziesiątków lat po wielkim przewrocie.

Zawiłość dziejowych losów Polski po 1939 roku jest tak ogromna, tak jeżąca włosy na głowie, że byłoby nieprzystojnością ganić jej prozaików za to, że w ich dziełach „narod nie zobaczył się w jestestwie swoim”. Głos polskiej prozy nigdy nie był ustawiony jak np. głos rosyjskiej prozy, to raz. Po wtóre, z takim brakiem ustawienia wkroczyła w czas, kiedy pękały tradycyjne środki wypowiedzi i pod naporem wydarzeń i z powodów zbyt złożonych, żeby tutaj nimi się zajmować. Toteż kiedy zaraz po wojnie Kazimierz Wyka zapowiadał „pogranicze powieści” miał słuszność. Całe doświadczenie wojenne utrzymywało się w niemal-

autobiograficznych opowiadaniach (Borowski, Filipowicz), czy w zaledwie znowelizowanych diariuszach, nie w powieściach o oddechu epickim. Poza tym wkraczało natychmiast po wojnie pseudonimowanie. Można je wyjaśnić względami cenzuralnymi, które uniemożliwiały dotknięcie mnóstwa spraw i przyczyniły się do powstania całego labiryntu przerzutów i napomknięć, premiujących filozoficzną przypowieść ale skazujących na fałsz realistów z upodobań czy z konieczności. Co prawda nie jest pewne, czy pseudonimowanie wypada tłumaczyć wyłącznie zewnętrzną albo wewnętrzną cenzurą, a gdyby nawet tak było, czy właśnie cenzura nie chroniła w pewnych wypadkach od artystycznych błędów, a to z przyczyny wspomnianej zawiłości polskich losów, sięgnięcie w którą wymagałoby się ponad ludzką miarę. Zobaczyć to jaśniej będzie można dopiero wówczas, kiedy dwie literatury powstające po 1939 roku, tj. krajowa i emigracyjna, będą rozpatrywane łącznie. Wreszcie, konceptualizacja. Oglądana z Ameryki czy z zachodniej Europy, współczesna literatura krajów za Elbą robi wrażenie popisów ekwilibrysty, dodajmy, bardzo mądrego ekwilibrysty. Oglądana z Belgradu, Budapesztu czy Pragi, współczesna literatura polska jest najbardziej spośród literatur pobratymczych cienka i wybredna. Należałoby odnotować jej intelektualną błyskotliwość z zadowoleniem, gdy nie to, że na ogół pomaga ona w uzyskaniu krótkotrwałych sukcesów, natomiast przeskadza tam, gdzie pisarz gra o większą stawkę. Gdyż jest to cecha popłacająca w życiu towarzyskim, poddanym fluktuacjom mody, rzeklibyśmy cecha salonowa, gdyby salon literacki nie został zastąpiony przez „środowisko” Domu Literatów i kawiarni. Zaraz po wojnie, próbując określić prozaików, którzy byli uformowani przez międzywojenne dwudziestolecie, mówiono o literaturze „inteligentkich obrachunków”. Ale przecie ci prozaicy — Andrzejewski, Dygat, Brandys, Rudnicki — to główne nazwiska drugiego dwudziestolecia, podczas którego ich „obrachunki” bynajmniej nie ustały. Nakładając sobie mnóstwo masek, przechodzili kolejne na-wrócenia i od-wrócenia, aż po nawrócenie na egzystencjalną głębię, uspasabiającą czytelnika nieco nieufnie w wypadkach kiedy jakiegoś głosiciela autentyczności przyłapał już kiedyś na nieautentyczności. Pośród książek tych autorów *Papioń i diament* Andrzejewskiego zyskał pozycję „klasyka” i stale wydawany w wielkich nakładach, poucza pokolenie urodzone wtedy kiedy powieść powstała o prawdzie 1945 roku. Czy jest to utwór wiernie oddający przynajmniej ówczesną aurę? I tak i nie, ale raczej nie. Można by zresztą było napisać wielką rozprawę o tym jak ówczesna chaotyczna rzeczywistość uległa strukturalizacji i konceptualizacji w tej dziwnej powieści-hybrydzie, wahającej się między moralitetem, tragedią i świadectwem z tezą. Tak porządkować niejasne i nieuporządkowane jest zresztą prawem pisarza i gotowi jesteśmy nawet wybaczyć oczywisty błąd, jakim było przenoszenie do Polski postaci Lafcadię z *Lochów Watykanu* André Gide’a. Można mieć do tej powieści żal raczej o to czego w niej nie ma, niż o to co w niej się

znalazło. Gdyż jeżeli moralne problemy fascynujące Andrzejewskiego jako kronikarza współczesności (problem A.K., problem winy w obozie koncentracyjnym) były ważne ukazywały się u niego niejako wydarte z chropawej, gruzłowatej tkanki dnia codziennego, jakby talent tego pisarza, w istocie dramatyczny, zapędził go do wybrania formy powieści tylko przypadkowo. Stąd prawdopodobnie pewna chudość, brak niby to nic nie znaczącego (a stanowiącego o samym życiu prozy) szczegółu; obecny w tle, składałby się na gąszcz, z którego wyłaniałyby się postacie, bez tej otoczki niezbyt wiarygodne. Stąd też chyba późniejsze zwrócenie się Andrzejewskiego do filozoficznej przypowieści, transponującej polskie sytuacje ale już bez realiów zaczerpniętych z Polski i zajęte wyłącznie „zagadnieniami”. *Ciemności kryją ziemię* opowiadają na przykładzie hiszpańskiej Inkwizycji jak zostaje się inkwizytorem, *Bramy Raju*, poprzez przenośnię średniowiecznej kruczaty dziecięcej, o tym, jak libido skłania do wstąpienia w służbę Wielkiej Idei.

Innych przykładów „obrachunku” dostarczyłaby twórczość jednego z najbardziej uzdolnionych powieściopisarzy powojennych, Tadeusza Konwickiego. Jego *Sennik współczesny* przedstawia dzieje człowieka, który jest opętany manią wymierzenia sobie kary. Ponieważ nie ma Boga i nie ma sprawiedliwości metafizycznej, a ktoś musi karę wymierzyć, podejmuje się tego sam. Bohater walczył w partyzantce na Wileńszczyźnie przeciwko Rosjanom. Żeby siebie ukarać (a nie wnikać tutaj w prawdziwy abyssus psychologiczny ukrywający się pod szyframi i symbolami), wstępuje do Partii i w wiele lat później, tym razem żeby siebie ukarać za nowe winy albo jedną, podstawową winę, popełnia samobójstwo. Odratowany, pędzi rodzaj pośmiertnej egzystencji i cała przeszłość wraca w silnie pseudonimowanych *flashbacks*. Byłaby to potężna powieść, gdyby rzeczywistość w sensie najbardziej potocznym nie została w niej zmieniona w koszmarny sen; krajobrazy, drzewa, kamienie tracą swoją własną, niezależną od ludzkich losów, jakość i zmieniają się w projekcję wewnętrznych stanów bohatera, przez co, o dziwo, z polskiej literatury powieść Konwickiego najbardziej przypomina *Próchno* Berenta, skłaniając do rozmyślań nad odwetem tzw. metafizycznego kryzysu, który niegdyś w Polsce po prostu się rozpylał.

Nikt nie potrafi dziś przewidzieć, mimo wielu usiłowań, co stanie się z powieścią jako gatunkiem. Jedno można stwierdzić, że nie jest z nią w Polsce dobrze i że nie jest ona dostatecznie sprawną współzawodniczką poezji, teatru, opowiadania czy pamiętnika. Być może wszelka narracja wymaga pewnej przyziemności to znaczy uwagi udzielonej rzeczom drobnym i spośród polskich krytyków Jan Błoiński zdaje się być najbardziej powołany do prostowania jej ścieżek, choćby dlatego, że skutecznie zajmował się Proustem. Zdaje się przy tym, że pokolenie biegnące w obrachunkach jest zbyt obciążone i zbyt znarowione, żeby po nim wiele oczekiwać w tym względzie i chyba tylko Dygat zdoła zachować pewną naiwną świeżość. Ich młodzi następcy, jak

można się domyślać z wielu ich stronic, dorastając znaleźli się pod narzucanym przez środowisko przymusem rafinady, z kolei rafinady na czarno, tak że poniżej oskarżeń Wszechświata pisać już nie bardzo wypadało. Co prawda miejscowe przyczyny „frustracji i alienacji” tak spłotły się z modą literacką importowaną z Zachodu, że co bierze się z czego nie wiadomo. Jak wszędzie w Europie, zaważyli tu na pewno prozaicy amerykańscy, choć przyswajani nie inaczej niż Baudelaire był przyswajany przez poetów Młodej Polski, to znaczy z charakterystycznym przeskokiem pewnych cywilizacyjnych przesłanek, zupełnie niezrozumiałych dla ludzi z inaczej urządzonego społeczeństwa.

Ale zapotrzebowanie na sztukę narracji nie zniknie a Kraszewski i pamiętniki XIX wieku nie mogą na długo wystarczyć. Trzeba więc szukać znaków wskazujących nie tylko na „pogranicze powieści” ale na zadatki nowej powieści, nowej nie przez jej chwytły ale przez materiał. Może się myśle, ale przywiązuję szczególną wagę do pewnej książki, która szczęśliwym trafem uchroniła się od obciążeń właściwych środowisku literatów warszawskich czy krakowskich. Autorka jej Urszula Kozioł, jest (dobrą) poetką i nauczycielką mieszkającą we Wrocławiu. Książka jej, *Postoje pamięci*, należy do całkiem pospolitych w Polsce świadectw tego pokolenia, którego dzieciństwo przypadło na lata wojny i jest zapewne mocno autobiograficzna. A więc dzieje małej dziewczynki, Mirki, której oboje rodzice, nauczyciele z zawodu, prowadzą szkołę w wiosce gdzieś na Lubelszczyźnie. Pierwsza część zajmuje się odkrywaniem świata przez Mirkę. W chwili wybuchu wojny Mirka ma siedem czy osiem lat. Druga część to życie rodziny i całej wioski pod niemiecką okupacją. Wreszcie część trzecia: 1944 rok, przewrót społeczny, lata licealne w prowincjonalnym mieście, aż po maturę i wyjazd na studia uniwersyteckie.

Nic więc, zdawałoby się, niezwykle i być może książka zostanie zauważona tylko jako „niezła, taka sobie”. Nic w niej z tych nowych smaków, które w Polsce zapewnią szumek i brawko. Wprawdzie można by było zrobić książkę sławę poprzez zagranicę, tłumacząc ją na inne języki, choć dla każdego tłumacza byłaby to trudna robota, a to z powodu wielkiej obfitości nazw, których odpowiedniki istnieją, ale dla miejskiej publiczności w zachodniej Europie czy w Ameryce nic nie znaczą poza dźwiękami: są to nazwy różnych roślin, zwierząt, narzędzi gospodarskich, prac w polu. A w dodatku te teksty pieśni ludowych, zanotowanych tak jak je słyszała bohaterka powieści. Czy, założywszy, że te przeszkody dałyby się pokonać, tak skromna i wstrzemięźliwa powieść znalazłaby wielu czytelników, nie jest pewne. Odwrotnie niż w Polsce, oceniliby ją wysoko prawdopodobnie tylko bardzo wybredni.

Osobliwość Urszuli Kozioł polega na tym, co nazwałbym surowością pisarskiego instynktu. Inwazja współczesnego świata z jego dziennikarskim hałasem, ideologiami, przemianami stylów, jest odsunięta, pozostaje jako nakaz wierność doświadczeniu.

Z kolei to doświadczenie jest tak swoiste i bogate, że hierarchia, podział na to co ważne i co mniej ważne, w nim się już niejako zawiera. Przede wszystkim topografia rodzinna, pochodzenie rodziców bohaterki z takich i takich wsi, okolic, dzieje ich obojga, ich uporu w zdobywaniu wykształcenia wbrew chłopskiemu losowi, ich entuzjazm, wzajemna miłość (ponieważ rodzice przed wojną zdołali ukończyć seminaria nauczycielskie, bohaterka, po wojnie, ma zepsute „pochodzenie społeczne” — jest córką inteligentów). Następnie, olśnienie pięknem ziemi natychmiast krzyżujące się z nadrzędnym prawem, musiem przetrwania pod niemiecką okupacją, a więc praca, niańczenie młodszego rodzeństwa, tuczenie hodowanych w ukryciu wieprzków, dziecinne przerażenia, ucieczka, wędrówka do bezpieczniejszej wioski nad Sanem. I potężne związki uczuciowe: podziwiana, uwielbiana starsza siostra, Tosia, kolega ze szkoły, mały Daniel, pierwsza miłość Mirki, odtrącona przez nią bo Daniel jest synem niemieckich kolonistów. Wszystko to poddane rygorowi opisu od strony szczegółów, rejestrowanych przez pięć zmysłów — proza poetki, na szczęście nie tzw. proza poetyczna.

Gęstość tej tkaniny szczegółów; ale nie najmniejszą niespodzianką jest wyłaniający się z niej okólnie, podczas gdy autorka niby wcale do niego nie dąży — epos. Bo już nie Soplicowo, ale ta wioska Urszuli Koziół staje się Polską jako Wioska w szczególnym momencie historycznym, oznaczającym koniec pewnych obyczajów i tradycji. W mikrokosmos bohaterki wkraczają prace i dnie rolniczego roku, chłopskie bytowanie poddane rytuałowi, ale zaraz także jeszcze jedna z kolejnych chłopskich katastrof — mobilizacja, zaraz ostatnia bitwa polskiego wojska w pobliskim lesie i wybuch potencjalnej chłopskiej kolaboracji z okupantem (który te możliwości zlekceważył), a wkrótce terror, „leśni”, wymordowanie przez Niemców rodziny żydowskiego sklepikarza. Wioska, pomimo wszystko, zostaje w latach wojny czym była przez stulecia. Jednak w ostatnich rozdziałach powieści ginie, ustępując miejsca czemuś innemu: za kolegów i koleżanki w szkole średniej Mirka ma synów i córki chłopów, a ich matki, niedawno jeszcze tak zgrzebne i hieratyczne, zjawiają się w miejskich strojach, mają futra, pierścionki, zaondulowane loki. Pieśni ludowe zapamiętane przez Mirkę były zapewne ostatnie — jeżeli nie zaginę, będzie je słyszeć tylko z radiowego głośnika. Dziewczęta i chłopcy, z którymi Mirka zdawała maturo, nie wrócą do wioski, a ich młodsze rodzeństwo też w większości wyemigruje do miast.

Ta rozległa socjologiczna panorama ukazująca się, rzeklibyśmy, mimochodem, bez żadnego starania autorki o „typowość” (ale czy wprowadzając Gerwazego, Maćka nad Maćkami, Teli-menę, poeta dbał o typy?) sama wystarcza, żeby utwierdzić nas w niechęci do przepisów na „powieść badawczą”, w jakich lubowała się druga połowa XIX wieku i dziewiętnastowieczni, we wszystkich swoich przyzwyczajeniach, socrealiści. Bo kodyfikacja, wprowadzona wtedy kiedy słabł już młodzieńczy zryw

powieści jako gatunku obciążała nadmiernie autorów, jeżeli brali ją poważnie. Książka Urszuli Koziół poucza nas zresztą, jak daleko jest dziś już od nas obraz powieściopisarza jako bezosobowego („naukowego”) mózgu, umieszczonego gdzieś wysoko ponad losami i odczuciami jego postaci. Choć w *Postojach pamięci* autorka używa trzeciej osoby, jest to nie więcej niż sposób uzyskania pewnego dystansu do Urszuli — Mirki, być może z nadmiaru rzetelności — bo, jak domyślamy się, opowiadając o sobie autorka wstydziałaby się zmieniać fakty czy proporcje, co przecież jest prawem literatury. Trzecia osoba nie powinna nas jednak zbijać z tropu, bo ten chwyt nie wystarczy, żeby książkę wydzielić z całego nowego nurtu, w którym narrator opowiada o swoich ściśle osobistych doznaniach i kłopotach. Co nie znaczy bynajmniej że każdy utwór, odwołujący się do dzieciństwa samego autora, należy zaliczyć do wspomnień albo pamiętników. Dzisiejszy czytelnik, poszukujący autentyczności (bo mnośtwo powieściowych procederów odśloniło swoją sztuczność) zdaje się zapominać, po pierwsze, że najlepsze pamiętniki piszą zapewne łgarze, po drugie, że z chwilą kiedy zaczyna się, jak w każdej powieści, konstruować ludzkie losy, tożsamość autorskiego „ja” z osobą niby to przedstawiającą jego „drugie ja” jest bardzo złudna. *Postoje pamięci* nie są wspomnieniami ani pamiętnikiem, jak nie było nimi *Dwadzieścia lat życia* Zbigniewa Uniłowskiego.

Postacie Urszuli Koziół „żyją” jak to się mówi i, co dziś raczej wyjątkowe, budzą w czytelniku różne odcienie uczuć przyjaźni, współczucia, podziwu. Są przy tym wtopione w tło i to tło, ta niemożliwa do nazwania substancja polskiej wsi, każe coraz to myśleć o wierszach Józefa Czechowicza, też rodem z lubelszczyzny, albo o jakichś niespotykanych nigdzie indziej odcieniach muzyki ludowej. Wszystko to razem usposabia do raczej gorzkich spostrzeżeń. Gdyż mamy do czynienia z wioską jako zespołem ludzi, którzy nigdy poprzez stulecia nie byli panami swoich dziejów, którzy tworzyli zbiorowe ciało, zawsze tylko doznające woli innych ludzi, tych na górze, czy woli przyrody. Spadały na wioskę wojskowe pobory, mężczyźni szli bić się za Napoleona czy za rosyjskiego cesarza, wracali albo nie wracali, ale nic od nich ani od ich kobiet, harujących na gospodarce przez lata wdowieństwa, nie zależało. A w dwudziestym wieku inteligenci z miast zmajstrowali niepodległe państwo, rządili, zawierali międzynarodowe umowy, przekonywali, że wszystko robią mądrze — po to, żeby wioska we wrześniu 1939 roku znów przekonała się z przerażeniem, że wierzyć nikomu nie można. Aż raz jeszcze dzięki potężnej obcej armii, mocą niepojętych doktryn i decyzji zapadających gdzieś daleko, nastąpiło wyzwolenie od Niemców i przewrót — na złe czy na dobre, ale z góry i z zewnątrz podyktowany. W ciągu wielowiekowych przygód tego rodzaju, wioska wydzielała z siebie jak gąsienica jedwabnika swoją nić obrzędów, przyspiewek, porzekadeł, owijając się w kokon, pomimo wszystko, trochę chroniący. Ten kokon musiał być ro-

zerwany wcześniej czy później i pozostaje tylko zastanawiać się nad dziedzicznym obciążeniem ludzi biernych, o których sam ów kokon daje niejakie pojęcie, nad sielsko-rubaszna miękkością czy serdeczną niemrawością, przezierającą z folkloru i form towarzyskiego obcowania: czym to będzie jako wyposażenie na drogę, jak się przekształci w cywilizacji już miejskiej i przemysłowej? Być może wielomilionowa polska emigracja do Ameryki nie pozwala udzielić odpowiedzi na to pytanie, bo wstrząs w zetknięciu z ruchem drobinowym społeczeństwa opartego na technice i pieniądzu był zbyt mocny, tak że on to zapewne mógłby wyjaśnić dlaczego regułą, nie wyjątkiem, jest u Amerykanów polskiego pochodzenia pewna psychiczna bezbronność i rozmażliwość, kontrastująca z cechami prawie wszystkich innych imigracyjnych grup. W amerykańskim folklorze głupota jest cechą narodową Polaków, jak brud Włochów i skąpstwo Szkotów („Dlaczego trzeba dwóch Polaków żeby odkręcić żarówkę? Bo jeden trzyma żarówkę a dwóch kręci drabiną”). Tym niemniej kiedy u Urszuli Koziół natrafiamy w końcowych rozdziałach na rozpad staroświeckiej wsi, jest to przecie związane z możliwością masowej migracji i nowy mieszkaniac miast, wyrwany ze swego wsiowego kokonu nieco nas niepokoi. Wzór drobniomieszkański (jedynie chyba dostępny przy dziedzicznym obciążeniu biernością wobec sił zewnętrznych i wobec obyczaju) byłby niezbyt ponętny. Zresztą natykamy się tutaj na niewiadomą, o tym co się stało dalej polska literatura jak dotychczas powiedziała niewiele.

Tak więc *Postoje pamięci* spełniają warunek nieraz stawiany powieści: żeby była wielowarstwowa, bogata w zdania czy stronice, które nasuwają czytelnikowi mnóstwo skojarzeń, zależnie od jego zainteresowań i skłonności, ale nie przez to, że autor „wie lepiej”; żeby była organicznym tworem a nie żadnym „przekrojem społeczeństwa”. Bo zważmy, że autorka chciała przede wszystkim opowiedzieć o Mirce, Tosi i Danielu.

Czesław MIŁOŚZ

Pod pierwszym wrażeniem

„Le massacre de Katyn’”¹ Henri de Montfort ukazała się na półkach księgarskich w Paryżu.
Jeszcze książka o Katyniu?

1. Ed. „La Table Ronde”, Paris 1966.

Chciałoby się powiedzieć pierwsza książka o Katyniu tego typu tej klasy i tej jednocześnie dla cudzoziemca czytelności.

Pierwszym źródłem nowego francuskiego opracowania jest naturalnie wersja angielska² podstawowego dzieła „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów”³ oraz „Death in the Forest” J. K. Zawodnego⁴, na które autor najczęściej się powołuje. Ale ten materiał jest wzbogacony szeregiem dokumentów zebranych przez autora z przeróżnych archiwów, oraz danych, poprzez bezpośrednie kontakty z ludźmi, którzy taką czy inną rolę w badaniu tej sprawy odegrali.

„Katyn’” wydany w 1949 roku przez „France Empire”, dawno wyczerpany, nie mógł jeszcze zawierać szeregu świadectw, które zawdzięczamy przede wszystkim badaniom Komisji Kongresu Amerykańskiego w 1952 r.

Każdy Polak we Francji, którego sprawy polskie i głosy Francuzów o Polsce interesują, wie kim był autor tej książki, niedawno zmarły Henri de Montfort, wieloletni sekretarz Akademii Francuskiej, prawnik, historyk, autor szeregu książek o Polsce, między innymi monografii o Kościuszcze; brał on wybitny udział w francuskim ruchu podziemnym w czasie II wojny światowej, pierwszą jego żonę, Polkę, Niemcy na śmierć zamęczyli w obozie.

Jeszcze w latach 1950-1951 najprzyjaźniej do Polski usposobiony dziennikarz namawiał mnie, bym nie pisał i nie wspominał we Francji o Katyniu. „To sprawa stracona, Francuzi prawdy o niej wiedzieć *nie chcą*!”. Cóż mogło się zmienić od tego czasu poza jeszcze bardziej zgęszczoną zasłoną obojętności wobec jednej więcej zbrodni, która Francji bezpośrednio nie dotyczy.

A przecie w 1965 roku, w kwietniowym numerze poczytnego i popularnego miesięcznika „Histoire pour tous” ukazał się jeszcze duży artykuł „Świadectwo o Katyniu”, niejakej pani Catherine de Villiers (była podczas wojny porucznikiem Armii Czerwonej i jest autorką powieści o Katyniu). Pani de Villiers fałszując dane i kłamiąc opisuje jak to Niemcy i polscy faszyci obciążyli Katyniem niewinny Związek Sowiecki.

Ale może dlatego właśnie nieliczni Francuzi, miary i serca Montforta przejść do porządku dziennego nad sprawą Katynia nie mogą i nie chcą. Świadczy o tym tylko co wydana „Rzeź katyńska”.

Parę miesięcy przed śmiercią, w przepelnionej sali, Montfort miał odczyt o Katyniu. Dla niejednego z nas przemówienie jego było wstrząsem — sam ton przemówienia przekonywał. Ujęcie sprawy spokojne, zwięzłe, obiektywne w stylu oskarżenia na sali sądowej. Dobór niezbitych argumentów, ich logiczne powiązania, rzut ogólny na tło polityczne i na skutki systematycznego tłumienia przez naszych sojuszników rezonansu tej sprawy na świecie.

2. Polish Cultural Foundation, London 1965.

3. Gryf, Londyn 1962.

4. University of Notre Dame Press, Notre Dame, Indiana 1962.

Te wszystkie zalety w jeszcze wyższym stopniu posiada książka: jest ona bogatsza w materiał, ale równie przejrzysta i w podanej argumentacji definitywna. Montfort wykazuje świadome fałszywe argumenty strony przeciwnej, wyjaśnia dokładnie sprawę łusek od nabożów niemieckich, znalezionych w rowach kатыńskich, nie daje się ani chwili unieść łatwym odruchom sentymentu czy gniewu; opisuje dokładnie zwrócenie się rządu polskiego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, broni tego posunięcia, podkreślając takt i ostrożność noty dyplomatycznej, zredagowanej przez rząd polski. Czytamy dalej o grze rządu ZSSR, wersję sowiecką na poczekaniu zmyśloną, wykorzystanie tej sprawy do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem polskim, aż do wycofania się ze wszelkich wobec Polski przyjętych zobowiązań, reakcje sojuszników, ich ostrożność, przemilczenia, zakazy cenzury pisania na ten temat, jak również omawiania sprawy Katynia przez radio.

W rozdziale o pierwszej komisji, zwołanej przez Niemców do Katynia, znajdujemy wszystko co we wnioskach tej komisji było ważne; autor cytuje przy tym zeznania późniejsze, m.in. delegatów — Duńczyka Tramsena, Włocha Palmieriego — i przedstawia szeroko stanowisko Navilla, do którego specjalnie jeździł do Szwajcarii. Montfort naświetla ważne pobudki, które zdecydowały tego szwajcarskiego prawnika i znanego przeciwnika hitleryzmu zaszczonego po wojnie przez komunistów — do wzięcia udziału w tej komisji.

Autor przeorał się przez ogromny materiał zebrany i wydany przez komisję amerykańską Kongresu, wybrał szereg zeznań, jak dr. Miłośławiczka, Jugosłowianina, który zeznawał w Chicago w 1953 roku. Henri de Montfort podaje również losy zeznań amerykańskiego pułkownika Van Vlieta z 1945 r. i przyczyny dla których przez lata nie dotarły one do Departamentu Stanu.

W dołączonych dokumentach mamy tekst telegramu Harrimana do Roosevelta z 24 stycznia 1944 roku, obciążającego Niemców za zbrodnię oraz wniosek córki Harrimana, która razem z rosyjską komisją badań odwiedziła Katyń. Ta sama panna Harriman, badana przez komisję amerykańską w 1952 roku, stwierdza, że wszystko czego wówczas mogła się dowiedzieć było komedią, rozegraną przez Rosjan dla cudzoziemskich korespondentów w Moskwie. Oba zeznania, o wręcz odwrotnych wnioskach robią, przynębiające wrażenie, lekkomyślnej nieodpowiedzialności za słowa w sprawie takiej wagi.

Podając na zakończenie depezę Churchill'a po zerwaniu stosunków polsko-sowieckich, Montfort dołącza jeszcze raz tekstualnie ten sam telegram Harrimana, o którym wspominałem. Dlaczego właśnie ten?

Otóż Bliss Lane przygotowując się do wyjazdu do Warszawy w czerwcu 1945 jako ambasador Stanów Zjednoczonych, badał materiały dotyczące Polski w Departamencie Stanu. Prosił o dokumentację dotyczącą Katynia. *Jedynym dokumentem*, jaki otrzymał do wglądu był wspomniany telegram.

To jeden tylko z podanych w książce faktów, ilustrujących jak prawda o Katyniu została przez Sowiety sfałszowana, a przez sojuszników Polski *uduszona*.

Książka kończy się wnioskami, które dla każdego inteligentnego czytelnika francuskiego nie mogą zostawiać cienia wątpliwości kto popełnił tę zbrodnię.

Słowa te, napisane pod pierwszym wrażeniem przeczytanej książki, nie są recenzją na którą zasługuje praca o takim bogactwie materiałów, przejrzystości i rozległości analizy faktów — są jedynie wyrazem wdzięczności i hołdu dla śp. Henri de Montfort i najbliższej współpracownicy, drugiej jego małżonki, której zawdzięczamy, że tę świetną książkę, niewykończoną jeszcze za życia autora, uporządkowała i doprowadziła do końca.

Józef CZAPSKI

Eliot jako krytyk

Mija przeszło rok od śmierci Eliota. Jest mało prawdopodobne, by w jego spuściźnie znalazły się nieznane dotąd rewelacyjne dzieła poetyckie czy dramatyczne. Nawet jeżeli zostały jakieś fragmenty i szkice, domyślam się, że ten metodycznie pracujący poeta kazał swoim spadkobiercom je zniszczyć. Możemy co najwyżej spodziewać się definitywnej edycji jego prac krytycznych, których spora, choć nie najważniejsza część, znajduje się rozproszona w czasopismach lub mało dziś dostępnych broszurach.

Tymczasem ukazało się właśnie pierwsze takie wydanie nie zebranych dotychczas esejów pod tytułem *To criticize the Critic*, czyli *Krytyka krytyka*. Jest to więc trzeci obszerniejszy tom jego prac krytycznych. W roku 1932 ukazały się *Eseje wybrane*, a 25 lat później, w roku 1957, tom *O poezji i poetach*.

Najważniejszy dorobek krytyczny Eliota znajdziemy w pierwszym tomie, w *Esejach wybranych*. Pochodzą z okresu, kiedy Eliot wypracowywał swoje kanony poetyckie, dramatopisarskie i krytyczne. Eliot zajmuje się tu jednocześnie twórczością autorów, którzy są przedmiotem jego krytycznej oceny, a także problemami ściśle związanymi z jego własnym warsztatem twórczym. Dzieła wybranych autorów analizowane są z wielkim zrozumieniem i wyczuciem, a zarazem szkice te są fragmentami artystycznej autobiografii Eliota.

Zazwyczaj poeci, którzy pragną usprawiedliwić czy wytłumaczyć swoją twórczość, piszą bezpośrednio o tym, co ich nurtuje. Eliot natomiast woli się ukrywać. Kiedy zwraca uwagę na pewien aspekt czyjejs poetyki możemy być pewni, że chodzi mu o uzasadnienie podobnej praktyki w jego własnej twórczości. Ten złożony charakter wczesnych dzieł krytycznych Eliota decyduje o żywotności i wnikliwości wyrażonych tam sądów.

W drugim zbiorze, z roku 1957, znajdujemy prace z późniejszego okresu. Tu Eliot wypowiada sądy *ex cathedra*, jak przystało na powszechnie cenionego pisarza, z którego opinią wszyscy muszą się liczyć. Eliot nie potrzebuje już uzasadniać swojej poezji, która tak niedawno jeszcze skandalizowała publiczność. Nie znaczy oczywiście, że książka jest mało interesująca. Przeciwnie, zawiera jego sensacyjny atak na autora *Raju utraconego*, a także rozważania o związkach między poezją a dramatem i o „Granicach krytyki”. Ogólnie jednak biorąc, brak tej książki pasji, którą wyczuwamy w jego wcześniejszych pracach.

Obecnie wydana książka jest dość przypadkowym zbiorem z bardzo różnych okresów: najpóźniejszy szkic pochodzi sprzed pięciu lat, dwa najwcześniejsze z czasów pierwszej wojny światowej. I te dwa najwcześniejsze są chyba najciekawsze dla tych, dla których Eliot jest przede wszystkim praktykantem sztuki poetyckiej, raczej niż zasłużonym obywatelem, który tonem uroczystym wypowiada się na różne tematy społeczne od szkolnictwa po religię i politykę.

Jednym z nich jest krótki szkic „Rozmyślenia o wolnym wierszu”. Dziś wolny wiersz jest tak powszechny i przyjęty jak abstrakcyjne malarstwo, w roku 1917 wymagał jednak obrony i uzasadnienia. Ale jak zasadniczo Eliot jako teoretyk nowych form sztuki różni się od futurystów, dadaistów czy polskiej awangardy! Przystudiowawszy jego esej można się nawet zastanawiać, czy Eliot rzeczywiście opowiada się po stronie wolnego wiersza.

Na wstępie bowiem Eliot generalnie potępia rewolucyjne teorie w sztuce. Stosy manifestów zazwyczaj służą do obrony kilku zaledwie dzieł sztuki. Gdy walka o nowy wyraz artystyczny zostaje uwieńczona zwycięstwem, okazuje się nieraz, że sama teoria była fałszywa, albo zgoła utrudniła powstanie dzieła sztuki, które obszłoby się lepiej bez żadnych teorii. Ale, i tu dochodzimy do sedna sprawy, Eliot pisze dalej: „W nowoczesnym społeczeństwie takie rewolucje są prawie że niuniknione... Nowość musi napotkać na obojętność, obojętność prowokuje atak, który wymaga uzasadnienia w teorii. Możemy sobie wyobrazić, że w idealnym społeczeństwie, to co jest dobre i nowe, wyrasta spontanicznie z tego, co jest dobre i stare, bez potrzeby żadnych polemik i teorii; tu mielibyśmy społeczeństwo posiadające żywą tradycję. W gnuśnych społeczeństwach takich, jak nasze, tradycje stale przeobrażają się w zabobony, konieczna więc jest gwałtowna podnieta nowości”.

Oto w momencie kiedy publikacją „Prufrocka”, i nieco później „Ziemi jałowej”, ma rozpocząć pierwszą od przeszło stu lat rewolucję poetycką w Anglii, Eliot odcina się od wszystkich współczesnych rewolucjonistów w sztuce! Oni odrzucali pogardliwie tradycję i historię, stawiali wszystko na nową wspaniałą przyszłość, Eliot przeciwnie, jest podejrzliwy wobec współczesności, afirmuje swoje związki z przeszłością. Wolny wiersz nie jest więc kompletnym wyzwoleniem z dyscypliny, odcięciem się od całokształtu literatury i kultury narastającej przez wieki. Powód leży nie tylko w temperamencie Eliota, lecz oparty jest także na prostej logice: Eliot słusznie zauważa, że pojęcie wolnego wiersza w zupełnej izolacji jest nieporozumieniem, gdyż efektywność wolnego wiersza polega właśnie na tym, że jest w większej lub mniejszej mierze odstępstwem od podłoża formalnej struktury, a nie na tym, że jest absolutną negacją wszelkiej formy. Wolność daje się rozpoznać tylko na tle rygoru formy.

Dlatego w sąsiadującym esejem Eliot chwali młodego Ezrę Pounda za to, że mimo swych radykalnych eksperymentów, zachował poczucie formy i nie dał się uwieść anarchii futurystów. A obecny esej kończy się słowami: „Wnioskujemy więc, że wolny wiersz nie da się zdefiniować brakiem wzoru czy brakiem rymu, są bowiem także inne typy utworów poetyckich, które nie posiadają tych cech; wnioskujemy również, że nieobecność rymu także nie jest stosowną definicją wolnego wiersza, ponieważ nawet najgorszy wiersz da się skandować; wnioskujemy więc, że nie istnieje żadna różnica między wierszem tradycyjnym a wierszem wolnym, że istnieje tylko dobra poezja, zła poezja i chaos”.

Poezja Eliota odznacza się właśnie taką dwuwarstwową strukturą: z jednej strony robi wrażenie chaosu i przypadkowości, której pozazdrościć by mógł niejeden nad-realista, ale bliższa analiza ujawnia obecność rygorystycznego wzorca. Eliot uważał się za rzemieślnika i przyjmował, że praktyka wierszopisarska wymaga pracy i technicznej zaprawy. Dlaczego więc Eliot nie poprzestał na komponowaniu sonetów? Ponieważ, odpowiada poeta, „Tylko w jednolitym i silnie związanym społeczeństwie, w którym ludzie pracują nad tymi samymi zagadnieniami, tylko w takich społeczeństwach, jak te, które wytworzyły chóry greckie, elzbietańskie liryki i pieśni trubadurów, rozwój tych form może być doprowadzony do perfekcji”.

Eliot broni więc nowoczesnych, swobodniejszych przykładów wyrazu poetyckiego ze względów czysto negatywnych. Nie dlatego, że poszerzają zasięg ekspresji artystycznej, ale dlatego, że bardziej doskonałe formy możliwe były tylko w zamkniętych, kulturowo jednolitych społeczeństwach klasycznych Aten czy średniowiecznej Prowansji. W tej wczesnej bardzo, miniaturowej pracy krytycznej mamy załączek paradoksu całej twórczości Eliota: poeta którego dwudziesty wiek napawał obrzydzeniem, stworzył poezję, która jest jedną z najbardziej wnikliwych analiz współczesnej cywilizacji.

Adam CZERNIAWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

CZUCHNOWSKI (Marian). *Czarna koronka*. Powieść. Str. 320. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966, cena 9/6).

HŁASKO (Marek). *Nawrócony w Jaffie*. Opowiem wam o Esther. Str. 160. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966, cena 6/6).

JABŁOŃSKI (Zygmunt M.). *Nad rzeką Amen, niedaleko Prawdy i inne kłamstwa*. Opowiadania. Str. 160. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966, cena 6/6).

LASOCKI (Wiesław A.). *Zwierzęta i żołnierze*. Opowiadania. Str. 160. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966, cena 6/6).

- TARNAWSKI (Wit). *Mój ojciec*. Str. 160. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966, cena 6/6).
- TERTZ (Abram) (A. J. Sinjavskij). *Kuppen i Ljubimov*. Przekład Grety Hjelm. Str. 164 i 4 nlb. (Wyd. Rabén & Sjögren, Stockholm, 1966, cena kor. szw. 22,50).
- On Trial. The Soviet State versus „Abram Tertz” and „Nikolai Arzhak”*. Translated, Edited and with an Introduction by Max Hayward. Str. 183 z Indekssem (Wyd. Harper & Row, Publishers, New York, Evanston and London, 1966, cena dol. 4,95).
- PANUCEVICZ (Vaclau). *Historyja Biełarusi*. Tom I. Nazwy i archeologia. (w jęz. białoruskim). Str. 368. (Vari-typer, wyd. Biełaruskaja Wydawieckaja Cjabryna, Chicago, 1965).
- PYZIK (Estanislao P.). *Los Polacos en la Republica Argentina y America del Sur desde en ano 1812*. Str. 329 i 5 nlb. (Wyd. przez Komitet Uczczenia Polskiego Millenium, Buenos Aires, 1966).
- Gloria Victis* az 1956-os Magyar Szabadságharc Költői Visszhangja a Nagyvilágban. Odpowiedź poetów całego świata na walkę o wolność Węgrów w 1956 roku. Antologia. Zebrał i wydał Tibor TOLLAS. Str. 424. Strona okładowa — rysunek Oscara Kokoschki. Antologia składa się z poematów w językach oryginalnych oraz ich tłumaczeń na język węgierski. (Nakładem Nemzetör, Monachium, 1966, cena DM. 22,—).
- OLEŚ (Marian). *The Armenian Law in the Polish Kingdom* (1356-1519). Str. 125 i 1 nlb. (Edizioni Hosianum, Roma 1966).
- VOZNESENSKY (Andrei). *Anti-worlds*. Str. 120. Edited by Patricia Blake & Max Hayward,
- with a Foreword by W. H. Auden. (Basic Books, Inc. Publishers, New York, 1966, cena dol. 4,95).
- Perspectives on Reality. Readings in Metaphysics from Classical Philosophy to Existentialism*. Str. 683. Cz. IV pt. „Analytic-Positivist Thought” zawierająca opracowania Hume'a, Russell'a, Carnap'a, Tarskiego i Ayer'a — pod redakcją Jerzego A. Wojciechowskiego z University of Ottawa. (Wyd. Harcourt, Brace & World, Inc. 1966).
- BRUMBERG (Joseph & Abraham). *Sovyetish Heymland. An Analysis*. Str. 56. (Edit. Anti-Defamation League of B'nai B'rith, New York, 1966).
- ANDZEJEVSKI (Jezi). *Ide skacući po gorama*. Str. 277. Przełożył i zaopatrzył przedmową Petar Vujčić. (Wyd. Nolit, Beograd, 1966).
- HLASKO (Marek). *Necista posla*. Str. 272. Przekład z Polskiego Petara Vujčića. (Biblioteka „Best-seleri” No 6, Titograd, 1965).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Henryk Sienkiewicz to Jeremiah Curtin: Some Unpublished Letters*. Str. 3-21. (Nadbitka z „The Polish Review, Vol. X, No 3, Lato, 1965, wyd. przez The Polish Institut of Arts and Sciences, in America, Inc.).
- WANCZYCKI (Jan K.). *Union Dues and Political Contributions — Great Britain, United States, Canada — a Comparison*. Str. 143-209. (Nadbitka z „Relations Industrielles, Vol. 21, No 2, April, 1966, Quebec.).
- WEINTRAUB (Wiktor). *Italian-Polish Cultural Relations*. Str. 133-142. (Nadbitka z „Slavic Review, Vol. XXV, No 1, March, 1966).

- WEINTRAUB (Wiktor). *„Pierwszy w Polsce futurysta”*. Str. 923-932. (Nadbitka z „Orbis Scriptus”, nr specjalny z okazji 70 urodzin Dmitri Tschizewskiego (Wilhelm Fink Verlag, München, 1966).
- WEINTRAUB (Wiktor). *„Dwa Parryże”*. Str. 278-287. (Nadbitka z „Prac Polonistycznych” S. XX).
- WEINTRAUB (Wiktor). *Jeszcze o „Rozłączeniu” i jego adresatce*. Str. 491-496. (Nadbitka z „Pamiętnika Literackiego”, LVI, 1965, z. 2).
- Five-Year Report* (July 1961 - June 1966). Sprawozdanie z działalności Wanda Roehr Foundation, 23 East 37 Street, New York, N.Y. 10016. Str. 48.
- MOND (Georges). *La Presse Communiste-Groupe De Pression?* (Str. 267-277. (Nadbitka z „Canadian Slavonic Papers, Vol. VIII, 1966).
- PANKOWSKI (Marian). *Elements pour une approche de la littérature polonaise*. Str. 12. (Odbitka z „Revue de l'Université de Bruxelles, Juin-Juillet 1966).
- PANKOWSKI (Marian). *Un symboliste polonais, Boleslas Leśmian, et les contes de „Mille et une Nuits”*. Str. 8. (Odbitka z „Acta Orientalia Belgica”, Correspondance d'Orient No 10).
- PANKOWSKI (M.). *La poésie de Waclaw Rolicz-Lieder lue aujourd'hui*. Str. 221-236. (Nadbitka z „L'Annuaire de l'Institut de Philologie et d'Histoire Orientales et Slaves, Tome XVII (1963-1965), Bruxelles, 1966).
- LEWYTZYKJ (Borys). *XXIII Parteitag der KPdSU. Ein Spiegel gesellschaftlichen Umwälzungen*. Str. 121-128. (W „Dag-Hefte”, sierpień, 1966, Hamburg).
- BROMKE (Adam). *The United States and Eastern Europe*. Str. 211-217. (Nadbitka z „International Journal” Canadian Institute of International Affairs, Vol. XXI, No 2, Spring, 1966).
- BROMKE (Adam). *Communism and Political Realism in Poland*. Str. 137-150. (Nadbitka z „Journal of International Affairs, Vol. 20, No 1, 1966).
- HEYDENKORN (Benedykt). *Poland in 1965 — Personal Impressions*. Str. 132-142. (Nadbitka z Canadian Slavonic Papers, VIII, Toronto, 1966).
- RUDZIŃSKI (Aleksander W.). *New Communist Civil Codes of Czechoslovakia and Poland: A General Appraisal*. Str. 33-68. (Nadbitka z „Indiana Law Journal”, Vol. 41, Fall 1965, No 1; wyd. Research Institute on Communist Affairs, School of International Affairs, Columbia University, New York, styczeń, 1966).
- JORDAN (Z. A.). *Socialism, Alienation, and Political Power*. Str. 119-133. (Nadbitka z „Survey”, No 60, July, 1966, London).
- KOS - RABCEWICZ - ZUBKOWSKI (L.). *The possibilities for treaties on private international law to serve as model laws*. Str. 229-253 (Wyd. „La Revue du Barreau de la province de Québec”, Tom 26, No 4, Montréal, Avril, 1966).
- RUDNYTSKY (Ivan L.). *Ukrainians in Galicia under Austrian Rule*. Str. 61. Powielacz. (Philadelphia, kwiecień, 1966).
- MOND (Georges) and RICHTER (R.). *Writers and Journalists: A Pressure Group in East European Politics*. Str. 95-107. (W „Journalism Quarterly”, Vol. 43, Spring, 1966, Univ. of Minnesota, Minneapolis, Minn. USA).
- GÖMÖRI (George). *Social Conflicts in Hungarian Literature, 1920-1965*. Str. 151-164. (Nadbitka z „Journal of International Affairs”, No 1, New York, 1966).

Humor krajowy

Do szkoły przyjechał inspektor, żeby zbadać uświadomienie polityczne dzieci, i m.in. zadał im pytanie: „Powiedźcie mi jakich mamy przyjaciół?”

Mały Jasio odpowiada: Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Jugosławia...

— I Związek Radziecki — podpowiada inspektor.

— Związek Radziecki to nie przyjaciel — mówi Jasio.

Przeżarty nauczyciel usiłuje uratować sytuację:

— Ależ Jasiu, przecież zawsze opowiadam wam o naszym wielkim, kochającym nas sąsiedzie...

— Ale Związek Radziecki to nie jest nasz przyjaciel — powtarza z uporem Jasio.

— Jak to? — mówi zdumiony inspektor.

— A bo Związek Radziecki to nasz brat, a brata się ma...

Kowalski wygrał w toto-lotka milion złotych i radzi się przyjaciela co zrobić z taką masą pieniędzy.

— Wpłacić na P.K.O. — mówi przyjaciel — wygrałeś, nikt nie może się do ciebie przyczepić.

— A co będzie jak P.K.O. zbankrutuje — mówi nieufnie Kowalski.

— Co też ty mówisz — P.K.O. nie może zbankrutować, to państwowa instytucja, za nią gwarantuje Polska Ludowa.

— A co będzie jak zbankrutuje i upadnie Polska Ludowa? — upiera się Kowalski.

— Idiotyczne pytanie — odpowiada przyjaciel — czy to nie byłoby dla ciebie warte miliona złotych?

Warszawskim tramwajem jedzie mama z sześciolatkiem synkiem, który bez przerwy zadaje pytania.

— Mamo, ile metrów ma ten dom?

— 50 — odpowiada znużonym głosem matka.

— A ta latarnia?

— 12 — mówi na odczepnego mama.

Tramwaj przejeżdża koło transparentu z napisem „Niech żyje socjalizm!”

— A ile metrów ma socjalizm? — pyta chłopczyk.

Matka nie wie co odpowiedzieć, ale przychodzi jej z pomocą inny mały chłopczyk, siedzący na sąsiedniej ławce.

— A ja wiem — mówi — socjalizm ma metr i sześćdziesiąt pięć centymetrów.

— Dlaczego? — pytają zdumieni pasażerowie.

— A bo mój tatuś ma wzrostu metr osiemdziesiąt pięć i zawsze powtarza, że ma socjalizmu po dziurki w nosie...

W fabryce odbywa się masówka. Prelegent mówi:
— Nasze dzieci będą już żyły w prawdziwym socjalizmie a nasze wnuki doczekają się komunizmu...

— A dobrze tak chuliganom! — zawołał z końca sali staruszek-woźny.

Nauczyciel w szkole zapisując dzieci na komplety języków obcych wyjaśnia, że przede wszystkim należy się uczyć języków krajów socjalistycznych — przyjaciół Polski Ludowej.

Mały Jasio podnosi rękę i mówi:

— To mnie proszę zapisać na język wschodnio-niemiecki.

Kowalski kandyduje do partii. Jak zwykle w takich wypadkach zbiera się egzekutywa partyjna i wszyscy po kolei zadają kandydatowi pytania: co sądzi o wojnie w Wietnamie, jak ocenia politykę Związku Radzieckiego, jakie znaczenie ma dla niego partia i tp. i td.

Kowalski na wszystko odpowiada sloganami z „Trybuny Ludu”. Jednemu z pytających nie bardzo się to podoba więc zwraca się do Kowalskiego:

— Mówicie tak, jak byście czytali na głos naszą partyjną gazetę. Czy nie potraficie mówić z większym przekonaniem? Czy nie macie własnego zdania?

— Własne zdanie to ja mam — odpowiedział Kowalski — ale się z nim nie zgadzam.

Do ministra, do domu, telefonuje kobieta. Słuchawkę podnosi żona i pyta kto mówi, i na odpowiedź, że to koleżanka pana ministra ze szkolnej ławy wybucha:

— Ach, nakryłam się ty k....., minister do żadnych szkół nie chodził.

PYTANIA I ODPOWIEDZI

P.: — Kiedy Kubańczycy będą już na pewno wiedzieli, że na Kubie jest prawdziwy socjalizm?

O.: — Wtedy, kiedy Kuba zacznie sprowadzać cukier.

P.: — Kto zbuduje w Polsce drugi rurociąg przyjaźni?

O.: — Ci, co opowiadają dowcipy o pierwszym.

P.: — Czy w Polsce są koncerty?

O.: — Jest jeden: General Moczar and Co.

P.: — Jaka jest różnica pomiędzy wyszczerbionym nocnikiem a zebraniem partyjnym?

O.: — Żadna. Na jednym i na drugim trudno jest długo wysiedzieć.



P.: — Jaka jest różnica pomiędzy bajkami rosyjskimi a radzieckimi?

O.: — Bajki rosyjskie zawsze zaczynały się od słów: „Za górami, za lasami, za siedmioma rzekami...”, zaś bajki radzieckie od: „Agencja TASS donosi...”



P.: — Kto jest najlepszym dziaduniem w Polsce?

O.: — Gomułka, bo daje mleko bez kożuszka, do jedzenia nie zmusza, a jakie bajeczki opowiada!...



P.: — Dlaczego w Związku Radzieckim nigdy nie ma powodzi?

O.: — Bo tam się nawet w rzekach nie przelewa...



P.: — Dlaczego w Polsce przedwrześniowej patroli policyjne składały się z dwóch policjantów, a w Polsce Ludowej z trzech milicjantów?

O.: — Dawniej musiało być dwóch policjantów — bo jeden umiał czytać, a drugi pisać, obecnie jest tak samo tylko że jak zbierze się dwóch intelektualistów to przecież musi ich ktoś pilnować...



P.: — Jaki okres rozpoczął się w Polsce po tysiącleciu?

O.: — Po-mylenium.



P.: — Co się zbiera w Rosji jak nie ma urodzaju?

O.: — Komitet Centralny.

AUTENTYCZNE

Pisarka starszego pokolenia, słynna Czajka (Izabela Stachowicz) została wezwana do Bezpieki na przesłuchanie w związku z tym, że na publicznym zebraniu powiedziała do Zenona Kliszki: „Mów głośniej, synku”. Kliszko poczuł się urażony zbyt poufałym tonem i zwrotem „synku”.

Pułkownik Bezpieki człowiek, starszy i mocno szpakowaty zaczął informować Czajkę dlaczego została do niego wezwana.

— Mów głośniej, synku — przerwała mu pisarka. — Stara jestem i nie dosłyszę...



Na dorocznym zebraniu Związku Literatów rozpoczęto dyskusję nad działalnością ustępującego Zarządu Głównego. O głos poprosił January Grzędziński. Cerberzy linii partyjnej zbledli, gdyż wystąpienia Grzędzińskiego mają zawsze niewygodne akcenty polityczne. Putrament, chcąc się upewnić, że tym razem wszystko będzie w porządku, raz jeszcze przypomina Grzędzi-

dzińskiemu, że dyskusja dotyczy wyłącznie pracy ustępującego Zarządu Głównego. Grzędziński zapewnił go, że będzie mówił tylko na ten temat i zaczął:

— Proszę koleżanek i kolegów, muszę skrytykować ustępującego Zarządu Głównego. Jak przyszła do mnie Bezpieka, gdy zrobili rewizję i bezprawnie zabrali mi książki i rękopisy¹ — Zarząd Główny nie interweniował...

ZE ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

Rzecz dzieje się na Białorusi. Komsomolcy Marusia i Wania poszli na spacer do lasu, usiedli pod krzaczkiem i całują się. Nagle z gęstwiny leśniej wychodzi starzec z siwą brodą, w fufajce i z karabinem na ramieniu. Widząc młodą parę wybucha:

— Jak wam nie wstyd całować się gdy okupant gnębi kraj a ojczyzna w takim niebezpieczeństwie?

— Oszalałeś dziadku? Jaki okupant? Przecież wojna skończyła się 21 lat temu!

— Co wy mówicie, dzieci? A ja wciąż wysadzam i wysadzam pociągi!

Podłuchane w knajpie

Przy wódce siedzi dwóch zalanych przyjaciół. Jeden obejmuje drugiego i mówi:

— Wiesz, Wania, za co tak ciebie kocham? Nie za to, że jesteś łapownik i złodziej, nie za to, że piszesz donosy na kolegów i bijesz żonę, ale za to, że jesteś taki szczery, dobry komunista...



Pewien NKWudzista mawiał: Towarzysz Lenin uczył, że najważniejszy jest człowiek! My, komuniści, pamiętamy słowa wielkiego Lenina. Jak jest człowiek to paragraf na niego zawsze się znajdzie.



Na zapytanie czy będą pieniądze w komunizmie — znane Radio Erywań dało następującą odpowiedź:

„Nasi dogmatycy mówią, że nie, że pieniądze nikomu nie są potrzebne, że cały wsiełek winien mieć na celu zbudowanie lepszego świata i wyzwolenie wszystkich narodów spod jarzma kapitalizmu; nasi odwilżowcy mówią, że na pewno pieniądze będą mieli wszyscy. — My, ze swej strony, stojąc na stanowisku marksistowsko-dogmatycznym i prawdziwie dialektycznym twierdzimy, że w przyszłości i u nas jedni będą mieli pieniądze, a drudzy nie.

O Chruszczowie dzisiaj

Nina Chruszczowa poszła po zakupy i nie było jej kilka godzin. Po powrocie zdenerwowany Nikita robi jej wymówki.

1. W kilka tygodni po tej rewizji i zabranii wszystkich maszynopisów i rękopisów pisarza, znów miała miejsce „wizyta” Bezpieki w jego mieszkaniu. Oficer Bezpieczeństwa, widząc na biurku Grzędzińskiego świeżo ukończone rękopisy, powiedział do niego z wyrzutem:

— I znowu tyle napisaliście!

— Mój drogi — tłumaczy się Nina — naprawdę nie mogłam wcześniej wrócić: musiałam stać w ogonku po chleb, potem po cukier, no i czekałam dwie godziny aż przywiozą mięso...

— No proszę — mówi Chruszczow — do czegoż to oni doprowadzili nasz kraj w tak krótkim czasie!...



Podobno Chruszczow przemawiał dwie godziny na Kremlu...

— ???

— Do strażnika, żeby go wpuścić.

OPOWIEŚCI AUTENTYCZNE

Do zatłoczonego warszawskiego tramwaju wsiada pijany robociarz i zaczyna głośno wymyślać na władzę ludową, Gomułkę i socjalizm. Do robociarza przeciska się tajniak i żąda dowodu osobistego. Robotnik odmawia robiąc mu całkiem niedwuznaczne propozycje. Tajniak zwraca się do stojącego obok pasażera:

— Proszę o dowód. Będziecie świadkiem, że ten obywatel obraził władzę ludową.

— Ja nic nie słyszałem, panie władza, i nic tam świadczyć nie będę — odpowiada zaczepiony.

Tajniak zwraca się do siedzącej obok starszej kobiety:

— To wy będziecie świadczyć!

— Co? — mówi zapytana — głucha jestem, nic nie słyszę...

Cały tramwaj wybuchnął śmiechem i spesniony tajniak wysiadł na pierwszym przystanku a robociarz krzychał za nim:

— Widzisz! Tak wygląda prawdziwy Front Jedności Narodu!



Podczas Wyciągu Pokoju do Przewodniczącego Rady Państwa, Edwarda Ochaba, zwrócił się sprawozdawca radiowy zapytaniem:

— Jak ocenia Pan szanse naszych chłopców?

Ochab spojrział groźnie na reportera i odpowiedział:

— Dziwię się bardzo, że Polskie Radio przysłało do mnie reportera który nawet nie wie jak ma się zwracać do Przewodniczącego Rady Państwa. Ja jestem komunistą i wypraszam sobie formę *pan*. Proszę do mnie mówić — *towarzyszu*.

W radio zapanowała konsternacja (audycja szła na żywo), po chwili usłyszano jak zmaltretowany reporter nieśmiało ponowił pytanie:

— A więc... jak *towarzysz* ocenia szanse naszych chłopców.

— No cóż — odpowiedział Ochab — *daj Boże*, żeby wygrali...

W związku z powyższym — autentycznym — wydarzeniem, opowiadano w Warszawie dwie anegdoty:

— Czy wiecie że Ochab ciężko zachorował na pęcherz?

— Co się stało?

— Biedak nigdzie nie może się wysiusiać. Wszędzie są tabliczki „Dla panów”, a nigdzie nie ma „Dla towarzyszy”.

Ochab telefonuje do domu i chce rozmawiać z żoną. Telefon odbiera służąca.

— Towarzysko gospośniu — mówi Ochab — czy jest pani?

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Montreal, 2 sierpnia 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W lipcowo-sierpniowym numerze „Kultury” p. Jan Pomian polemizuje z p. Z. S. Siemaszko na temat dra Retingera i przytacza „fakty”.

Twierdzi on, że z uwagi na zajmowane stanowisko jest obeznany z tym rozdziałem historii i podaje, że:

„Dr Retinger został odwieziony na właściwe lotnisko, ale w wyniku zamieszania, które nastąpiło w bezksiężycową noc na konspiracyjnym lotnisku, nie zdołał dobiec do samolotu, który wylądował po przeciwnej stronie lotniska i który nie natrafiwszy na pasażerów, wystartował z powrotem w myśl rozkazów, które nie pozwalały mu czekać dłużej niż kilka minut”. — i dalej — „Dr Retinger wyleciał do Anglii, w kilka miesięcy później, ale tym razem kompletnie sparaliżowany, wraz z Tomaszem Arciszewskim i odnalezionymi przez A.K. częściami pierwszego nieuszkodzonego modelu V-1”.

Primo: Zamieszanie na lotnisku „Motyl” przypuszczalnie nie było, ponieważ akcja ta trwała 6 min. i zaliczona została do sprawnie przeprowadzonej. Samolot Dakota „Drugim Mostem” zabrał 3-ch pasażerów oraz pocztę.

Secundo: W poniedziałek 29 maja 1944 r. noc była księżycowa (I-sza ćwiartka), co łatwo można obliczyć, względnie sprawdzić w kalendarzu. Loty do Polski zaliczane były do operacji ciężkich i odbywały się one przeważnie w nocy księżycowej z uwagi na nawigację, (przy księżycu rzeki się świecą) a tym bardziej „Mosty” tj. lądowania brytyjskiego samolotu Dakota na polowym niemieckim lotnisku.

Tertio: „Trzecim Mostem” (akcja „Jastrząb”) w nocy 25/26 lipca 1944 roku, z lotniska „Motyl” nad rzeką Kisieliną (mapa Brzesko Nowe 1:100000 pas 48, słup 31) ze sparaliżowanym drem Retingerem odleciały części rakiet V-2 z dokumentacją techniczną, a nie V-1, jak podaje mimochodem p. Jan Pomian. Różnica w nomenklaturze znikoma. W samej zaś zasadzie technicznej ogromna. Latająca bomba tzw. V-1 o formie zhlizonej do małego samolotu była projektem „Luftwaffe” Fi-103. Po wyrzuceniu z wyrzutni bomba napędzana była silnikiem pulsacyjno-odrzutowym. Zasięg jej uzależniony był od obrotów silnika, poruszanego nisko oktanową benzyną i nie przekraczał 300 km. Szybkość lotu wynosiła ponad 600km./godz. W głowicy umieszczony był materiał wybuchowy o wadze 1 tony.

Natomiast pocisk raketowy tzw. V-2 (projekt armii A-4), prototyp dziesiętnych rakiet międzykontynentalnych i kosmicznych, był nie lada osiągnięciem technicznym, na równi z wynalazkiem koła i śruby. Szybkość lotu wynosiła 6400 km./godz. Rakiety V-2 (A-4) sterowana była radiem. Za paliwo używany był alkohol i ciekły tlen. Głowica pocisku posiadała ładunek wybuchowy wagi 800 kg. Zasięg przekraczał 350 km.

Z poważaniem,

Kajetan BIENIECKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Londyn, 21 lipca, 1966 r.

Recenzując *Ryby na piasku* Wacław Iwaniuk twierdzi, że książka „czekała na światło dzienne grubych kilka lat w biurku redaktora”.

3 maja 1960 r. podpisałem z firmą B. Świderski umowę, w której zobowiązałem się przedstawić wydawcy czystopis do końca 1960 r., a wydawca zobowiązał się wydać książkę „w ciągu dwu lat od podpisania umowy”. W istocie wydawca otrzymał czystopis na jesieni i przewidywał, że książka ukaże się na wiosnę 1961 r.

List ten piszę, aby ustalić fakty, a nie dlatego, że mam żal do wydawcy za to, że książka ukazała się ostatecznie dopiero w grudniu ubiegłego roku. Firma B. Świderski uczyniła mnie i moim kolegom ogromną przysługę podejmując się wydać tak obszerną antologię w niesprzyjających takim przedsięwzięciom warunkach emigracyjnych. W takiej sytuacji kilkuletnie opóźnienie, aczkolwiek irytujące dla stron zainteresowanych, należy uznać za drobnostkę.

Łączę wyrazy szacunku,

Adam CZERNIAWSKI

Tel-Aviv (dawniej Wilno), 26./6./66.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uzasadniając wojenne powiązania papieżstwa z nazizmem pisze pan Mirowski (Watykan a świat komunistyczny, „Kultura” 6/224):

„W rzeczywistości główną przyczyną tej postawy stolicy świętej była nadzieja, że nareszcie będzie można prowadzić akcję unijną wśród prawosławnych, gdy zostaną oswobodzeni przez Niemców”...

Więc już nawet ludożerców można awansować na oswobodzicieli? Genau so wie der Apostel Joseph (Goebbels) gepredigt hat? A może to jest potrzebne dla przygotowania procesu kanonizacyjnego Piusa XII? Zgodnie z jezuicką zasadą: cel uświęca środki...

Z poważaniem,

Marek DAYON

Tanger, 10 czerwca 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wspomnienie o Stanisławie Mackiewicz w czerwcowym numerze „Kultury” zawiera ustępy świadczące, że antysemityzm polski jest głęboko zakorzenioną chorobą, której nawet długoletni pobyt zagranicą nie potrafi wyleczyć. Pisze Zbyszewski:

„Najmniejszego zrozumienia dla walki kupiectwa i chłopstwa polskiego z konkurencją czy lichwiarstwem żydowskim Mackiewicz nigdy nie miał, i tak samo był dziwnie ślepy i nieuczulony na judaizację polskiej inteligencji, adwokatury, medycyny, kasty urzędniczej. Dopiero w Polsce Gomułka zauważył ten problem, i się nim zaniepokoił: uderzyło go specjalnie całko-

wite opanowanie przez Żydów cenzury, radia, telewizji, urzędów prasowych, prasy. 'W klubie dziennikarzy w Warszawie', mówił mi wielokrotnie, 'są sami Żydzi, poza mną i... kelnerami'. Jeżeli są w Polsce rozumni, poważni Żydzi, a tacy obyć byli, to powinni się nad tym zastanowić: jeżeli ex-ONR-owcy są antysemitami, to to niczego nie dowodzi, ale jeśli się do antysemityzmu składają ex-konserwatyści, to znaczy że dla Żydów to jest bardzo poważny trzeci dzwonek i że czas im zrobić poważny rachunek sumienia!”

Ile rewelacji w tym krótkim ustępie! Pójdźmy więc za dźwiękiem dzwonu.

1) Dla Zbyszewskiego przedwojenne szczucie antysemityczne to była rzecz wiasta i społecznie usprawiedliwiona walka przeważającej części narodu polskiego (kupiectwa, chłopstwa, zawodów wywołanych, inteligencji, urzędników) z „zalewem żydowskim”. Mackiewicz piewca dworów szlacheckich nie miał zrozumienia dla tej walki i był dziwnie ślepy i nieuczulony na judaizację pewnych zawodów.

2) Dla Mackiewicza i Zbyszewskiego nie wystarczy że dziennikarze piszą po polsku i uważają się za Polaków. Dla nich język, kultura i swobodne samookreślenie nie decydują jeszcze w pełni o przynależności narodowej. Ich interesuje pochodzenie polskich dziennikarzy. Zbyszewski uważa że „judaizacja” zawodu dziennikarskiego jest niebezpieczna dla Żydów.

3) Wzywając „rozumnych i poważnych Żydów” do zastanowienia się nad sytuacją Zbyszewski, jeśli nie wierzy w „mędrców Syjonu”, to uważa, że Żydzi w Polsce już mają, albo powinni stworzyć jakiś „rząd dusz”, ośrodek dyspozycyjny, który by dbał o utrzymanie „numerus clausus” w poszczególnych zawodach i którego instrukcje byłyby szanowane przez obywateli polskich żydowskiego pochodzenia.

4) Twierdząc, że antysemityzm konserwatystów polskich jest czymś nowym, nad czym należy się zastanowić, Zbyszewski zdaje się zapominać, że antysemityzm polski istniał przed Hitlerem i przed O.N.R.-em i że z reguły znajdował poparcie w sferach prawniczych i społecznie konserwatywnych. Sam Mackiewicz, wielbiciel „Action Française” i Leona Daudeta, nie był przed wojną obcy antysemityzmowi, choć był niewątpliwie wrogi hitleryzmowi i jego ludobójczym praktykom. To Mackiewicz w walce z lewicą ukuł idyosyncrasyjny termin „folksfront” i w ten sposób dołał oliwy do ognia tych, którzy mówili o „żydo-komunie”.

5) Przestrzegając Żydów w Polsce przed trzecim dzwonkiem i wzywając ich do zrobienia rachunku sumienia Zbyszewski obarcza Żydów odpowiedzialnością za wzrost nastrojów antysemitycznych.

Zbyszewski podziela feodalne sympatie Mackiewicza dla Żydów w jarzmach i w pejsach i podkreśla jego arystokratyczną niechęć do Żydów zeuropeizowanych i spolszczonych. Na demokratycznym zachodzie jest inaczej. Tam asymilacja grup obcojęzycznych i włączenie ich w nurt życia narodowego jest postulatem dobrze zrozumianej racji stanu. Ideałem jest „melting pot”, a nie różnobarwność. Odrębność grup etnicznych, religijnych, językowych jest cechą charakterystyczną społeczeństw zacofanych. Wschód jest egzotyczny i wielokolorowy, na Wschodzie nie ma asymilacji. W Konstantynopolu Grecy, którzy tam mieszkają od stuleci, nie asymilują się z Turkami. Ale ci sami Grecy gdy emigrują do Stanów Zjednoczonych lub do Francji asymilują się już w drugim pokoleniu. Każdy kraj ma Żydów na jakich zasługuje. Jarzmka w przedwojennej Polsce wynikała z zacofanej struktury społecznej, której rezultatem było zacofanie Żydów. Mógł Mackiewicz lubić ten folklor. Ci Żydzi których urzekła polska kultura i polska mowa i którzy widzieli w jarzmce jedynie symbol ciemnoty i zacofania, nie mieli najmniejszej sympatii dla widoku Żydów w kapotach, który odpowiadał „barokowemu zmysłowi estetycznemu” Mackiewicza.

Po hitlerowskim pogromie nie pozostało wielu jarmużkowych Żydów. Asymilacja językowo-obyczajowa jest dzisiaj czymś normalnym i przeciętnym Żyd to nie Żyd kapotowy, a Żyd zeuropeizowany. Dzisiejszy antysemityzm uderza przede wszystkim w Żydów zeuropeizowanych, podobnie jak studencki antysemityzm w Polsce międzywojennej atakował przede wszystkim tych Żydów, którzy lgnęli do kultury polskiej. Cechą dzisiejszego antysemityzmu jest wyróżnianie Żydów wśród innych obywateli. Tego antysemityzmu Mackiewicz i Zbyszewski, którzy zwrócili uwagę na żydowskie pochodzenie polskich dziennikarzy, nie potrafili się ustrzec.

Jakieś pismo zamieściło następujący dowcip: w rozmowie z prezydentem Kennedy'm, Chruszczow chcąc wykazać, że w Sowietach nie ma antysemityzmu powiedział: „W Moskwie jest 458 żydowskich lekarzy, a ilu ich jest w New Yorku?” „Nie wiem” — odpowiedział Kennedy.

Zdrowy stosunek do Żydów to nie dostrzegać ich tam, gdzie oni sami nie wymagają żeby ich uważano za Żydów. Pewien pisarz murzyńsko-amerykański powiedział: „Jeśli idzie o białych przebywam oczywiście jedynie w środowiskach antyrasistowskich, ale uważam, że problem murzyński jest rozwiązany jedynie w tych środowiskach, gdzie moje pojawienie nie wywołuje żadnej reakcji, żadnych objawów sympatii na rzecz czarnych i w ogóle żadnej dyskusji na tematy rasowe, gdzie po prostu fakt, że nie jestem biały nie zwraca niczyjej uwagi”. Taka jest aktualnie sytuacja w Maroku, kraju ludzi białych, gdzie istnieje jednak znaczna domieszka krwi murzyńskiej. Odcień skóry nie ma tu żadnego znaczenia, jest po prostu niedostrzegany, i nikt nie zastanawia się nad procentem ludzi o ciemniejszej skórze wśród tych, którzy rządzą tym krajem.

Zbyszewski nie chce przyjąć do wiadomości, że przynależność do danej grupy narodowej jest nie tylko kwestią pochodzenia, ale przede wszystkim asymilacji kulturalno-językowej i samookreślenia. We Francji czy w Stanach Zjednoczonych emigrant Polak i jego potomkowie sami decydują o stopniu swej asymilacji. Mogą pozostać Polakami z francuskim lub amerykańskim paszportem, mówić po polsku, przebywać wyłącznie w polskim środowisku i interesować się wyłącznie polskimi problemami. Mogą ograniczyć swą polskość do przynależności mniej lub więcej aktywnej do polskich organizacji. Mogą wreszcie stać się Francuzami lub Amerykanami *tout court*, dla których ich polskie pochodzenie jest zupełnie nieistotne. Ale w każdym wypadku są pełnoprawnymi obywatelami kraju, w którym żyją i nikomu, poza statystykami, nie przyjdzie do głowy liczyć Polaków w Detroit, Chicago lub Lille, albo zastanawiać się nad tym, że pewne zawody są „spolonizowane”.

Jeśli idzie o sytuację w Polsce dzisiejszej to nie ulega wątpliwości, że nieliczni Żydzi, którzy tam żyją są kulturalnie i językowo spolonizowani. W okresie prześladowań hitlerowskich jedynie Żydzi całkowicie spolszczeni mogli się ukryć wśród polskiego społeczeństwa. A po wojnie liczba Żydów tak zmalała, wspomnienia były tak kosztarne i w ogóle życie w Polsce stało się tak mało atrakcyjne, że jedynie ci Żydzi, którzy nie odczuwali żadnej potrzeby przebywania w środowisku żydowskim i którzy czuli się związani z narodem polskim i z polską kulturą pozostali w kraju, w którym wielu rdzennych Polaków nie chce żyć. Dotyczy to w najwyższym stopniu dziennikarzy, dla których więź kulturalno-językowa z narodem polskim jest nie tylko sentymentalna, ale wyraża się w ich codziennym życiu zawodowym.

Ci autentyczni Polacy, mówiący, piszący i myślący po polsku mają prawo wymagać, by nie zastanawiano się nad ich pochodzeniem i by ich nie „liczono”. Dla prawdziwego Europejczyka antysemityzm zaczyna się od liczenia. Po wprowadzeniu pierwszych zarządzeń antyżydowskich przez rząd Pétain'a, Tristan Bernard powiedział: „Quels temps, on bloque les comptes, on compte les Bloch's”.

Cytując pewne wypowiedzi Mackiewicza o Żydach Zbyszewski wyrządził niedźwiedzią przysługę pamięci swego przyjaciela. Jeśli te wypowiedzi były prawdziwe, to lepiej było o nich zamilczeć.

A jeśli idzie o samego Zbyszewskiego to stanie się on w pełni Europejczykiem, gdy zrozumie, że w dzisiejszym świecie o przynależności narodowej decydują język, kultura i swobodne samookreślenie, a nie pochodzenie. Niech nareszcie Zbyszewski sobie uświadomi, że w Polsce i poza Polską każdy Żyd decyduje wyłącznie za siebie, że wybiera zawód, który mu odpowiada bez względu na liczbę innych Żydów w tym zawodzie, że nie ma żadnego żydowskiego „rządu dusz”, że nie ma i nigdy nie było niebezpieczeństwa „zalewu żydowskiego” i że antysemityzm — smutna pozostałość średniowiecza — nie jest bynajmniej uwarunkowany zachowaniem się Żydów.

Twierdzenie Zbyszewskiego że „judaizacja” prasy tworzy sytuację niebezpieczną dla Żydów jest prawdziwą obelgą pod adresem Polaków: pomagając im w ich oświadczeniu barbarzyńskiej zasadzie odpowiedzialności zbiorowej. Czy Zbyszewski nie zauważył, że „italianizacja” gangsterizmu w Stanach Zjednoczonych nigdy nie wytworzyła nieprzyjemnej atmosfery dla Włochów jako grupy społecznej. A jednak niewątpliwie gangsterizm jest aktywnością wywołującą więcej odrazy niż dziennikarstwo. Czy według Zbyszewskiego Polacy stoją o tyle niżej od Amerykanów?

W Polsce przedwojennej co dziesiąty obywatel był Żydem, w Polsce dzisiejszej jeden na tysiąc obywateli jest pochodzenia żydowskiego. I jeśli w tej sytuacji Mackiewicz i Zbyszewski dostrzegają ten jeden promille i wyróżniają go spośród innych obywateli, jeśli zastanawiają się nad „judaizacją” prasy, jeśli na skutek tego ex-konserwatysta „skłania się” do antysemityzmu, a Zbyszewski widzi w tym groźbę zawieszoną nad głowami polskich Żydów, to nie jest to żaden „trzeci dzwonek”. To stare niewykorzystane nałogi kołaczą się i dzwonią w mózgach liberalnych ex-konserwatystów.

Łączę wyrazy szacunku,

Anatol ESTRYN

Caracas, dnia 16 lipca 1966 r.

Do Redaktora „Kultury”.

W numerze 7/225-8/226 p. Juliusz Mieroszewski odkładając do lamusa przeróżne, wcześniejsze koncepcje polityczne, rysuje czytelnikowi ponętny obraz komunizmów narodowych — jako panaceum na dolegliwości komunizmu jako ustroju.

Pan Mieroszewski pisze: „Powyższe uwagi stanowią podsumowanie doświadczeń dwóch „rewolucji” węgierskiej i rumuńskiej”. I dalej: „Gdyby Ceausescu był rewizjonistą ideologicznym — Moskwa już dawno zorganizowałaby zjazd taki czy inny na którym większość „bratnich partii” potępiłaby go jako heretyka i socjal-demokratę”. Nie intelektualni rewizjoniści lecz komuniści-nacjoniści doprowadzą z czasem tak do przebudowy imperium satelickiego jak i Związku Sowieckiego”.

Koncepcja taka z punktu widzenia taktyki obozu przeciwników daje się oczywiście uzasadnić, nie ma jednak wielkiego uzasadnienia gdy chodzi o wewnętrzne sprawy obozu socjalizmu i władzy w poszczególnych satelitach. Ceausescu, istotnie, wymanewrował pewien margines niezależności, to prawda. Ale pytanie samego p. Mieroszewskiego brzmi zasadniczo: „Co dalej?” Więc w najlepszym wypadku „komunizm narodowy”, ale tu znowu powraca

pytanie: Co dalej?... To dalej daleko ważniejszą ma wymowę od koncepcji „komunizmów i socjalizmów narodowych”. A socjalizmy, były i są różne, a szczególnie narodowe.

Z punktu widzenia problemów ideologicznych dzisiejszego komunizmu, któremu Schaff przywraca jego europejskość, jest to zagadnienie bodaj marginalne i wie o tym Ceausescu i tylko dlatego mógł tę strunę, zaniedbaną i nazbyt przez Moskwę wyeksploatowaną nieco rozluźnić.

Czy jednak w przypadku „rebelii” Ceausescu chodzi o odchylenie „prawicowo-nacjonalistyczne, które dla Gomułki skończyły się likwidacją jego samego i jego grupy na lat kilka; czy też jest to „rebelia” ortodoksyjnie lewicowa i czysta? Jeśli rebelia Ceausescu nie ma perspektyw jugosławińskich, to jest rzeczą mało istotną, czy Ceausescu jest satelitą na wzór Ulbrichta, czy jest to satelita na pół zbuntowany.

Ceausescu, nieco ambitniejszy klient Moskwy nie daje żadnych gwarancji klasie robotniczej ze jego „komunizm narodowy” będzie czymś innym niż nim jest narodowy komunizm rosyjski? Takim ambitniejszym komunistą był przecież i Gomułka, który po powrocie do władzy miał pełne poparcie całego narodu... Powiedzmy, że je ma obecnie Ceausescu ale do czego ma to prowadzić w prostej linii? bo te poparcia narodowe są najoczywistej warunkowe. I czy właśnie nie chodzi tu o owych intelektualnych rewizjonistów? Bo to są pryncypia socjalizmu i problemy wewnętrzne ewoluującego komunizmu, które tak wspaniale podejmuje Związek Komunistów Jugosławii...

Rozumiem natomiast p. Mieroszewskiego całkowicie gdy traktuje on te zmiany nie jako cel sam w sobie; bo pytanie: „Co dalej?”, będzie nadal występować uparcie, ale jako etap, i, kolejny wariant taktyczny obozu przeciwników. Ceausescu, który ani myśli rywalizować ze Związkiem Komunistów Jugosławii ma tu w istocie bardzo małą rolę do odegrania, którą zmieni i inaczej zagra jego pierwszy lepszy następcę. Natomiast rewizjonizm ideologiczny, który obejmuje wszystkie większe partie komunistyczne Europy, jest najważniejszym wydarzeniem naszej epoki. Nie Rumunia i nie Ceausescu, ale Jugosławia i Broz-Tito ogniskują dążenia i tęsknoty humanistycznego ruchu rewolucyjnego w Europie. Bo drogi na które wszedł Komitet Centralny Związku Komunistów Jugosławii (uchwały z dnia 1 lipca IV sesji KC ZKJ) są bez precedensu w dziejach współczesnego ruchu komunistycznego. A uchwały te przywracają mu ludzką godność.

Raczy Pan przyjąć wyrazy szacunku,

Beniamin Józef JENNE

Sunnyvale, Cal., 20 lipiec 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze „Kultury” za lipiec-sierpień br. opublikował Pan list p. Tadeusza Rokickiego, zarzucający mi, że pisząc zarys czasopiśmiennictwa emigracyjnego dla „Literatury polskiej na obczyźnie”, nie uwzględniłem jego artykułu biograficznego o „Junaku”, przesłanego mi przez Autora za pośrednictwem „Kultury”, oraz że przemilczałem jego osobę, jako redaktora „Junaka” na korzyść ostatniego redaktora tego pisma, śp. Leona Orłowskiego. W oryginalnym stylu zarzut brzmi: „...p. Kowalik ograniczył się do tych uprzejmości, i z dostarczonych mu przeze mnie informacji nie tylko nie skorzystał, lecz nawet bezceremonialnie wydziedziczył mnie z mego dorobku”.

Ponieważ ze stawianych mi zarzutów najbardziej dotyczą mnie te, które dotyczą niewdzięczności, oraz lekceważenia cudzej pracy, zmuszony jestem na ten publiczny atak, również publicznie odpowiedzieć.

Artykułu p. Rokickiego nie wykorzystałem z bardzo prostej przyczyny: otrzymałem go za późno, bo w czasie kiedy część meej pracy, dotycząca Bliskiego Wschodu, była już w Londynie w procesie publikacji. Odłożyłem go więc do archiwum, do wykorzystania w 1 tomie *Polish Periodicals published outside Poland since 1939*, który mam zamiar w przyszłości wydać.

Przy sposobności pozwolę sobie zaznaczyć, że choćym nawet i usiłował, to nie byłbym w stanie wydziedziczyć p. Rokickiego z jego „dorobku”, bo wiem to, co każdy z nas pożytecznego czy dobrego w życiu zrobił, pozostaje po nas w środowisku, i trwa, w tej czy innej formie, jako wartość społeczna czy naukowa, bez względu na to czy ją historyk włoży do szufladki z napisem „Redaktor Tadeusz Rokicki” czy „Junak. Miesięcznik dla młodszych ochotniczek i junaków”.

W zakończeniu dwie rady, i prośby zarazem. Jeśli drugi raz zechce mi p. Rokicki nadesłać materiał o „Junaku”, to niechże w załączonym liście dopisze skromną uwagę, „którego byłem redaktorem”, co przecie nic nie kosztuje, a badaczowi sprawę ogromnie ułatwi. Jeśli kiedykolwiek w przyszłości p. Rokicki znowu będzie redagował pismo, to radzę mu usilnie, ażeby nie czynił tego anonimowo, ale jak zwyczaj nakazuje, zaznaczył bodaj *petitem* na okładce wydawnictwa swe nazwisko jako redaktora. Godziny przyjęć można ewentualnie opuścić, ale nazwisko powinno być. Papier gazety szybko wietrzeje, i po dwudziestu latach są z wachaniem trudności...

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Jan KOWALIK

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem była peowiaczką mińską. Przeczytałam niedawno powieść J. Mackiewiczza „Lewa wolna”. Nie kwestionuję bynajmniej wybitnego talentu autora. Jestem jednak poruszona jego tendencją do szkalowania tych, co w okresie pierwszej wojny podjęli walkę o niepodległość Polski, uważając Józefa Piłsudskiego za swego wodza, a w szczególności metodą oszczerczych niedomówień w stosunku do organizacji z przynależności do której jestem dumna — P.O.W. w Mińszczyźnie.

Właśnie w 1919 roku, czyli w okresie wspomnianym w powieści, byłam jako szesnastoletnia harcerka jedną z tych kurierek, które chodziły przez front. Znałam prawie wszystkie kobiety, które w tamtym okresie pracowały w Mińskim POW. Z całą stanowczością stwierdzam, że rozwydrzonych typów, które według autora miały zdemoralizować jedną z centralnych postaci powieści — Zosię — tam nie spotkałam. Dominującą postawą była gotowość do poświęcenia i patriotyzm w najczystszym tego słowa znaczeniu. Pamięć Dziuni Tejszerskiej, mojej komendantki zarówno w harcerstwie jak w oddziale kurierek POW cześć jako wzór prawdziwej dzielności i poświęcenia.

Mińskie POW składało się z ludzi należących do różnych warstw społecznych z przewagą raczej przedstawicieli warstw mniej zamożnych. Zarówno komendant Stefanowski — Żywy (rozstrzelany przez bolszewików), jak i Dziunia Tejszerska (rozstrzelana podczas drugiej okupacji w 1920 r.) pochodzili z niezamożnych rodzin. Dziunia Tejszerska była dopiero po maturze, do której doszła utrzymując się z korepetycji. W organizacji była pewna

Gogola do Rosji, którą autor przyrównywa do pędzącej rącej (bojkoj) nieprześcignionej trójki koni.

Łączę wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Quebec, Canada, 8 sierpnia 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule pt. „Polonia Amerykańska”, Konstanty Symonolewicz (Symmons) stara się odpowiedzieć na pytanie dotyczące liczebności Polonii Amerykańskiej i dochodzi do zupełnie słusznego wniosku, że na to pytanie nie można — nawet w przybliżeniu — dać rozsądnej odpowiedzi, zwłaszcza na podstawie danych amerykańskich spisów ludności.

W związku z analizą danych dotyczących Polonii Amerykańskiej, zainteresują może czytelników „Kultury” informacje spisu ludności w Kanadzie dotyczące Polonii Kanadyjskiej. Poniżej przytoczone dane opieram na spisie z czerwca 1961 r.

Przed wszystkim należy zaznaczyć że w odróżnieniu od spisów amerykańskich (USA) kwestionariusze spisowe kanadyjskie prawie zawsze posiadały pytanie co do pochodzenia narodowościowego, a także języka macierzystego (ojczystego). Nie mogąc na tym miejscu wracać do przeszłości, chcę przede wszystkim po krótko chociaż, zanalizować pytania z kwestionariusza 1961 roku, mogące w pewnej mierze informować o liczebności Polonii Kanadyjskiej. Trzeba przy tym przy tym zaznaczyć, że odpowiedzi na wszystkie pytania kwestionariusza daje sam osobnik bez żadnych dowodów prawdziwości tych odpowiedzi.

Najważniejsze pytanie jest to oznaczone Nr 10, dotyczące grupy „etnicznej lub kulturalnej” do której należy przodek „po mieczu”, albo sam osobnik (jeżeli jest emigrantem) w chwili przybycia na kontynent amerykański. Tak samo postawione pytanie, chociaż nieco inaczej sformułowane, istniało przy spisach poprzednich: zawsze pytano o przodka „po mieczu”.

Naturalnie, że tak sformułowane pytanie nie przesądza, że osobnik należy do tej samej grupy narodowościowej („etnicznej lub kulturalnej”) — jak głosi kwestionariusz), co jego przodek „po mieczu”. Osób które w r. 1961 podały grupę narodowościową polską było 323.517 w tym 194.566, czyli około 60% było urodzonych w Kanadzie, a reszta to imigranci; z tych około 44% (56.976 osób) przybyło do Kanady przed rokiem 1921; 30.503 w latach 1921-30; 7.863 w latach 1931-45, 31.967 w latach 1946-50; 23.410 w latach 1956-55 i 16.082 w ostatnim pięcioleciu 1956-1961.

Na pytanie co do języka macierzystego „nabytego w dzieciństwie, a który się jeszcze rozumie” (tak głosi kwestionariusz) 147.272 osoby „pochodzenia polskiego” podały język polski, a 130.665 język angielski, 3.001 — język francuski i 42.579 różne inne języki (zwłaszcza ukraiński i niemiecki); poza tym język polski jako język macierzysty podany był także przez osobników nie polskiego pochodzenia (np. Żydów i innych); jednakże liczby odnośnie spisu 1961 roku, w odróżnieniu od spisów poprzednich (do 1941 włącznie) nie zostały ogłoszone.

Kwestionariusz spisowy zawierał też pytanie dotyczące miejsca (kraju) urodzenia, przy czym w instrukcjach dla komisarzy spisowych powiedziano że należy kraj urodzenia podawać według obecnych (1961) granic państwowych. Jako urodzonych w Polsce naliczono 171.467 osób, naturalnie nie

wszystkie narodowości polskiej; natomiast wiele osób narodowości polskiej, wśród imigrantów, musiało zgodnie z nastawieniem Urzędu Statystycznego podać miejsce urodzenia inne, aniżeli w Polsce.

Tyle co do głównych danych ostatniego (1961) spisu ludności w Kanadzie, a dotyczących elementu polskiego. Naturalnie, że istnieją dane, co do płci, wieku, stanu cywilnego, rozmieszczenia terytorialnego etc.

Reasumując należy stwierdzić, że podobnie, jak w Stanach Zjednoczonych, trudno wyciągać wnioski, co do liczebności Polonii w Kanadzie na podstawie spisów urzędowych, chociaż kwestionariusze kanadyjskie zawierają szereg pytań dotyczących narodowości i języka.

Z poważaniem,

Dr T. POZNAŃSKI

London, sierpień 1966.

Zamieszczamy list p. Romanowa-Głowackiego niewydrukowany przez „Dziennik Polski” w Londynie.

W nrze 254 „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” z 1965 r. ukazał się list do redakcji pt. „Pod Połtawą”, podpisany: „W. E. Korzcic (biały Rosjanin)”. Jak na krótki list jest w nim zbyt dużo niezgodności z obiektywną prawdą historyczną. List poza tym nosi wyraźny charakter inwektywy, skierowanej swym ostrzem przeciw hetmanowi Ukrainy Iwanowi Mazepie.

Pisze p. Korzcic, że w bitwie pod Połtawą w r. 1709, król szwedzki Karol XII „został ranny odłamkiem bomby w prawą nogę w bitwie...”. Są źródła, które mówią, że rana ta pochodziła od kuli muszkietowej i została zadana królowi w kilka dni przed bitwą połtawską.

Z powodu tej rany król nie był w stanie osobiście kierować bitwą i zlecił to swoim generałom, którzy nie potrafili uzgodnić swoich działań. W pewnym momencie, by dodać swoim żołnierzom ducha, król kazał się nieść na noszach wzdłuż szeregów i tu w orszak królewski trafił pocisk rosyjski; nosze zostały obalone, sądzono, że król został zabity; okazało się jednak, że żadnej nowej rany nie odniósł. Tak się więc przedstawia sprawa zranienia Karola XII.

Pisze dalej p. Korzcic, że król „po przegranej batalii salwował się ucieką, w kolonie, do Turcji na ziemię obecnej Bułgarii”. Jest prawdą, że w czasie odwrotu ranny król razem z hetmanem Mazepą rzeczywiście odbywał podróż w kolasie (później już podobno jechali konno). Dostali się oni wraz z częścią wojska (gros wojska zastąpiło drogę Rosjanom nad Dnieprem i kapitulowało) na ziemię będącą pod zwierzchnictwem tureckim, najpierw do Oczakowa (nad limanem Dniepru i Bohu), a następnie do Bender nad Dniestrem w Mołdawii. Skądże wzięła się tu u p. Korzcica bardzo odległa od tych miejscowości „obecna Bułgaria”?

P. Korzcic następnie informuje, że „przed rozpoczęciem bitwy była zdrada kozaków zaporoskich pod Iwanem Mazepą (1687-1709), którzy przeszli na stronę Szwedów i następnie w bitwie z Rosjanami niedotrzymali pola i pierzchli w popłochu. Przez wyrwę utworzoną w szeregach szwedzkich, — nastąpiła klęska”. Otóż o przejściu Mazepy na stronę Szwedów było już wiadomo od jesieni 1708 r., a bitwa połtawska miała miejsce 27 czerwca 1709 r. A więc rzekoma „zdrada” nie nastąpiła „przed rozpoczęciem bitwy”, a grubo wcześniej. Następnie, hetman lewobrzeżnej Ukrainy I. Mazepa, prze-

chodząc na stronę Karola XII, miał pod swoim dowództwem niewielką część wojsk kozackich Hetmańszczyzny, do których należały także ochotnicze i zaciężne oddziały „kompanijców” i serdiuków. Natomiast siczowi Kozacy Zaporoscy, którzy pod wodzą swego koszowego atamana Kostia Hordienki-Hołówki dopiero na wiosnę 1709 r. przybyli na pomoc Mazepie i Karolowi XII, by walczyć przeciw Rosjanom, stanowili wojska autonomiczne, od Ukrainy hetmańskiej formalnie niezależne. W czasie bitwy połtawskiej kozacy nie mogli „nie dotrzymać pola i pierzchnąć w popłochu” gdyż w ogóle bezpośredniego udziału w bitwie nie brali. Stanowili oni rezerwę szwedzkich wojsk i znajdowali się na tyłach razem ze szwedzkimi taborami i artylerią, dla której Szwedom zabrakło pocisków. Poza tym część oddziałów kozackich znajdowała się wśród wojsk szwedzkich oblegających samą Połtawę, a więc w odległości ok. 5 km. od pola walki. Nie mogli więc w żadnym wypadku Kozacy Zaporoscy spowodować wyrwy w szeregach szwedzkich i co zatem idzie — klęski Szwedom. Kozacy Zaporoscy zresztą nie zdradzali Rosji, bo jej nie podlegali. Co zaś do hetmana i wojsk hetmańskich to walczyli oni o niepodległość swego kraju, o zrzućcie zniemawidzonych i barbarzyńskich rządów moskiewskich; pragnęli żyć jako wolny naród, ewentualnie w federacyjnym związku z Rzplita i Szwecją. Wojska hetmańskie, występujące przeciw Piotrowi I (bo były oddziały kozackie, które opowiedziały się po stronie Rosjan) były dlatego nieliczne, że car za zbrojny opór przeciwko niemu stosował straszliwe represje nie tylko w stosunku do starszyzny i kozaków, ale i do ich rodzin i osiedli. Wycinanie w pień ludności, wieszanie, rąbanie głów, obdzieranie ze skóry było na porządku dziennym.

Na koniec, pisze p. Korzcic, że „Karol XII w czasie ucieczki kazał kajdanami przykuć hetmana Iwana Mazepę do działa; nie wytrzymał on tortur i zmarł w Benderach”. W rzeczywistości było wręcz inaczej. Liczne źródła mówią, że hetman musiał użyć całej swojej wymowy, by po bitwie skłonić króla do ratowania się przed dostaniem się do niewoli rosyjskiej. Król wołał, że wycofywać się z pola walki to hańba, lepiej umrzeć na miejscu. Mowy nie było o jakichkolwiek represjach w stosunku do hetmana-sprzymierzeńca. Przeciwnie, Mazepa, jako znający lokalne warunki i step, właściwie kierował odwrotem. Kozacy organizowali przeprawy przez rzeki, starali się o żywność i wielorako pomagali bezradnym w nieznanym im warunkach terenowych Szwedom. Król i schorowany hetman, jak było już wspomniane, jechali w jednej kołasie lub, jak świadczą inne źródła w dwu kołasach, każdy na czele swoich oddziałów. Po przybyciu z Oczakowa do Bender hetman bardzo poważnie zaniemógł. Król stale go odwiedzał i stale dopytywał się o jego stan zdrowia. 21 września 1709 r. hetman Mazepa zmarł. Urządzono mu niezwykle uroczysty pogrzeb. Na czele pochodu kroczyli Szwedzi z fanfarami i kozacy z surmami (trąbami), grając na nich na przemian; za nimi starszyzna kozacka, niosąca insygnia władzy hetmańskiej — buławę, chrągiew i buńczuk; za nimi, ciągniony przez sześć par koni wóz z trumną hetmana, przykrytą szkarłatnym aksamitem; za trumną kroczył król Karol XII z liczną świtą i towarzyszącymi mu obcymi ambasadorami; za nimi przedstawiciele padyszacha, gospodarowie Mołdawii i Wołoszczyzny; następnie konno jechał następca hetmana Mazepy Filip Orłyk i siostrzeniec hetmana Andrzej Woynarowski, dalej szli królewscy gwardziści (drabanci) z pochylonymi sztandarami oraz tureccy janczarowie w białych strojach, przygrywający na cymbałach; na ostatku posuwał się tłum Ukraińców, Ormian, Polaków, Cyganów, Tatarów i in. Czyż jest do pomysłenia, by tak po królewsku chowano człowieka, którego, jak chce „biały Rosjanin”, niemal tylko co torturowano i do śmierci tym doprowadzono? Coś się musiało przykuciu do armaty hetmana Chmielnickiego przez tatarskiego chana po porażce pod Beresteczkiem w 1651 roku?

Literatura przedmiotu, i tak już bardzo duża, ustawicznie się wzbogaca przez poszukiwania w archiwach zachodnich, zwłaszcza szwedzkich.

Trzeba się spodziewać, że w dyskusji nad „rewelacjami” p. Korzcica w „Dzienniku Polskim” zabiorą głos najbardziej do tego powołani ukraińscy historycy.

Wiktor ROMANOW-GŁOWACKI

Chicago, 5 września 1966.

Szanowny Panie Redaktorze.

Na stronie 114 „Kultury” z lipca-sierpnia 1966 (Nry 7/225-8/226) p. K. Symonolewicz w artykule „Polonia Amerykańska”, w wierszach 20-22 od góry pisze, że herb dawnej Rzeczypospolitej Polskiej był potrójny (polski orzeł biały, litewska pogoń oraz ruski archanioł Michał). Twierdzenie to jest niezgodne z prawdą. Przedrozbiorowa Rzeczpospolita Polska używała herbu podwójnego — orzeł biały z pogońią litewską. Herb potrójny z ruskim archaniołem Michałem ukazał się po raz pierwszy na pieczęciach Rządu Narodowego z roku 1863 i herb ten przejął powstały z inspiracji powstańców z r. 1863 Związek Narodowy Polski w Ameryce.

Z poważaniem,

Jan O. SOKOŁOWSKI

Stanford, Calif., dn. 24 czerwca 1966.

Drogi Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu w swoim czasie doskonałego w formie nekrologu Ksawerego Pruszyńskiego miałem takie poczucie niesmaku, że przy pierwszym spotkaniu (w Paryżu w kawiarni Kombatantów) powiedziałem Autorowi: „Panie Waławie, jak się cieszę, że nie byłem, nie jestem i nigdy nie będę Pańskim przyjacielem. Nie grozi mi zatem taki nekrolog”.

Nie powtórzę tego po przeczytaniu nekrologu Stanisława Mackiewicza tylko dlatego, że nie spodziewam się rychło spotkać Autora.

Wyliczając to niewiele, co wie o Petrażyckim, pan Waław nie „był wychowankiem jakichś rosyjskich uniwersytetów”, lecz zasadnicze swe studia odbył w Berlinie i pierwsze prace ogłaszał po niemiecku: *Fruchtverteilung beim Wechsel der Nutzungsberechtigten*, Berlin 1892; *Die Lehre vom Einkommen*, Berlin 1893-95. Po rosyjsku zaczął pisać dopiero w pierwszych latach XX stulecia. Co do przytoczonych opinii niezujących profesorów krakowskich, to — jeśli by były autentyczne i ściśle zacytowane — świadczyłyby jedynie, że okres, w którym p. Waław Zbyszewski uczęszczał na Jagiellońską Wszechnicę, nie należał do szczytowych w Jej długich i na ogół zaszczytnych dziejach. Że jednak tak nie było, że w XX wieku w Krakowie nie tylko Marcini uczyli tylko Marcinów, świadczy m.in. fakt powołania

w 1929/30 na krakowską katedrę Teorii i Filozofii Prawa Jerzego Landego, najwybitniejszego ucznia i naukowego głównego spadkobiercy Leona Petrażyckiego.

Z mieszanyimi uczuciami

Wiktor SUKIENNICKI



Cambridge, Mass., 7 września 1966.

Drogi Panie Redaktorze,

Proszę o sprostowanie dwóch wypaczających sens błędów druku, jakie wkrały się do mego artykułu „Życie żyjące w wszechżywej przyjaźni” we wrześniowym numerze „Kultury”. Na str. 111 piszę, że list Krasińskiego do ojca z 1836 r. „jest godnym polskim odpowiednikiem Listu filozoficznego”. Wypadło nazwisko autora owego Listu filozoficznego, Czaadajewa. Na str. 113 sens francuskiego porzekadła, cytatu z Moliera: „Monsieur Josse, vous êtes orfèvre” podano jako „pan udziela interesujących rad”. Powinno być: „interesownych rad”.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Wiktor WEINTRAUB

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CH1swick 1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e Trimestre 1966.

Zapowiedzi wydawnicze

TOM CXXXV BIBLIOTEKI „KULTURY”

ADAM CZERNIAWSKI

SEN — CYTADELA — GAJ

Poezje

Str. 64.

Cena 6 F (dol. 1,25; 9 sh.)



W NAJBLIŻSZYM CZASIE UKAZĄ SIĘ PONADTO
W SERII « DOKUMENTY »

SCHIZMY



WITOLDA GOMBROWICZA

DZIENNIK

TOM III

ORAZ

OPERETKA



ALEKSANDRA HERTZA

REFLEKSJE AMERYKANSKIE

Nowość

TOM CXXX BIBLIOTEKI "KULTURY"

Seria - "Archiwum Rewolucji"

TEMATY ROSYJSKIE

Przekład z serbo-chorwackiego

Na książkę składają się następujące eseje:

CZEGO CHCEMY I DLACZEGO MILCZYMY

Cz. I.: LATO MOSKIEWSKIE 1964

Cz. II.: DOSTOJEWSKI DZIŚ

Cz. III. LITERATURA ROSYJSKA

- Na rozdrożu
- Kilka skojarzeń historycznych na czasie
- Wnioski z pewnej polemiki
- Martwy dom Sołżenicyna i Dostojewskiego
- Znaczenie powieści „Cisza”
- Jewgienij Zamiatin — Chagall literatury
- Synteza Zaratustry i Ostapa Bendera

Str. 224.

Cena egz. 15 F. (dol. 3,25; 22/6)

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetinga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. 153311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiakowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407. S. L. Lemanski, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107; Ch. M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr. Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa. 19125; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R.J. Sas-Babczynski, 311 West Wilson St., Apt. 3, Costa Mesa, Cal. 92627; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn. 06053; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit, Mich. 48210 Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

TOM CXXX

Seria « Archiwum Rewolucji »

MIHAJLO MIHAJLOV

TEMATY ROSYJSKIE

Przekład z serbo-chorwackiego

CZEGO CHCEMY I DLACZEGO MILCZYMY — LATO MOSKIEWSKIE 1964 — DOSTOJEWSKI DZIS — *LITERATURA ROSYJSKA*: NA ROZDROŻU — KILKA SKOJARZEŃ HISTORYCZNYCH NA CZASIE — WNIOSKI Z PEWNEJ POLEMIKI — MARTWY DOM SOŁŻENICYNA I DOSTOJEWSKIEGO — ZNACZENIE POWIEŚCI „CISZA” — JEWGIENIJ ZAMIATIN — CHAGALL LITERATURY — SYNTEZA ZARATUSTRY I OSTAPA BENDERA.

Str. 224.

Cena 15 F. (dol. 3,25; 22/6)

TOM CXXXI

GEORGE J. FLEMMING

POLSKA MAŁO ZNANA

Str. 164.

Cena 10 F. (dol. 2,25; 15/-)

TOM CXXXII

Seria « Dokumenty »

JACEK KUROŃ I KAROL MODZELEWSKI

LIST OTWARTY

Do Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR
przy Uniwersytecie Warszawskim

List zawiera streszczenie Memoriału, który stał się powodem aresztowania i skazania autorów i ich zwolenników na ciężkie kary więzienia. Jest to pierwsza próba sformułowania z pozycji marksistowskich programu alternatywnego nie tylko dla Polski Ludowej, ale dla całego bloku komunistycznego. Jest to program narastającej nowej rewolucji.

Str. 96.

Cena 7 F (dol. 1,50; 11/-)